Sensacyjne niemieckie dokumenty z 1939

Wielkanoc 1943 • Kreowanie miasta według Marka Ostrowskiego • Polskie diabły

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

STOLICA WOLNOŚCI 1918-2018

nr 4 (2311) kwiecień 2018
cena 9,45 zł (w tym 8% VAT)

Trudne początki stołeczności

Kalendarium warszawskie: kwiecień 1918

Duchy Muranowa

NAC

Muranów od strony skrzyżowania ówczesnej alei gen. K. Świerczewskiego (dziś aleja „Solidarności") i ulicy J. Marchlewskiego (dziś aleja Jana Pawła II), 1959 r.

Muzeum Narodowe w Warszawie

3×NIEPODLEGŁA

1918·2018

PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
1918–2018

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

17/02–20/05/2018

Paderewski

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PATRONAT HONOROWY

Honorowy patronat Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego

MECENAS WYSTAWY

PZU

PARTNER WYSTAWY

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

PARTNER MUZEUM

LOTTO

DORADCA PRAWNY

GT GreenbergTraurig

PATRONI MEDIALNI

POLSKIE RADIO | Gazeta Wyborcza | Warszawa in Insider | STOLICA | o.pl | artinfo.pl | Culture.pl | SPOTKANIA Z ZABYTKAMI | Twój STYL | TVP

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

W NUMERZE:

5 Kronika miesiąca
6 Hitlerowskie dokumenty o Warszawie z 1939 r.
8 Wykreować miasto – z Markiem Ostrowskim, przyrodnikiem, varsavianistą, twórcą studiów varsavianistycznych na Uniwersytecie Warszawskim, specjalistą fotografii lotniczej i satelitarnej, rozmawia Jan Lipski

WARSZAWY DROGA DO NIEPODLEGŁOŚCI 1915-1918
14 Budowanie stołeczności. Trudne początki – Grzegorz Mika
15 Kalendarium – czym żyła Warszawa i jej mieszkańcy w kwietniu 1918 r.
20 Przedwojenne gmachy wyższych urzędów państwowych – Jerzy S. Majewski

Z HISTORIĄ W TLE
28 Wielkanoc 1943 r. – Anna Kuligowska-Korzeniewska
32 Duchy Muranowa – Zofia Mioduszewska
38 Album rodzinny. Dwa domy przy Pańskiej – Magdalena Stopa opowiada historię Macieja Chwilczyńskiego i jego rodziny
42 Wilanów: posadzka z kolumny – Katarzyna Dzierzbicka
45 Warszawskie gabinety osobliwości – Mateusz Kaczyński o kolekcjach, które pomagały w poznawaniu i rozumieniu świata

KULTURA
49 Basen Morza Śródziemnego opłynąłem wzdłuż i wszerz – z aktorem Kazimierzem Kaczorem o podróżach, Tonym Haliku i o tym, jak zostać żeglarzem, rozmawia Rafał Dajbor
52 Notatnik warszawski i rozmaitości kulturalne
54 Karnet teatralny. Przede wszystkim trwać – Tomasz Miłkowski
56 Stolica czyta. Paweł Dunin-Wąsowicz o książkach, które warto przeczytać
58 Weekend dwa kroki stąd – zachęcamy do odkrywania Mazowsza z projektem Slow Road Mazovia Edition
60 Stołeczni Społeczni – Marzanna de Latour o animatorach działających w stołecznych dzielnicach
62 Małe muzea, ciekawe miejsca. Polskie diabły w polskim Przedpieklu – Katarzyna Radzimirska
64 Mowa z Grochowa. Rekąstrukcja – Przemysław Śmiech
66 Refleksje nadwiślańskie. Hiszpański przypadek na Powiślu – Jacek Fedorowicz
67 Z notatnika miastoluba. Centrum nauki, wiedzy, sztuki i widoku – Maria Terlecka
68 Zwierzę w mieście. ,,A niech się chowią!" – Arkadiusz Szaraniec
70 Warszawa na starej fotografii. Spichrze na Rybakach – Jarosław Zieliński

6

32

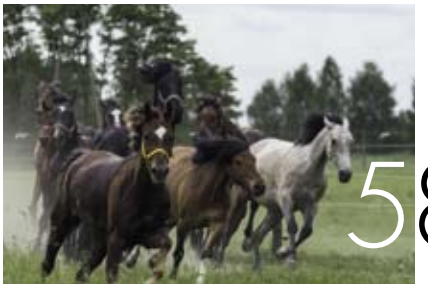
58

62

Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu

STOLICA

Poprzednie numery Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20, w księgarni im. Bolesława Prusa przy Krakowskim Przedmieściu 7 i Księgarni Naukowej przy al. „Solidarności" 83/89

Adres Redakcji:
ul. Wersalska 7 lok. 1,
03-955 Warszawa
tel. 22 741-01-30, tel./faks 22 619-01-44
Wydawca: EKBIN
redakcja@warszawa-stolica.pl
Zespół: Ewa Kiełak Ciemniewska (redaktor naczelna), Jarosław Zieliński (zastępca redaktor naczelnej), Jerzy S. Majewski, Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji), Magdalena Hajnosz (grafik), Katarzyna Radzimirska (asystent sekretarz redakcji)
sekretarz@warszawa-stolica.pl, info@warszawa-stolica.pl

Stale współpracują: Grzegorz Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz, prof. Kwiryna Handke, Tatiana Hardej, Andrzej Kałuszko, Michał Krasucki, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Jan Tomasz Lipski, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tomasz Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Krzysztof Mordyński, Artur Mościcki, Jacek Olecki, Bogumił Paszkiewicz, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, Mateusz Rodak, Ewa Solińska, Paweł Stala, Arkadiusz Szaraniec, Przemysław Śmiech, Tadeusz Wł. Świątek, Maria Terlecka, Michał Wardzyński
Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Andrzej Kałuszko, Jacek Sielski, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Historyczne m.st. Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY

Promocja: Paweł Ciemniewski, miesiecznik.stolica@gmail.com
Skład i łamanie: Magdalena Hajnosz
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.

© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone.

ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl
Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej i elektronicznej – realizowaną przez RUCH SA – można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

- Podczas przebudowy ulicy Miodowej i placu Krasińskich dokonano odkrycia reliktów drewnianego budynku i studni, wstępnie datowanych przez archeologów na XVI-XVII w. Szczególne wrażenie robi drewniana ława stojąca w miejscu, w którym pozostawiono ją przed kilkoma wiekami, przez stulecia przysypana ziemią.
- W wyniku tzw. małej ustawy reprywatyzacyjnej w zasobach Miasta zostało osiem kolejnych nieruchomości. Umorzone zostały roszczenia m.in. do terenów kamienicy przy ul. Rajgrodzkiej 10, fragmentu skweru i przejścia do budowanej stacji metra między Pratulińską, Handlową i Orłowską na Targówku oraz ogródków działkowych na Mokotowie.
- Coraz bardziej zaawansowane prace przy budowie kolejnego odcinka nadwiślańskich bulwarów spowodują przerwanie – na ok. trzy miesiące – ciągłości pieszo-jezdnej nadwiślańskiej promenady oraz czasową organizację ruchu od wylotu Tamki do mostu Świętokrzyskiego. Nie będzie też możliwe dojście do pomnika Syreny.
- W warszawskim Zarządzie Zieleni oceniane będą cztery prototypowe modele ławek ulicznych. Najwyżej oceniony model, po prototypowaniu, czyli testowaniu przez użytkowników, posłuży do produkcji – po ewentualnych modyfikacjach – aż 600 ławek. Nowe miejskie „meble" będą wykonane z rodzimego drewna.
- Do rejestru zabytków trafiło pięć domów mieszkalnych osiedla dla kolejarzy z l. 1923-1924 przy ulicy Prądzyńskiego, zrealizowanych według projektu Aleksandra Ranieckiego. W marcu do rejestru wpisano też osiem inskrypcji na ścianach i framugach drzwi piwnic kamienicy przy ul. 11 Listopada 66. Napisy pozostawili więźniowie mieszczącego się w tym budynku w latach 1944-1945 aresztu NKWD.
- Jest już dostępna kolejna wersja bezpłatnej aplikacji Warszawa 19115 – umożliwiająca pozyskanie aktualnych wyników pomiarów i prognoz Warszawskiego Indeksu Powietrza. Mieszkańcy stolicy za pośrednictwem aplikacji otrzymują m.in. zalecenia, jak postępować w sytuacji wyższych stężeń zanieczyszczeń.

Zdjęcia: Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Warszawie

Zabytek z ulicy Waliców

Pod koniec marca do rejestru zabytków wpisano zespół oficyn kamienicy przy ul. Waliców 14 wraz z terenem posesji. Od 2015 r. funkcjonował nakaz rozbiórki obiektu – w planach było postawienie w tym miejscu wieżowca. Do zniszczenia budynku na szczęście nie doszło. Dzielnica Wola nie wykonała nakazu rozbiórki i zwróciła się do Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego o jego uchylenie lub odłożenie.

Kamienica przy ul. Waliców 14, zrealizowana ok. 1912-1913 r., jest dziełem spółki architektów: Józefa Napoleona Czerwińskiego i Wacława Heppena, autorów wielu wyjątkowych warszawskich kamienic, m.in. przy ul. Chłodnej 20 (tzw. kamienica Pod Zegarem), Bagateli 10, Śniadeckich 10 czy kamienicy Goldstandów na rogu Kredytowej i placu Dąbrowskiego. Jednym z mieszkańców domu przy ul. Waliców 14 był Władysław Szlengel, zwany poetą warszawskiego getta, autor takich przebojów, jak *Panna Andzia ma wychodne* czy *Jadziem, panie Zielonka*. W czasie Powstania Warszawskiego tuż przy kamienicy zbudowano barykadę. Ostrzał niemiecki silnie uszkodził budynek frontowy, w związku z czym po zakończeniu działań wojennych rozebrano jego tylny trakt. Mimo to obiekt w swej pozostałej części aż do 2004 r. pełnił funkcje mieszkalne. Dziś jest nieużytkowany z uwagi na zły stan techniczny.

W kamienicy w znacznym procencie zachował się oryginalny wystrój architektoniczny: nitowana balustrada klatki schodowej, dekoracyjna stolarka drzwiowa i okienna, płytki posadzkowe, parkiety, sztukaterie. W niektórych mieszkaniach przetrwały kaflowe piece i podokienne szafki pełniące funkcje lodówek.

O objęcie ochroną konserwatorską obiektu starały się głównie organizacje pozarządowe: ZOK – Zespół Opiekunów Kulturowego Dziedzictwa Warszawy, stowarzyszenie Kamień i co?, stowarzyszenie Wola Mieszkańców oraz Warszawa, której kiedyś nie będzie. Wpisanie do rejestru to nie koniec walki o obiekt – organizacje będą teraz zabiegać m.in. o zabezpieczenie dachu zabytku w drugiej studni, przemurowanie pod drutami spinającymi budynek i uzupełnienie cegieł w ścianach szczytowych. Trzymamy kciuki!

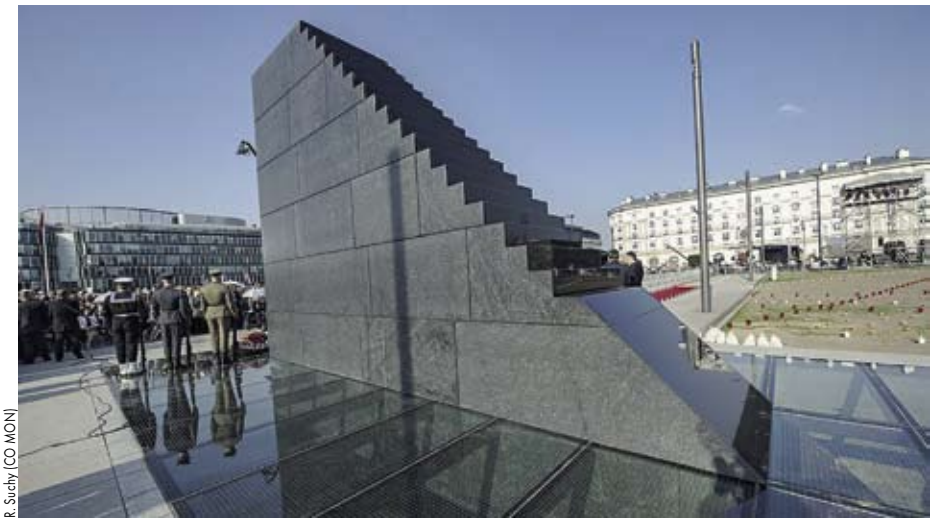

R. Suchy (CO MON)

Pomnik ofiar smoleńskich

Na placu Piłsudskiego odsłonięto 10 kwietnia pomnik ofiar katastrofy smoleńskiej. Podczas uroczystości jako pierwsza po biało-czerwoną wstęgę – w geście uruchamiającym ceremonię odsłonięcia – sięgnęła córka Marii i Lecha Kaczyńskich, Marta Kaczyńska. Arcybiskup warszawski Kazimierz Nycz poświęcił monument, a kilkanaście minut później Jarosław Kaczyński uroczyście odsłonił kamień węgielny pod budowę pomnika prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Prezydent Andrzej Duda złożył przed monumentem kwiaty. Potem nastąpiły wspólne modlitwy. W uroczystości wzięły udział rodziny osób, które zginęły w katastrofie – niewątpliwie jednej z największych tragedii w historii Polski na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat.

Autorem pomnika jest Jerzy Kalina, artysta bliski prawicy i kręgom kościelnym (autor m.in. oprawy pogrzebu ks. Jerzego Popiełuszki w 1984), lecz zarazem twórca głośnego dzieła w przestrzeni publicznej *Przejście* we Wrocławiu. Bryła warszawskiego pomnika nawiązuje do trapu samolotu, samolotowego statecznika, a także – jak mówi sam Kalina – do katafalku. Czarny monolit oświetlać będzie nocą 96 źródeł światła – jest to liczba ofiar katastrofy smoleńskiej.

Monument stanął na najważniejszej przestrzeni historycznej i politycznej Warszawy i Polski, na której odbywają się centralne uroczystości wojskowe i kościelne i która odwiedzana jest przez oficjalne delegacje z kraju i zagranicy, składające kwiaty przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Przypomnijmy, że pod koniec 2017 r. plac Piłsudskiego został przekazany przez ministra infrastruktury pod zarząd wojewody mazowieckiego.

Media komentujące odsłonięcie monumentu zastanawiają się, czy pomnik zamiast zbliżyć, nie podzieli jeszcze bardziej społeczeństwa.

Wystawa w Bramie Bielańskiej

Od 5 kwietnia w galerii Brama Bielańska można oglądać ekspozycję pt. *Pamięć. Ofiarom katastrofy smoleńskiej*. Wystawa jest hołdem oddanym tym, którzy zginęli pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. Swoje prace pokazuje 19 twórców z różnych stron Polski. Prezentowane dzieła są różnorodne – to m.in. obrazy olejne i akrylowe, rysunki, wydruki cyfrowe, rzeźby i serigrafia. Ekspozycja *Ofiarom katastrofy smoleńskiej* zorganizowana w 2015 r. w galerii „Dom" Sokołowskiego Ośrodka Kultury była pierwszą zbiorową wystawą w Polsce poświęconą dramatowi smoleńskiemu. Prezentowana była m.in. w sanktuarium Matki Boskiej w Świętej Lipce, Sejmie Rzeczypospolitej Polskiej oraz Parlamencie Europejskim w Brukseli. Ekspozycję można oglądać w galerii Brama Bielańska do 13 maja.

- Do 11 maja Główny Urząd Statystyczny prowadzić będzie ogólnopolskie badanie wykorzystania domowych komputerów i Internetu. Na terenie województwa mazowieckiego w badaniu weźmie udział 2,5 tys. gospodarstw domowych. Wylosowane rodziny mogą samodzielnie wypełnić ankietę poprzez specjalną aplikację albo poczekać na kontakt ankietera.
- Trwa remont elewacji kamienicy Kacperskich przy ul. Marszałkowskiej 1 – tzw. żelazka. Wybudowany w 1914 r. dziewięciokondygnacyjny niebotyk był w chwili swojego powstania jednym z najwyższych obiektów w Polsce.
- Od 2016 r. realizowany jest w Warszawie program promujący wolontariat *Ochotnicy warszawscy*. Na stronie ochotnicy.waw.pl organizatorzy wolontariatu mogą zamieszczać swoje oferty rekrutacyjne, a wolontariusze – znaleźć projekty, które najbardziej odpowiadają ich zainteresowaniom.
- W trzech warszawskich kompleksach leśnych przybędzie tej wiosny ponad 25 tys. drzew. W lasach Bródnowskim i Kabackim oraz w Lesie Bemowo posadzone zostaną m.in. dęby szypułkowe, wiązy, lipy i głogi.
- Trwa konkurs na projekt i wykonanie muralu, który trafi na liczący ponad 200 m mur zoo od strony ulicy Starzyńskiego. Ze względu na duże zainteresowanie konkursem przedłużono termin przyjmowania zgłoszeń – do 22 kwietnia. Mural ma powstać do jesieni tego roku.
- Paweł Sołtys, czyli Pablopavo, został laureatem drugiej edycji Nagrody Literackiej im. Marka Nowakowskiego za tom opowiadań *Mikrotyki*. Sołtys był wcześniej znany szerszej publiczności jako wokalista i muzyk, w 2014 r. nagrodzony Paszportem Polityki w kategorii *Muzyka popularna*. Jury doceniło debiutującego pisarza m.in. za oryginalne podjęcie problematyki warszawskiej, nowatorskie posługiwanie się słowem, twórcze nawiązanie do prozy patrona nagrody. Książkę Sołtysa uznano za mocno osadzoną w tradycji literackiej, a samego autora za człowieka oczytanego, swobodnie poruszającego się w literaturze. W marcowej STOLICY z Pawłem Sołtysem rozmawiał Paweł Dunin-Wąsowicz.

Nieznane dokumenty niemieckie z 1939 r. trafiły do Warszawy. Pokazują, jak hitlerowskie Niemcy przygotowywały się do wojny z Polską, jak programowo i metodycznie planowały atak na ludność cywilną oraz zniszczenie Warszawy. Wszystkie publikowane tu zdjęcia pochodzą z niemieckiego raportu

Raport o Warszawie

Dwa tomy dokumentów i zdjęć zostały wystawione na aukcji eBay w Niemczech. Wypatrzyli je warszawiacy – miłośnicy swojego miasta i jego historii. Od razu ocenili wagę materiałów i metodą łańcuszkową, przez Facebook, przekazywali dalej informację o nich – z sugestią, by je nabyć i sprowadzić do Polski, zanim zbiór wykupi prywatny zawodowy handlarz, który podzieli go na pojedyncze dokumenty i rzuci ponownie na rynek, oczekując odpowiedniego zysku. Tak informacja dotarła do historyka i varsavianisty Jarosława Zielińskiego, który przesłał informację o zbiorze do kilku instytucji kultury. Niestety, choć okazały one wielkie zainteresowanie, to typowy dla nich czasochłonny proces decyzyjny, zwłaszcza w kwestiach finansowych, mógł skutkować wykupieniem dokumentów przez osobę trzecią. Zieliński zwrócił się więc z apelem o ratowanie zbioru i sprowadzenie go do Warszawy do Rafała Szczepańskiego, założyciela Fundacji Pamięci o Bohaterach Powstania Warszawskiego, dewelopera i społecznika, który bez namysłu wyłożył niezbędną kwotę – 3 tys. euro – i dokonał zakupu.

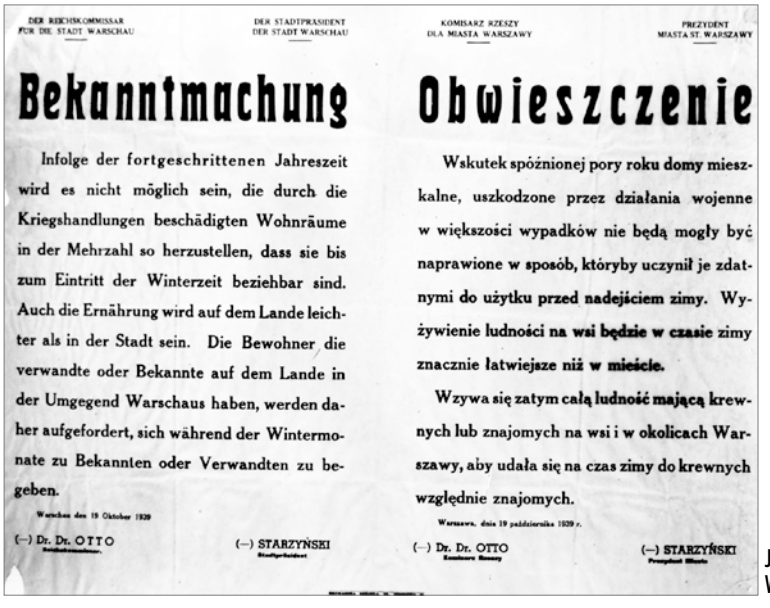

DER REICHSKOMMISSAR FÜR DIE STADT WARSCHAU — DER STADTPRÄSIDENT DER STADT WARSCHAU

Bekanntmachung

Infolge der fortgeschrittenen Jahreszeit wird es nicht möglich sein, die durch die Kriegshandlungen beschädigten Wohnräume in der Mehrzahl so herzustellen, dass sie bis zum Eintritt der Winterzeit beziehbar sind. Auch die Ernährung wird auf dem Lande leichter als in der Stadt sein. Die Bewohner die verwandte oder Bekannte auf dem Lande in der Umgegend Warschaus haben, werden daher aufgefordert, sich während der Wintermonate zu Bekannten oder Verwandten zu begeben.

(–) Dr. Dr. OTTO — (–) STARZYŃSKI

KOMISARZ RZESZY DLA MIASTA WARSZAWY — PREZYDENT MIASTA ST. WARSZAWY

Obwieszczenie

Wskutek spóźnionej pory roku domy mieszkalne, uszkodzone przez działania wojenne w większości wypadków nie będą mogły być naprawione w sposób, któryby uczynił je zdatnymi do użytku przed nadejściem zimy. Wyżywienie ludności na wsi będzie w czasie zimy znacznie łatwiejsze niż w mieście.

Wzywa się zatym całą ludność mającą krewnych lub znajomych na wsi i w okolicach Warszawy, aby udała się na czas zimy do krewnych względnie znajomych.

(–) Dr. Dr. OTTO — (–) STARZYŃSKI

Jedno z pierwszych obwieszczeń z 1939 r., podpisane jeszcze przez prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego oraz komisarza Rzeszy Helmuta Otto

Wstępne badanie zbioru Zieliński przeprowadził wraz z Ryszardem Mączewskim, varsavianistą, prezesem Fundacji Warszawa1939.pl. Okazało się, że są to tomy planów, schematów, wykresów oraz zdjęć, stanowiące załączniki do nieznanego polskim historykom dokumentu pt. *Raport o Warszawie*, którego całości Niemcy nadali klauzulę „Geheim", czyli „tajne". Układ dokumentów i ilustracji sugeruje, że są one swego rodzaju przypisami do nieznanej jak dotąd w Polsce zasadniczej części raportu. Już one same pozwalają na sformułowanie wstępnej hipotezy, że w raporcie zestawiono przedwojenne dane wywiadowcze – dane statystyczne, mapy, municypalne plany z 1935 r., przepisy prawne itd. – z rezultatami bombardowań i ostrzału miasta we wrześniu 1939 r. Dane te tylko w bardzo niewielkim stopniu dotyczą potencjału obronnego miasta i jego przemysłu zbrojeniowego, bardziej skupiają się na cywilnym aspekcie funkcjonowania metropolii – zagadnieniach miejskiej infrastruktury, w tym arteriach komunikacyjnych, wodociągach i kanalizacji, sieci gazowej i elektrycznej, systemie przeciwpożarowym i sanitarnym. Informują też o rozmieszczeniu szpitali i dworców kolejowych – a więc o miejscach, w których skupia się duża liczna ludzi. Dokumentacja zawiera ponadto przegląd cywilnych schronów i okopów przeciwlotniczych z podziałem na odmiany, jak również zabezpieczeń okien i bram domów. W kręgu zainteresowań nieznanych jeszcze z nazwiska autorów raportu znajdowały się warszawskie warunki geologiczne i przepisy budowlane, a przede wszystkim dane dotyczące grubości ścian, konstrukcji stropów, dachów i piwnic, ale z drugiej strony także wyposażenie posterunków ogniowych na strychach budynków albo toreb sanitarnych. Jeśli dodać do tego dane zaczerpnięte z polskich roczników statystycznych, a mówiące o gęstości zaludnienia w poszczególnych dzielnicach Warszawy i liczbie zamieszkujących je Żydów, a także o zagęszczeniu zabudowy (głównie mieszkalnej), to z zestawienia tych doku-

mentów zaczyna wyłaniać się obraz precyzyjnego przygotowania do ataku na ludność cywilną, nie tylko w celu jej sterroryzowania, ale całkowitego fizycznego wyniszczenia. Tezę potwierdza zestawienie tych danych z bogatym zbiorem zdjęć wykonanych na przełomie września i października 1939 r., tuż po wkroczeniu Niemców do Warszawy, które przerażająco beznamiętnie dokumentują skutki przyjętej strategii – zburzone domy mieszkalne, spalone zabytki, zniszczone szpitale i inne elementy infrastruktury miasta, w tym filtry i gazownię. Precyzyjnie ukazane i opisane zostały rezultaty trafień różnymi rodzajami bomb i pocisków w ściany i stropy budynków. Po udokumentowaniu mówiącym, że większość przedwojennych warszawskich domów miała stropy drewniane, Niemcy we wrześniu 1939 r., ale także podczas Powstania Warszawskiego i po nim, używali najczęściej bomb zapalających. Dodać należy, że zawarte w dokumentach zdjęcia nie są przypadkowe, lecz dobrane systemowo, dobrej jakości, wykonane bardzo profesjonalnie, a ich numery katalogowe wskazują na to, iż są częścią dużo większego zbioru.

Zamek Królewski, spalone skrzydła od strony dziedzińca, październik 1939 r.

Nowy Świat 31, róg Chmielnej. Kamienica po trafieniu bombą burzącą, październik 1939 r.

Wypalona widownia w Teatrze Wielkim, październik 1939 r.

Bezcenne dokumenty muszą w pierwszym rzędzie zostać poddane konserwacji, później zaś skopiowane i dopiero w kolejnej fazie gruntownie zbadane, a zbiór powinien być kompleksowo opracowany. W trakcie tych działań zostaną podjęte poszukiwania nieznanej części raportu, niezbędnej do całościowej oceny dokumentalnego zespołu archiwalnego i ostatecznego zweryfikowania przyjętych założeń. Jednym z nich jest robocza teza o wtórnym wykorzystaniu raportu jako receptury efektywnego niszczenia również innych europejskich metropolii, natomiast u schyłku działań wojennych – dla poprawienia skuteczności obrony przeciwlotniczej miast niemieckich. [red.]

Plan miasta (fragment) z rozmieszczeniem trafień bombami we wrześniu 1939 r. zestawionych z lotniskami, zakładami zbrojeniowymi, szpitalami, infrastrukturą miejską itd.

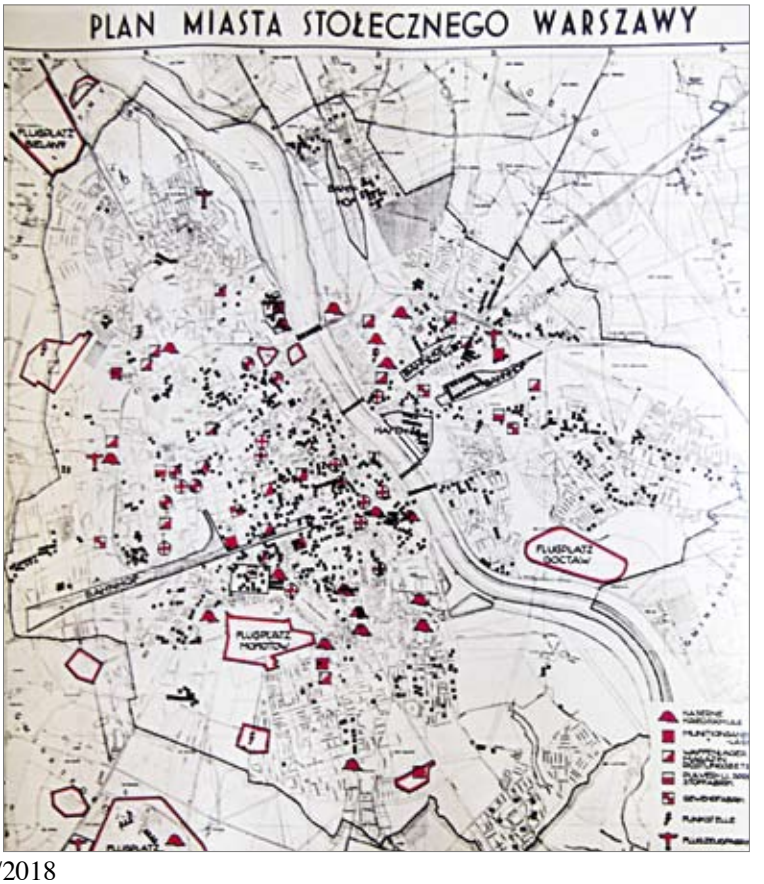

Wykreować miasto

Archiwum M. Ostrowskiego

Od lewej: Marek Ostrowski, Roman Bauta, Michał Ostrowski – jedna z załóg lotu nad Warszawą w projekcie Balloon-SCI-ART-GALLERY

Z Markiem Ostrowskim, przyrodnikiem, varsavianistą, twórcą studiów varsavianistycznych na Uniwersytecie Warszawskim, specjalistą fotografii lotniczej i satelitarnej, rozmawia Jan Lipski

Wkrótce wybory do władz miejskich…
Okazuje się, że wybory są dominującą cezurą życia miasta. Nie ma innego, naturalnego rytmu miasta. Warszawa jest taktowana przez terminy kolejnych wyborów. Jest w tym coś przykrego.

To chyba normalne w demokracji?
Nie ma to nic wspólnego z demokracją. Na rok przed wyborami aktywność władz miejskich spowalnia aż do stagnacji. Nie zapadają ważne decyzje, nie można rozmawiać o konkretach. Podczas kampanii wyborczej nikt nie zajmuje się miastem, tylko strategiami wyborów. Po wyborach, przez kolejny rok, nowe władze formują się i poznają swoje zadania. Dopiero później mamy rok czy półtora roku efektywnej pracy, ale potem znów wszystko zamiera, bo nadchodzą kolejne wybory. Sinusoida narastania i zamierania aktywności urzędu miasta powoduje politykę okresowości większości zadań – tak, aby z realizacją zmieścić się w ciągu czterech lat. Nie ma też mechanizmu, który nakazywałby kontynuować dokonania poprzedników. Wszystko to sprawia, że wybory są jak tornado – rok przed nimi i przez rok po nich miasto jest w stanie inercji.

Przypisałby Pan to wadliwej kulturze politycznej czy wadom instytucjonalnym?
To sprawa instytucjonalna, polityczna, ale także kwestia mentalności. Ludzie nie chcą „się podłożyć”, najbezpieczniej jest pozorować pracę. Miasto jest areną i narzędziem walki. Po wyborach albo pozostają ci sami ludzie, albo przychodzą nowi, nieobeznani. Ci starzy często są już zmęczeni, a nowi nie tylko nie interesują się tym, co robili poprzednicy, ale też bardzo często niszczą to. Nie ma ciągłości i miasto funkcjonuje w rytmie wyborów. Byłoby fantastycznie, gdyby można było w jednej kadencji wypracować plany rozwoju obowiązujące kolejną ekipę samorządową. Chciałbym, aby kandydat na prezydenta tak formułował swoje deklaracje, aby można było jednocześnie kontynuować idee poprzedników i wyznaczać cele dla następców. Nie może być tak, że projekty rozwoju miasta wzajemnie się torpedują. Czynnikiem jednoczącym zazwyczaj staje się wspólne zagrożenie – tak duże, że ludzie mają poczucie wspólnoty i nie zajmują się głupstwami. Przykładami w historii Warszawy były epidemie czy zagrożenia militarne, które jednoczyły nawet fanatycznych przeciwników. A co dzieje się, gdy nie widać takiego jednoczącego zagrożenia? Warszawa jest jak duża korporacja, a dobry szef korporacji w takiej sytuacji generuje „zagrożenie” lub podrzuca ideę, która porwie wszystkich. Tego oczekiwałbym od prezydenta.

Czyli większa świadomość kultury politycznej, większe zrozumienie dla zasad demokracji… Smog to za mało?
Idea czystego powietrza to dobry przykład. Prezydent jest przedstawicielem wspólnoty, a zagrożenie smogiem może uformować strategię funkcjonowania miasta,

zarządzania nim, może stworzyć konsekwentną ciągłość polityki. Problemem w wyborach jest to, że głównym kryterium staje się przynależność polityczna, ideowa kandydata. Jest on traktowany jak produkt. Partie wybierają kogoś, kto jest na tyle plastyczny, że można go uformować pod kątem oczekiwań i sympatii publiczności. Promują go, choć może się nie nadawać na prezydenta. Nie mamy naturalnych przywódców z wizją rozwoju miasta i porwania społeczeństwa. Druga sprawa – mówimy: wybieramy prezydenta Warszawy. Czyli czego? Pytanie pozornie banalne. Warszawa administracyjnie określona jest formalnymi granicami, tymczasem rozciąga się dużo szerzej – od Otwocka po Modlin, od Grodziska po Wołomin. Prezydent powinien uwzględniać synergię z większym obszarem niż administracyjne granice Warszawy. Kolejna sprawa – nawet w granicach administracyjnych mamy dwa różne miasta. Jedna Warszawa to miasto z jej stałymi mieszkańcami, których interesuje, gdzie jest żłobek, szkoła, mięsny, czy są buspasy itd. Na ten sam obszar nakłada się stolica ze swoją stołecznością, która jest zupełnie inną przestrzenią: polityczną, gospodarczą, mentalną, społeczną. Ma też inne właściwości i wymagania. Często nie mieszkają w niej warszawiacy, tylko ludzie, którzy tam przyjeżdżają okazjonalnie, posłowie, pracownicy korporacji, kibice, a także strajkujący, których samo miasto nie interesuje. Jeśli ktoś ma być prezydentem, to musi być świadom, że jest prezydentem dwóch różnych Warszaw: miasta i stolicy.

Co kandydat na prezydenta powinien robić w takiej sytuacji?

Warszawa miasto zyskuje na stołeczności, ale jednocześnie jest paraliżowana Warszawą stolicą poprzez manifestacje, pozawarszawskie ogólnokrajowe interesy polityczne itp. Przyszły prezydent powinien być tego świadom i jasno wykazać to w swoim programie.

Co Pana zdaniem warto kontynuować z dorobku obecnej ekipy?

To, co przyczyniło się do rozwoju miasta poprzez działania społeczności lokalnych. Jest jeszcze jedno kryterium, chyba rzadko brane pod uwagę. Włodarze chwalą się na przykład budową kolejnego mostu – oczywiście, to ważna inwestycja. Ale czy ktokolwiek, podsumowując dorobek kadencji, wylicza, ile wydarzeń, dokonań zyskało status marki – wyróżnika jakości, idei, tożsamości, a nie samej inwestycji? Marek nie wypracuje się w ciągu miesiąca. Brakuje mi świadomego wytyczania określonych marek, które chcielibyśmy zbudować, a nie tylko samych celów.

Co może być taką marką miasta?

Może nią być zarówno materialna inwestycja, jak i wydarzenie czy działalność. Także idea czy przesłanie, które może służyć promocji. W ubiegłym roku w październiku zrobiłem pierwszy w historii przelot czterech balonów nad Warszawą, ze startem z historycznego miejsca – Pola Mokotowskiego, z bezpośrednią transmisją prowadzonej na żywo z powietrza interdyscyplinarnej lekcji dla szkół i wykładu akademickiego. Odbierało ją kilka tysięcy internautów na całym świecie, łącznie z małą wioską na Syberii. Życzenia w trakcie lotu przesłali nawet kosmonauci amerykańscy. To była niesłychana promocja Warszawy, jej potencjału historycznego, urbanistycznego, przyrodniczego, kulturowego, naukowego… Czy ktoś się tym zainteresował w ratuszu? Nikt. Z instytucji podległych urzędowi miasta również nikt. Można uznawać za markę Warszawy Kolumnę Zygmunta, Zamek Królewski... Tylko, niech mi Pan wierzy, mało kto z mieszkańców zdaje sobie sprawę, czym w rzeczywistości jest Zamek Królewski w historii Warszawy.

Jako siedziba centralnych władz Rzeczypospolitej?

Jako korzeń dzisiejszej metropolii. To on był początkiem (zarodkiem) – jak ją nazywam – Trzeciej Warszawy (po Starym i Nowym Mieście). To z niej w dalszej ewolucji wykształciła się współczesna metropolia. Dzisiejsza Warszawa nie powstała z rozwoju Starego Miasta. Zamek Królewski rozumiany jako zaczyn współczesnego miasta, jako własność Rzeczypospolitej, rezydencja, a nie własność króla, jest dla mnie jednym z fenomenów tożsamości Warszawy – jedną z jej marek. A dla ludzi, w tym wielu przewodników, to jest po prostu przestrzeń reprezentacyjna z bogatą historią, miejsce, gdzie odbywają się uroczystości. Tylko tyle. Gospodarzom i zarządcom miasta brakuje często wiedzy o Warszawie, wyobraźni, wizji i zdolności kreowania. Miasto trzeba bowiem wykreować, a nie tylko nim zarządzać. Tego najczęściej brakuje kandydatom na prezydenta miasta, włodarzom dzielnic i radnym. Oni wiedzą, jak zarządzać w sensie politycznym, wiedzą, jak zdobywać i utrzymywać władzę, natomiast brakuje im często podstawowej wiedzy o mieście, mechanizmach funkcjonowania społeczeństw, wyrozumiałości i fantazji. Większość kandydatów to urzędnicy lub politycy. Przyszły prezydent miasta musi być urzędnikiem, ale powinien też mieć wizję rozwoju. Jeśli nie potrafi jej stworzyć, nie powinien kandydować. A mimo to kandyduje i ma jeden cel: wygrać wybory, zapewnić pracę swoim ludziom. Mówię to, świadomie nadmiernie generalizując, ale często jest to jedyna droga, aby w ten sposób dotrzeć do umysłów innych osób – i kandydatów, i wyborców.

Czy może Pan wskazać kogoś, kto miał wizję – w przeszłości, może w innych miastach?

Nie trzeba daleko szukać – mieli ją dwaj komisarze: Starynkiewicz i Starzyński. Byli urzędnikami,

➜

ale z wyczuciem przestrzeni i funkcjonowania miasta. Rozumieli, czym jest to miasto, czym jest relacja między człowiekiem, miastem i środowiskiem. Proszę zwrócić uwagę, w jakiej sytuacji był Starynkiewicz, któremu postawiono zadanie budowy twierdzy Warszawa. Dostał na to pieniądze i zrobił wiele. Ale stworzył też wodociągi i kanalizację, w co zaangażował się osobiście i musiał przekonywać do tych inwestycji mieszkańców, którym jego projekty wcale się nie podobały. Starzyński działał w innych warunkach, w sytuacji bardzo niestabilnej politycznie, również w Warszawie. Walki między frakcjami były fatalne dla miasta. Jednak on w obliczu tych walk przede wszystkim zabiegał o interes miasta i społeczeństwa. Można również wspomnieć, że człowiekiem, który wiele zrobił dla Warszawy, był Hans von Beseler.

Gubernator niemiecki w czasie pierwszej wojny światowej, który rozszerzył granice Warszawy.
Miał wizję, wiedział, po co to robił. Osoba, która kandyduje, powinna przedstawić propozycję zarządzania i rozwoju miasta, a nie opowiadać androny miłe dla słuchaczy, żeby wygrać prezydenturę. Są dwa rodzaje przywódców – pierwszy woła: „Chłopcy za mną", a drugi „Chłopcy naprzód". Jeżeli ktoś jest typu „Chłopcy naprzód", to jest głównie urzędnikiem, który mówi: róbcie, a ja będę akceptował lub nie. Miasto to w pewnym sensie tworzone na żywo dzieło sztuki, a prezydent powinien być przywódcą nie grupy rekonstruktorów, ale zespołu/społeczności ambitnych twórców, pionierów. Chciałbym widzieć prezydenta, który świadomie wytycza nowe kierunki, ma wizję, potrafi pociągnąć za sobą ludzi, który będzie mówić o rzeczach dużych, a nie o tym, że wszystkie matki małych dzieci będą miały dostęp do żłobków – to oczywiste i powinno być naturalnym efektem prezydentury, a nie celem kampanii wyborczej.

Żłobki należą do zadań Miasta.
To jeden z mnóstwa postulatów do spełnienia, a nie jedno z głównych działań prezydenta. Chciałbym powiedzieć więcej o edukacji. Były takie projekty, jak Warszawski Tryptyk Edukacyjny czy Szkoła Warszawska, ale kończyły się na poznawaniu historii miasta. Tryptyk to ponadczasowy, nowoczesny projekt naukowy, edukacyjny, wychowawczy i społeczny – innowacyjny program, który otwiera nowe możliwości interdyscyplinarnej edukacji. Żaden z prezydentów nie zainteresował się nim jednak dość aktywnie. Wiedzę z matematyki, fizyki, chemii, biologii, informatyki, logiki, ekonomii, plastyki i historii uczniowie mogliby przyswajać nie abstrakcyjnie, ale na konkretnym przykładzie przestrzeni Warszawy, by na bieżąco konfrontować tę wiedzę z rzeczywistością. Z tych osób, tak ukształtowanych, wywodziliby się przyszli radni, prezydenci miasta. Nauczanie obejmowałoby nie tylko wiedzę, ale myślenie przestrzenią, myślenie jednostkami społecznymi, strukturalnymi, politycznymi, kulturalnymi, ekonomicznymi, środowiskowymi, które spajają się w jedną współzależną strukturę – w organizm miejski. Biuro Edukacji Urzędu m.st. Warszawy jako jedyne zaangażowało się w ten projekt. Ale to wymaga aktywnego udziału i determinacji prezydenta. To właśnie jest budowanie unikatowej marki miasta (nigdzie na świecie nie ma takiego projektu) i to jest inwestycja w przyszłość.

Programy szkolne nie należą do kompetencji Miasta.
Należą. Minister tylko daje główne wytyczne. Prezydent, który ma wizję, powinien powiedzieć: w Warszawie będzie jedna lekcja poświęcona nie tyle nawet Warszawie, ile wdrażaniu i weryfikacji wiedzy na przykładzie Warszawy. Warszawa staje się narzędziem i modelem efektywnej pracy. Uczeń nie tylko zdobywa wiedzę, ale też wie, w jakim celu potrafi ją wykorzystać i – co ważne – uczy się brać odpowiedzialność za swoje decyzje. Jest to nadanie sensu nauce, nie mówiąc o bezpośredniej promocji miasta. Ten projekt reprezentował Polskę w czasie prezydencji we Wspólnotowym Centrum Badawczym Komisji Europejskiej w Ispra, ale na tym się skończyło. Nauczyciele nie mają motywacji, aby taką nowoczesną ideę edukacji, wykorzystującą obrazy lotnicze i satelitarne jako plansze do gry w miasto, wdrażać do programu szkolnego. Warszawa byłaby pierwsza.

Historia – rozumiem. Ale matematyka, chemia, fizyka, języki obce na przykładzie Warszawy – czy to możliwe?
Oczywiście. Wyszły dwa tomy unikatowych scenariuszy przygotowane wspólnie z Biurem Edukacji. Jak rozwiązać w danym osiedlu sprawę dostępu do szkoły, zanalizować ciąg arytmetyczny na przykładzie misy Stadionu Dziesięciolecia, spojrzeć na wydarzenia nocy listopadowej z perspektywy wydarzeń w ciągu czasowym (historycznym), literackim czy matematycznym (optymalizacja trasy sprzeczna oczywiście z wydarzeniami historycznymi). To przy okazji umiejętność interpretacji obrazów satelitarnych, czyli przepustka do nowych technologii. Program nauki nie przewiduje przekazywania praktycznej wiedzy, ale Warszawa miałaby szansę być pionierem w takiej edukacji.

Wróciłbym jeszcze do tego, co Pan mówił o marce Warszawy. Marka wskazuje na coś. Interesuje mnie to w kontekście tożsamości Warszawy.
Marka to wyróżnik, a może nawet certyfikat. Marką mogą stać się drobiazgi, ale muszą być zrobione z dużą klasą intelektualną i być podchwycone przez innych,

M. Ostrowski

żeby się wbiły w pamięć. Wtedy stają się marką i elementem tożsamości. Tych marek może być dużo. Aby to docenić, nie wystarczy erudycja, potrzebne są podstawy wiedzy o psychologii, również o czymś takim jak psychologia miasta. I to nie w znaczeniu akademickim. Na przykład – kto wie, że miasto ma swój przód i tył?

Co jest przodem i tyłem Warszawy?
Chociażby Krakowskie Przedmieście – jako przestrzeń reprezentacyjna. Pałace zwrócone są przodem do Krakowskiego Przedmieścia, a tyłem do Wisły. A poniżej skarpy mamy tereny położone nie tylko z tyłu, a więc gorsze, ale także niżej, a więc podwójnie gorsze.

To jest przód i tył?
Tak. Mówienie o tym, że Wisła dzieli Warszawę, że Warszawa jest odwrócona od Wisły, wynika z niezrozumienia sprawy. Warszawa nie leży nad Wisłą, Warszawa – ta historyczna, funkcjonująca w naszej świadomości – leży na wysoczyźnie, dochodzi do skraju wysoczyzny. Poniżej mamy powiśle, na lewym i prawym brzegu. Tam ludzie są związani z Wisłą. Do Warszawy dojeżdża się z jej sąsiedztwa: z Pragi, Saskiej Kępy, Mokotowa, Bielan, Grochowa, Ursusa, Solca, Woli, Ochoty... Warto dostrzegać w mieście nie tylko kierunki geograficzne, ale również mentalne, często nieuświadamiane. One są istotnym elementem funkcjonowania miasta.

Tak było w XIX w. Ale dzisiaj?
To zostało do dzisiaj w mentalności. Kiedy mówimy, że idziemy *do*, to wyrażamy w ten sposób szacunek do danej przestrzeni, kiedy idziemy *na*, to akcentowana jest pewna podległość. Czy może Pan wymienić dzielnice Warszawy, do których się jedzie *do*?

Śródmieście, centrum.
I to wszystko. Natomiast jedziemy na Mokotów, na Wolę itp.

Na Żoliborz, na Saską Kępę... To bardzo eleganckie dzielnice.
Na oznacza podległość w stosunku do Warszawy. Warszawa to przestrzeń, która wyewoluowała wokół Zamku Królewskiego, przestrzeń wspomnianej przeze mnie Trzeciej Warszawy. Niech ona będzie tą wizytówką. Ale nie przez to, że jest, tylko dzięki wartościom, jakie daje dzisiejszej Warszawie. Bo korzeniem dzisiejszej Warszawy jest Warszawa magnacka. Tu poruszamy bardzo istotne zagadnienie wartości wiedzy zdobytej w szkole czy na uczelni. Ważna jest umiejętność pracy intelektualnej nie tylko na liczbach, danych, na informacjach, ale przede wszystkim na cechach. I tej umiejętności wiele osób po prostu nie ma. Jeżeli operujemy cechami, to wyróżniamy tę właściwość, która jest najbardziej istotna, najbardziej uniwersalna. I właśnie te cechy mogą stać się markami. Zastanawiam się, bo to jest

➜

myślą przewodnią naszej rozmowy, czy kandydat na prezydenta jest gotów zaprezentować cechy swojej osobowości, które gwarantowałyby realizacje tak ambitnych zadań – nie tyle w zarządzaniu Warszawą, ile w tym, aby Warszawa, jako miasto i stolica, stawała się wielka i przyjazna. Na przykład Wisła z jej zróżnicowanymi brzegami, zurbanizowanym lewym brzegiem i naturalnym prawym – to może być jedna z marek. Ważne jest, aby tę markę umiejętnie podkreślić. Eksponują ją bulwary na lewym brzegu i dostępne naturalne łęgi na prawym. To niewątpliwie jeden z sukcesów obecnej ekipy.

Jednak ta dominacja części miasta położonej na wysoczyźnie nie jest chyba dobra. Co należy zrobić, żeby Warszawa była bardziej nad Wisłą?
Cieszę się, że Wisła – nazwana 19. dzielnicą – została włączona do Warszawy. Fantastyczną rzeczą są bulwary. Ale jeszcze większą wartością jest pozostawienie prawego brzegu w stanie dzikim. Pamiętam, jak ktoś mówił, że w porcie czerniakowskim powinna być marina z jachtami. Nie może być nic gorszego. Dwie dekady temu podkreślałem, że w Warszawie powinny być łodzie płaskodenne. W ostatnim czasie powstały liczne fundacje związane z Wisłą i teraz masowo rozwija się cały społeczny i komercyjny ruch łódek drewnianych, tradycji wiślanej. Ale tym trzeba sterować – i to jest rola prezydenta. Prezydent powinien nie tylko funkcjonować jako urzędnik, oceniając i akceptując złożone projekty, ale również sam aktywnie działać: zapraszać i szukać wykonawców swoich idei. To dobrze, że został dziki prawy brzeg, możemy go oglądać z bulwarów, pozostając w eleganckim środowisku lewobrzeżnego miasta. Ale czy te bulwary będą stale żyły? O to też trzeba dbać, a nie tylko polegać na spontaniczności społeczeństwa.

W zeszłym roku widziałem tam tłumy.
To nie musi być trwałe. Ktoś powie: tam będą występy didżejów, gdzie indziej wystawy. To za mało. To tak, jakby ktoś nie miał pomysłu i powiedział: trzy puby, cztery restauracje, ludzie będą przychodzić. Niekoniecznie. Na przykład herbaciarnia w Łazienkach, przy wejściu od Alej Ujazdowskich, stoi pusta. Może właściciel popełnia jakieś błędy? Ale o jej lokalizacji nie właściciel zdecydował. Powinien być program dla bulwarów, wybiegający na 10-20 lat do przodu.

Mówił Pan o centrum Warszawy, o Warszawie odziedziczonej po I Rzeczypospolitej. Chciałbym wrócić do centrum, zapytać o miejsca publiczne i o to, co tam teraz trzeba zrobić?
Prowadziłem na UW seminarium o centrum Warszawy. Pokazywałem studentom, że pojęcie centrum wiąże się z kilkoma bardzo istotnymi sprawami, których wiele osób nie dostrzega. Po pierwsze centrum nie istnieje bez peryferii. Peryferie wyznaczają centrum. Druga sprawa: centrum jest wyborem – naszym, ludzkim. Jest częścią mentalności. Miejscem, gdzie ludzie się spotykają. Ktoś powiedział mi, że centrum przenosi się teraz na Wolę. Odpowiadam: pan mówi o budynkach, o korporacjach, ale nie o centrum. Niektóre miejsca w sposób naturalny stają się centrami. Może być ich wiele. Centrum jest tam, gdzie ludzie się spotykają, wymieniają poglądy. Na przykład plac Zbawiciela, skrzyżowanie Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej, bo tam kończyła się Kolej Warszawsko-Wiedeńska, czyli połączenie z Europą. Ktoś powie, że jeszcze plac Teatralny. Tyle że on jest martwy. Tak jak plac Bankowy. A żywym centrum jest plac Zamkowy z placem Bernardyńskim. Tam, gdzie ludzie chcą przyjść, bo tam jest szansa spotkania z ciekawymi osobami, z ciekawą rzeczywistością. W takich miejscach spontanicznie rodzi się poczucie wspólnoty.

Codzienny teatr uliczny.
Tak. A gdzie jest centrum polityczne? W całej Warszawie. Budynki rządowe, Pałac Prezydencki, NIK. Centrum nie musi mieć granic. To jest miejsce funkcjonalne.

Czy w aranżowaniu tych centrów jest według Pana coś do zrobienia w najbliższych latach?
Urbaniści bardzo chcieliby takie centra tworzyć. Ale one będą martwe, bo ludzie wcale nie muszą ich akceptować. Urbanistyka nie powinna kreować miasta, odwrotnie – powinna wypełniać oczekiwania społeczeństwa. Oczywiście powinna stymulować, czyli wytyczać nowe propozycje... Niestety, nie widzę spójnej polityki rozwoju miasta jako przestrzeni.

Powstają plany zagospodarowania.
W moim odczuciu to jest śmieszne, jeżeli plan zagospodarowania dla jednego kwartału między czterema ulicami powstaje 10 lat. Dostrzegam też brak działań wymuszających scalanie gruntów. Jeszcze kilka lat temu, wdrażając wspomniany Tryptyk Edukacyjny, pokazywałem uczniom na obrazach termalnych, jak funkcjonuje miasto jako wyspa ciepła, jakie są przepływy i turbulencje, jaka jest rola budowanych naprzemiennie czy wyspowo osiedli i miejsc o mniejszej pojemności cieplnej. Zdumienie moje wywołało to, że fakty zrozumiałe przez uczniów nie były traktowane poważnie przez urbanistów. Co dzieje się z klinami napowietrzającymi? Zaprojektowano je przed wojną. A co robią urbaniści? Gdy tylko mają intratne zlecenie – sami je zabudowują.

Urbaniści czy deweloperzy?
Projektanci i urbaniści. Urbaniści budują, deweloper jest nastawiony na zysk. Urbaniści mówią na wykładach,

jak bardzo kliny są cenne, a jeżeli mają zlecenie – projektują w nich osiedla. Kolejnym elementem, którym warto się zająć, jest idea skarpy warszawskiej. Skarpa warszawska ginie w przestrzeni. Została tak zabudowana, że tylko małe jej fragmenty są widoczne. Nikt ich nie dostrzega jako skarpy. Widać ją jeszcze w Lasku Bielańskim, pod Starym Miastem.

Stare Miasto jest wyeksponowane dzięki skarpie.
Nie. To wyeksponowanie dotyczy tylko perspektywy znad Wisły i tylko dlatego, że druga wojna światowa zniszczyła budynki na Rybakach, odsłaniając skarpę wysoczyzny. Wszystko pokrywała zabudowa, urwiska nie było widać. Skarpa jest dziś wyeksponowana jeszcze pod Uniwersytetem Warszawskim, Belwederem czy Królikarnią. Po jej zboczu schodzą schody ukształtowane po wojnie w ramach Centralnego Parku Ludowego, w miejscu schodów dawnego pałacu Branickich. Szkoda, że nie zostały wypromowane, jak schody z placu Hiszpańskiego do kościoła Trinità dei Monti czy schody odeskie, znane z filmu *Pancernik Potiomkin*. Skarpę i jej elementy warto wyeksponować. Jednym z takich miejsc jest ogród sióstr szarytek, który może być sprzedany pod inwestycje. Miasto powinno wykupić ten fragment, póki jeszcze jest, zrobić furtkę w płocie...

Skarpę rozpatrujemy razem z sadem poniżej?
Tak. Na skłonie skarpy Miasto mogłoby sadzić drzewa owocowe. Jak w słynnym ogrodzie dendrologicznym, który kiedyś istniał w rejonie ulicy Chałubińskiego. Niech kwitną wiosną. Byłaby to kolejna atrakcja – marka Warszawy.

Siostry odgrodziły sad żywopłotem.
Nieważne. Miasto wykupuje ten ogród i sadzi jabłonie. To nie są jakieś przemysłowe jabłonie, ale na przykład polskie historyczne odmiany jabłoni, śliw i grusz. Widzi pan przed oczami ten obrazek kwitnących jabłoni wiosną, a potem drzew jesienią, kiedy owoce dojrzewają i można je na miejscu kupić? W ten sposób uzyskalibyśmy urokliwe miejsce rozciągające się amfiteatralnie od podnóża do szczytu skarpy. Rodzaj parku, którego Warszawa nie ma dzisiaj. Tak buduje się markę. Jak zadbaliśmy o bulwary nad Wisłą, tak teraz zadbajmy o skarpę. Mało miejscowości leży na takiej wysoczyźnie jak Warszawa. To jest przepiękna naturalna scenografia.

Czy to nie jest wprowadzanie obcego elementu do miasta?
Przeciwnie. To ważny element współistnienia miasta i środowiska – nie tylko naturalnego, ale i kulturowego. Obcym elementem w strukturze wielkomiejskiej są natomiast osiedla domków odtwarzające układ pól.

Urbanizacja łanowa. Pan to nazywał inaczej – niwowa?
Łan jest jednostką pomiaru. Niwa to forma ukształtowania powierzchni uprawy. Ale nie to jest istotne. Krótko mówiąc – zabudowa wsiowa. Nie mówię wiejska, tylko wsiowa. W tej przestrzeni nigdy nie powstanie miasto z jego wielkomiejskimi strukturami. Prezydent powinien współdziałać z samorządami lokalnymi, aby zapobiegać tego typu rozwojowi miasta.

Jest Pan autorem albumów ukazujących Warszawę fotografowaną z góry. Wyobraźmy sobie, że nowo wybrany prezydent prosi Pana, aby pokazał mu Pan Warszawę. Dokąd zabrałby go Pan?
Swoją wyprawę balonową rozpocząłem ze szczególnego miejsca – z Pola Mokotowskiego. To jest historyczne miejsce startu balonów. Ale potem pozwoliłem nieść się wiatrowi, chcąc odkryć nowe miejsca, których nie znałem. Chciałbym, żeby prezydent wykazał podobną ciekawość – ciekawość odkrywcy, który szybko interpretuje dostrzeżone obrazy, a nie tylko delektuje się lotem i faktem uczestnictwa. By – na podobieństwo Haruna ar-Raszida z *Baśni tysiąca i jednej nocy* – przechadzając się po mieście, słuchał, co ludzie mówią, czego potrzebują. Czy widzi Pan prezydenta, który tak postępuje? Samo pójście do metra i częstowanie kawą jest tak sztuczne... To jest robione na pokaz. Trzeba pójść w nieznane i umieć stworzyć autorską wizję rozwoju. Nie zakładać, dokąd się idzie, ale wiedzieć – po co. Odkrywać i takimi odkryciami dzielić się z innymi. Tak wyobrażam sobie budowanie marki Warszawy i marki wybitnego prezydenta.

Studenci varsavianistyki na Uniwersytecie Warszawskim – uczniowie dr Marka Ostrowskiego

Budowanie stołeczności

Trudne początki

Grzegorz Mika

Odzyskanie niepodległości i budowa nowego państwa zapoczątkowane jesienią 1918 r. uczyniły z Warszawy najważniejsze miasto i przyszłą stolicę kraju. Warszawa była jednak zupełnie nieprzygotowana do nowej roli

Między upadkiem I RP w 1795 r. a narodzinami II RP 123 lata później zmieniał się status polityczny Warszawy, zmieniała się też jej koniunktura gospodarcza. W przededniu pierwszej wojny światowej oblicze miasta miało postać ukształtowaną w trakcie pięciu dekad rozwoju. Jego charakter i kierunki taktowane były przez szereg czynników będących wynikową rosyjskiej geopolityki i gospodarki. Dostępność europejskich i azjatyckich linii kolejowych czyniła z miasta dobry węzeł przesiadkowy oraz przeładunkowy. Jednocześnie warszawski przemysł mógł się rozwijać dzięki dostępności nowego środka spedycji masowej. Industrializacja przyciągała coraz większą falę ludności z prowincji, szukającej pracy i miejsca zamieszkania. Przyrost liczby mieszkańców był motorem koniunktury budowlanej i znaczącej rozbudowy dzielnic. Niestety, równolegle migracja skutkowała przeludnieniami domów i pogarszaniem się warunków sanitarnych. Spekulacja gruntami i maksymalizacja rentowności domów prowadziły do zabudowywania parcel w 70-80 procentach. Do połowy lat 80. XIX w. większa część miasta pozbawiona była systemu kanalizacji i wodociągów.

Wszystkie wspomniane problemy rozwojowe występowały w realiach rosyjskiej polityki i doktryny militarnej. W ramach represji popowstaniowych, rusyfikacji oraz planów wojennych rozwój przestrzenny Warszawy został na wiele sposobów zahamowany. Jednocześnie prioryte-

NAC

Fasada gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, ok. 1925-1930

tem były inwestycje infrastrukturalne, strategiczne dla funkcjonowania miasta twierdzy. Decyzja cara z 1879 r. o budowie systemu fortyfikacji twierdzy Warszawa doprowadziła do równoczesnej modernizacji technicznej i dogęszczenia miasta oraz upośledzenia urbanistycznego przedmieść. Pierwszy pas fortyfikacji powstał w promieniu 5-5,5 km od kościoła ewangelickiego (punkt orientacyjny w panoramie miasta) – wyznaczał on wewnętrzną granicę rozległego przedpola oraz drugiego łańcucha fortów. Na zmilitaryzowanym obszarze praktycznie nie można było wznosić żadnych obiektów, również wewnątrz samego miasta ograniczono możliwość budowy wysokich obiektów.

W tym czasie Warszawa funkcjonowała na obszarze ok. 3240 ha, w granicach, które w zasadzie nie zmieniły się od 1771 r. Do 1875 r. wzdłuż Okopowej, Towarowej, Koszykowej, Polnej, Klonowej i Podchorążych przebiegał wał ziemny, wyznaczający realną granicę dwóch światów. Wszelkie procesy urbanizacji zachodziły „do wewnątrz", jako że granica miasta stanowiła jednocześnie granicę jednej z wojskowych stref ograniczonej zabudowy. Skutkiem tego pogłębiał się kontrast między zagęszczającym się miastem i całkowicie zaniedbanymi koloniami podmiejskimi. Zdominowane przez drewnianą zabudowę, glinianki, cegielnie i manufaktury – rozciągały się głównie wzdłuż tras wylotowych oraz ich przecznic. Do 1886 r. dla terenów tych nie istniały żadne prawdziwe plany urbanistyczne.

W 1886 r. z inicjatywy Sokratesa Starynkiewicza powstały pierwsze plany parcelacji poszczególnych przedmieść, zrealizowane bardzo połowicznie. Wewnątrz Warszawy sytuacja mieszkaniowa i jakość życia pogarszały się. Z 32 km^2 prawie 2/3 powierzchni zajmowała dolina Wisły, rozległe tereny koszar i magazynów wojskowych, pasma bocznic i linii kolejowych, parki, zieleńce i prywatne ogrody oraz rozległe place fabryczne.

W 1870 r. na obszarze ok. 15 km^2 mieszkało niespełna 270 tys. osób. Dwie dekady później– już 455, a w 1900 r. – aż 685 tys. mieszańców. Najbardziej zaludnionym fragmentem miasta był kwartał między Chmielną, Marszałkowską, Grzybowską i Żelazną. W 1897 r. mieszkało tam prawie 60 tys. osób na obszarze ok. 1,2 km^2. Do wybuchu pierwszej wojny liczba ludności nieustannie wzrastała – aż do 884 tys. osób.

Po 1899 r. nastąpiła pewna liberalizacja polityki caratu, dzięki której w Warszawie zaczęły powstawać nowe gmachy użyteczności publicznej (w tym budynki Filharmonii, Zachęty), szkoły (np. gmach Politechniki) i kościoły. Rosjanie w pewnym stopniu kontynuowali politykę rusyfikacyjną (m.in. poprzez budowę wielkiego soboru na placu Saskim), zaś po rewolucji 1905 r. cofnęli część swobód społecznych. Jednakże ograniczenia dotyczące architektury nie były już tak restrykcyjne. Do 1915 r.

➜

KALENDARIUM

Warszawa w kwietniu 1918 r.

1 kwietnia

- Drugi dzień świąt Wielkanocy był piękny i słoneczny, więc mieszkańcy Warszawy ruszyli masowo na spacery w Aleje Ujazdowskie, do parków i ogrodów miejskich. „Teatry i kinematografy cieszyły się wielkim powodzeniem" – pisano na łamach „Kuriera Warszawskiego". Była to jednak Wielkanoc uboga, pozostająca w cieniu piątego roku wojny, „Święta minęły w nastroju dalekim od hucznych zabaw lub hołdowania uciechom suto zastawionych stołów". Większość osób spędzała je w bliskim gronie rodzinnym. Nawet zamożni rezygnowali w niedzielę z zapraszania gości na święcone.
- W meczu piłki nożnej rozegranym na boisku w parku Agrykola zawodnicy Polonii Warszawa, gorąco oklaskiwani przez licznie przybyłą publiczność, rozgromili drużynę Szkoły Podchorążych aż pięcioma bramkami.

2 kwietnia

- W sali balowej Hotelu Europejskiego odbyło się zebranie założycielskie Klubu Ziemiańskiego. Na drugim piętrze hotelu ulokowano siedzibę tej organizacji. Klub był apolityczny. Prezesem został Maciej ks. Radziwiłł, wiceprezesami byli Kazimierz Olszowski oraz Zdzisław baron Heydel.
- Uruchomiono komunikację statkami parowymi w górę Wisły, z Warszawy przez Karczew, Górę Kalwarię, Radzwanków, Konary-Mniszewo i Tarnów, do Maciejowic. Z krańcowych portów statki wyruszały o 6.30 rano. Bilet na całą trasę kosztował 6 marek.

3 kwietnia

- Sklepy miejskie zostały zaopatrzone w kawę z żołędzi w cenie 1,25 marki za funt oraz mieszankę z ziaren kawy naturalnej i cykorii. Oba produkty można było nabyć w ilości 1 funta (ok. 0,5 kg) na osobę.

4 kwietnia

- Rada Stanu powołała nowy rząd. Premierem został Jan Kanty Steczkowski, ministrem zdrowia – Witold Chodźko, ministrem rolnictwa i dóbr koronnych – Stanisław Dzierzbicki, ministrem sprawiedliwości – Józef Higersberger. Na czele Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego stanął Antoni Ponikowski, natomiast funkcję ministra spraw wewnętrznych miał pełnić Jan Stecki. Dyrektorem Departamentu Spraw Politycznych został Janusz ks. Radziwiłł.

Fotopolska

Kamienica metodystów przy ul. Mokotowskiej 12, ok. 1916-1920

w Warszawie powstało szereg nowoczesnych gmachów użyteczności publicznej – bankowych, teatrów, bibliotek, hal targowych. Część realizowano ze środków magistratu, część – z fundacji prywatnych. Rozpoczęto budowę bulwarów nadwiślańskich.

W 1904 r. nastąpiła pierwsza istotna zmiana przepisów policji budowlanej. Zlikwidowano przepis wskazujący budowę domów o maksymalnej wysokości równej szerokości przylegającej ulicy. W przestrzeni miasta zaczęto wznosić domy cztero-, pięciopiętrowe, choć jednocześnie były to nadal typowe kamienice czynszowe – eklektyczne i secesyjne. Jednocześnie umożliwiono ograniczoną zabudowę

Kamienica Kacperskich, tzw. żelazko, przy ul. Marszałkowskiej 1, przed 1939 r.

NAC

przedmieść. Na terenie Mokotowa, Czerniakowa, Woli i Kamionka powstawać zaczęły domy czynszowe i rozliczne nowe zakłady przemysłowe. Zmiana strategii wojennej Rosji doprowadziła do podjęcia decyzji o likwidacji twierdzy Warszawa – formalnej, jak i fizycznej. W sierpniu 1911 r. car zatwierdził powyższą decyzję, zaś 11 października 1911 r. zniesiono wszelkie wojskowe ograniczenia budowlane na terenie Warszawy.

Okres między 1911 r. a zdobyciem Warszawy latem 1915 r. odznaczył się wielkim *boomem* budowlanym, który zbiegł się w czasie z wprowadzeniem do powszechnego użytku nowych technologii, jak konstrukcje żelbetowe czy windy. Mariaż kapitalizmu i inżynierii legł u podstaw zaistnienia w przestrzeni miasta domów wysokościowych, zwanych powszechnie niebotykami. Wznoszone były przede wszystkim na obszarze Śródmieścia. Dzięki zastosowaniu żelbetu możliwym stało się realizowanie domów liczących sześć, siedem i więcej pięter. Najwyższe domy osiągały 40--42 m wysokości, jak kamienica metodystów przy ul. Mokotowskiej 12 czy dom Kacperskich przy ul. Marszałkowskiej 1. Na niższych piętrach znajdowały się obszerne mieszkania z wszelkimi udogodnieniami. Od podwórza i na wyższych piętrach lokowano dziesiątki małych mieszkań, a nawet i pojedynczych pomieszczeń, przeznaczonych na wynajem. Dostęp do frontowych mieszkań ułatwiały windy, lecz w podwórzach trzeba było się wspinać po kuchennych schodach. Ostatnie piętra znajdowały się powyżej górnego pułapu ciśnienia wody wieży filtrów na Ochocie. Na terenie miasta powstało łącznie ok. 70-80 niebotyków, projektowanych przez takich twórców, jak Henryk Stifelman i Stanisław Weiss, Edward Eber, Józef Napoleon Czerwiński, Marian Kontkiewicz. Niektóre domy powstawały w stylu wczesnego modernizmu, pozbawione były dekoracji.

Wybuch pierwszej wojny latem 1914 r. nie wywołał takiego kryzysu jak niemiecka ofensywa rok później. U bram miasta stanęli Niemcy, a w pierwszych dniach sierpnia miała miejsce ewakuacja Rosjan. Towarzyszyło jej zrabowanie kasy miasta, wyposażenia fabryk, częściowe wysadzenie mostów oraz spalenie dworców kolejowych. Tuż po wkroczeniu Niemców uformowany został urząd okupacyjnego gubernatora, przydzielony generałowi Hansowi von Beselerowi. Pod jego auspicjami działał zreorganizowany polski zarząd miasta. Mimo pewnych obostrzeń rozkwitała działalność społeczna i naukowa, otwarto ponownie Uniwersytet Warszawski oraz Politechnikę, na której powstał Wydział Architektury. Już w 1915 r. z inicjatywy zarządu miasta podjęto pewne prace przygotowawcze dla ewentualnego poszerzenia granic. Zaproszeni do współpracy architekci z warszawskiego Koła Architektów mieli sporządzić szkice koncepcyjne dla ewentualnego planu regulacyjnego. Obejmować miał on tereny miasta oraz przedmieść w obszarze dawnych pasów fortyfikacji. Na przełomie 1915 i 1916 r. pod kierownictwem Tadeusza Tołwińskiego powstał *Szkic wstępny do planu regulacji Warszawy*, sporządzony w formie

Zbiory G. Miki

Budynek Teatru Polskiego przy ulicy Karasia, proj. Czesław Przybylski, 1912 r.

czterech tablic tematycznych w skali 1:10 000. Przy jego stworzeniu współpracowali też Antoni Jawornicki, Karol Jankowski, Rudolf Świerczyński oraz prawdopodobnie Edward Eber, Józef Jankowski i Romuald Gutt. Był to pierwszy nowoczesny plan urbanistyczny dla Warszawy. Kreował bardzo ambitną wizję urbanizacji przedmieść poprzez budowę kilkunastu wielkich arterii wylotowych oraz łańcucha obwodnic i kilkudziesięciu alej dzielnicowych tworzących nowe place i „węzły miejskości" na swych przecięciach. Na terenie tzw. wielkiej Warszawy planowano kilkadziesiąt takich ośrodków, tworzących sieć oplatającą metropolię. Dookoła nich powstać miały dzielnice mieszkaniowe – zdominowane przez zabudowę o niskiej intensywności.

W *Szkicu wstępnym*... pojawiły się po raz pierwszy pomysły, które następnie – w kolejnych dekadach – były z różnym powodzeniem realizowane, m.in. trasa N-S przez Muranów, aleja Na Skarpie, porty praski oraz żerański czy dzielnica łacińska dookoła Pola Mokotowskiego. Proponowano również budowę nowych dworców, dzielnic przemysłowych na północnym wschodzie miasta, obwodnicy kolejowej oraz realizację rozlicznych terenów parkowych i leśnych.

Już w kwietniu 1916 r. generał von Beseler wydał rozporządzenie nakazujące włączenie warszawskich przedmieść w obręb miasta oraz sporządzenie odpowiednich planów zabudowy i regulacji. Decyzja generała-gubernatora była brzemienna w skutkach, wpłynęła na skalę planowania i rozwoju miasta w ciągu kilku przyszłych dekad. Powierzchnia Warszawy zwiększyła się 8 kwietnia z 3244 do 11 483 ha. Granice miasta z kilkoma korektami zmieniono po raz kolejny dopiero w 1951 r.

Przyłączenie przedmieść do terytorium zwartego miasta przyniosło nowe problemy – administracja okupacyjna scedowała je na magistrat Warszawy, całkowicie pozbawiony środków finansowych. Po części wzorem miast niemieckich, w których funkcjonowały urzędy architekta i planisty miejskiego, w 1917 r. przy magistracie utworzono nową komórkę: Biuro do Spraw Regulacji

kalendarium warszawskie kwiecień 1918

- Dekretem Rady Regencyjnej powołano do życia Ministerstwo Zdrowia Publicznego, Opieki Społecznej i Ochrony Pracy, wyłączając zawarte w nazwie dziedziny z kompetencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.
- 10 dni aresztu zarobił Beniamin Flinta z ul. Puławskiej 18 za fałszowanie mleka sprzedawanego we własnym sklepie. Zakwestionowany produkt zawierał aż 98 procent wody i jedynie 2 procent tłuszczu. Za podniesienie zawartości wody w mleku do 98,5 procent Łaja Chajner z ul. Puławskiej 29 została z kolei skazana na trzy tygodnie aresztu.

5 kwietnia

- Rozpoczął urzędowanie nowy gabinet rządu mianowany przez Radę Stanu, z premierem Janem Kantym Steczkowskim na czele.

6 kwietnia

- Świeżo utworzone stanowisko dyrektora Domu Wychowawczego im. ks. Baudouina objął dr Ludwik Bondy, wybrany w konkursie urządzonym przez magistrat. Wybór poprzedzał zaplanowaną przez miasto reformę zakładu.

7 kwietnia

- Około 5.00 po południu nad Warszawą przeszła pierwsza wiosenna burza z licznymi wyładowaniami. Spadł ulewny, ale ciepły deszcz, który „spłukał z ziemi resztki zimowego zamrozu".

8 kwietnia

- Z Pskowa do Warszawy wróciła grupa 916 osób – największa jak dotąd partia powracających. Nie mieli zaświadczeń o szczepieniu przeciwko ospie, więc zostali czasowo zatrzymani w punkcie ewakuacyjnym Rady Głównej Opiekuńczej na Powązkach. Po zaszczepieniu byli zwalniani. Szczepień dokonywało dwóch lekarzy niemieckich. W kolejnych dniach przybyły kolejne, jeszcze większe grupy repatriantów.

9 kwietnia

- Sejmiki powiatowe oraz rady miejskie w Warszawie i Łodzi przystąpiły do wyborów członków Rady Stanu i ich zastępców. W całym Królestwie wybierano po 54 członków i zastępców, 24 z terenu okupacji niemieckiej i 18 z terenu okupacji austriackiej.

10 kwietnia

- Zakończył się strajk woźnych w polskich instytucjach państwowych.
- W gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych (Pałac Sztuki) otworzono dużą wystawę malarską. Swoje prace zaprezentowali Józef Rapacki i Antoni Gawiński. W Wielkiej Sali zawisły obrazy Nowej Grupy Artystycznej (Eugeniusz Zak, Roman Kramsztyk, Tadeusz Pruszkowski, Zygmunt Kamiński).

Zbiory G. Miki

Szkic wstępny do planu regulacji Warszawy, 1916 r.

i Zabudowania Miasta. Kierownikiem został inż. Władysław Michalski, zaś angaż w nim znaleźli m.in. Antoni Jawornicki, Tadeusz Tołwiński i Karol Jankowski. W zakres obowiązków biura wchodziło opiniowanie projektów budowlanych, gromadzenie planów pomiarowych, tworzenie planów urbanistycznych i regulacja ulic oraz nowej zabudowy. W kolejnych latach biuro pracowało nad rozwinięciem *Szkicu wstępnego*... do form realistycznych planów urbanistycznych, przeznaczonych do implementacji przez zarząd miasta i aprobowanych przez Ministerstwo Robót Publicznych. W 1920 r. powstał pierwszy oficjalny plan urbanistyczny w skali 1:1000. Jednakże dopiero plan regulacyjny z 1923 r. został zatwierdzony przez Radę Miejską oraz Ministerstwo Robót Publicznych – jako podstawa stworzenia planów szczegółowych i urzeczywistnienia ich w terenie.

Kolejne plany regulacyjne były śmiałe i postępowe, lecz niezwykle trudne do realizacji w gospodarce kapitalistycznej. Tworzenie terenów publicznych oraz trasowanie nowych arterii wymagało wykupu prywatnych parcel i gruntów oraz inwestycji inżynieryjnych i infrastrukturalnych, ograniczonych brakiem pieniędzy. W latach 1923-1925 rozpoczęto wytyczanie i regulację bardzo niedużych fragmentów nowych dzielnic Warszawy. Powstały wtedy m.in. plany regulacji wschodniej Ochoty i placu Narutowicza oraz założenie urbanistyczne Żoliborza. Do 1926 r. powstawał nowy plan, jednocześnie zaś w biurze stale przybywało pracy przy wytyczaniu linii regulacyjnych nowych ulic i domów.

Pierwsze lata stołeczności były ciężkie pod wieloma względami. Organizacja struktur nowego państwa, parlamentu, regularne działania wojenne na obszarach pogranicznych i na Kresach oraz niestabilna sytuacja ekonomiczna i gospodarcza wyczerpanych wojną pozaborczych dzielnic wpłynęły na prawie całkowity zastój inwestycyjny w zakresie budownictwa dla instytucji publicznych. Również budownictwo prywatne cechowała stagnacja; w okresie wojennym kończono nieliczne kamienice, a teraz społeczeństwo było zubożone wojną, brakiem pracy. Wznoszenie domów dochodowych spadło do minimum, zaś problemem stały się niewypłacalność lokatorów i eksmisje. W 1918 r. wprowadzono prawną ochronę lokatorów, w lutym 1919 r. oraz w konstytucji marcowej zawarto zapisy nakładające na gminy i samorządy obowiązek realizacji taniego budownictwa komunalnego. Stagnacja w ruchu budowlanym jednak trwała, w latach 1919-1922 ukończono jedynie 370 domów z nieco ponad 800 nowymi mieszkaniami! Mimo niemalże całkowitej ekskursji mniejszości rosyjskiej miasto nadal znajdowało się na granicy przeludnienia, przy bardzo złych warunkach sanitarnych. W 1918 r. w Warszawie mieszkało 758 tys. osób – w obszarze dawnych granic. W 1919 r. dokonano pierwszego spisu warszawskich nieruchomości, któremu towarzyszyło liczenie zameldowanych osób. Wyniki badań obrazowały niezwykle trudne warunki lokalowe w czynszówkach, w których w przestrzeni wokół jednego czy dwóch ciasnych podwórek mieszkało średnio 100-200 osób.

Do Warszawy w pierwszych dwóch latach niepodległości napływało bardzo dużo rodzin urzędniczych i wojskowych, działaczy politycznych i przedstawicieli inteligencji, wolnych zawodów, kresowego ziemiaństwa. Stanowili oni znaczny procent fali migracyjnej, która podwyższyła liczbę ludności. W 1920 r. wraz z mieszkańcami dawnych przedmieść w liczbie 100-110 tys. w stolicy mieszkało aż 945 tys. osób!

Lata odgórnej rusyfikacji i umniejszania znaczenia Warszawy skutkowały dodatkowo źle rozplanowaną strukturą miasta, praktycznie pozbawioną nowoczesnych gmachów biurowych i reprezentacyjnych. W przestrzeni miasta znajdowało się wiele obiektów przebudowanych w stylu bizantyjskim. Problemem była chaotyczna – w znacznej części – sieć uliczna Warszawy, co było następstwem kilku stuleci spontanicznych i planowanych procesów urbanistycznych. Charakterystyczny krajobraz dzielnic staromiejskich stanowiły plątaniny ciasnych uliczek i zaułków, zaś nowsze dzielnice wytyczano poprzez parcelację pól i włók rolnych oraz poszerzanie dawnych miedz i dróg narolnych. Większość ulic uzyskiwała jednolitą szerokość ze zwartą zabudową. W zależności od statusu i zamożności dzielnicy w sąsiedztwie domów w mniejszej bądź większej liczbie znajdowały się zakłady przemysłowe, manufaktury bądź magazyny. Poza parkami miejskimi i śródmiejskimi placami miasto pozbawione było terenów sportowych i rekreacyjnych. Brakowało również dużych placów, bulwarów, skwerów i przestrzeni publicznych o charakterze reprezentacyjnym. Jedynie nieliczne place Śródmieścia miały zwartą, jednolitą zabudowę. W mieście nie było prawdziwego forum bądź dzielnicy, w której zgrupowane byłyby gmachy użyteczności publicznej. Władze carskie nie widziały takiej potrzeby przez wiele dekad. Oddzielny problem stanowiły zasoby gmachów publicznych – ich liczba i stan pozostawiały wiele do życzenia.

Grzegorz Mika – architekt, varsavianista, doktorant Wydziału Architektury PW, autor strony internetowej *Warszawski modernizm 1905-1939*

Zabudowa ulicy Solec, początek l. 20. XX w.

NAC

kalendarium warszawskie kwiecień 1918

11 kwietnia

o Rząd powołany przez Radę Regencyjną przystąpił do intensywnych prac remontowych w pałacu Zamoyskich przy Nowym Świecie. Gmach miał się stać siedzibą licznych ministerstw. Jak wstępnie oszacowano, już na starcie konieczne było wygospodarowanie w pałacu ok. 60 pokojów.

o Gwałtownie spadły rynkowe ceny obuwia, co prasa tłumaczyła nadprodukcją, której ukrywane dotąd rozmiary ujawniła Milicja Miejska podczas przeprowadzanych rewizji. Trwający od pewnego czasu masowy przerób skór wyprawionych i surowych przy postępującym wzroście cen nie przełożył się na oczekiwany przez kupców poziom sprzedaży, wskutek chudości portfeli potencjalnych nabywców, a i kalkulacje dotyczące eksportu na ziemie rosyjskie spełzły na niczym.

14 kwietnia

o Prasa warszawska, powołując się na oficjalne komunikaty niemieckie, poinformowała o rozmiarach amnestii ogłoszonej w październiku 1915 r. przez generalnego gubernatora Warszawy Hansa von Beselera i realizowanej w kolejnych miesiącach. Amnestia wprowadzona została w celu uczczenia mianowania Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego. Beseler ogłosił, że ułaskawił całkowicie, częściowo lub złagodził wymiar kary 1400 więźniom. Kierował się przy tym wstawiennictwem Rady Regencyjnej.

15 kwietnia

o Nastąpiła zmiana czasu na letni. Uliczne lampy zapalano teraz godzinę później.

o Rozpoczął się letni semestr na Uniwersytecie Warszawskim. Uczelnia zapoczynała przyjmowanie podań od nowo wstępujących.

o Władze zmniejszyły przydziały chleba kartkowego o pół funta (jeden funt to 0,5 kg). Odtąd dla jednej osoby na dwa tygodnie przypadały 4 funty chleba (2 kg). Waga jednego bochenka wynosiła ok. 2 funty (czyli 1 kg). Władze narzuciły też stałą cenę kartkowego chleba – po 25 fenigów za funt (50 fenigów za kilogramowy bochenek).

16 kwietnia

o Studenci żydowscy protestujący na Politechnice Warszawskiej przeciwko decyzji senatu o likwidacji stowarzyszenia Pomoc Wzajemna zostali ukarani zawieszeniem uczestnictwa w zajęciach na czas jednego semestru.

17 kwietnia

o Aresztowano sprawców napadu na bankowy kantor Machonbauma przy ul. Marszałkowskiej 117. Jeden ze złoczyńców wybił szybę wystawową i zrabował 2 tys. marek, drugi w tym czasie odwrócił uwagę przechodniów podrzuceniem petard pod przejeżdżający tramwaj. Ku zgorszeniu opinii publicznej sprawcami okazali się „obiecujący wychowańcy szkół" – osiemnastoletni Zdzi-

Przedwojenne gmachy wyższych urzędów państwowych

Jerzy S. Majewski

Kiedy w listopadzie 1918 r. Polska odzyskała wolność i zaczęła budować nową państwowość, konieczne stało się utworzenie nowych urzędów. Zadanie nie było łatwe, dodatkowo w Warszawie brakowało budynków, w których można byłoby je pomieścić. Wznoszenie nowych gmachów zaplanowano na lata i początkowo urzędnicy musieli gnieździć się w kamienicach

W chwili odzyskania przez Polskę niepodległości Zamek Królewski w niczym nie przypominał rezydencji monarszej sprzed 1830 r. Aż do 1915 r. był siedzibą rosyjskiego generała-gubernatora, a w czasie okupacji niemieckiej – generalnego gubernatora Hansa von Beselera, który przekazał jedno skrzydło polskiej Radzie Regencyjnej. Siedzibę parlamentu trzeba było dopiero zbudować, a dawne gmachy urzędów, wznoszone przed powstaniem listopadowym, były albo za małe, albo znajdowały się w złym stanie. Brakowało miejsca nie tylko na siedziby instytucji państwowych, ale też dla rosnącej liczby mieszkańców, którzy zjeżdżali do stolicy odrodzonego państwa z całego kraju. „Była to epoka niezmiernych trudności mieszkaniowych, kiedy nawet poseł hiszpański musiał spędzić swą pierwszą noc na zestawionych krzesłach w korytarzu hotelu Bristol" – pisał Jarosław Iwaszkiewicz w *Książce moich wspomnień*.

Hotel Bristol, l. 1917-1920

Zdjęcia: Fotopolska

W pałacu, klasztorze i kamienicy

Urzędnicy wprowadzali się do pałaców, budynków poklasztornych i zwykłych kamienic, gdzie często panowały polowe warunki pracy. Urzędy były rozproszone. W jednym ze skrzydeł Zamku Królewskiego ulokowano biura Ministerstwa Spraw Wojskowych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych – w dawnym pijarskim Collegium Nobilium przy ul. Miodowej 22, w czasach zaborów będącym siedzibą rosyjskiego arcybiskupa prawosławnego. W pobliżu, w pałacu Raczyńskich przy ul. Długiej 7, rozgościło się Ministerstwo Sprawiedliwości. Przypomina o tym widniejąca do dziś w tympanonie rzeźba Temidy dłuta Mieczysława Lubelskiego. W dużym gmachu pałacu Zamoyskich przy Nowym Świecie 67/69 pomieszczono Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Jak czytamy w przewodniku po Warszawie Mieczysława Orłowicza z 1922 r., w tym samym budynku znalazło się też kasyno urzędnicze i Komenda Główna Policji Państwowej. Ministerstwu Rolnictwa przydzielono dawny pałac prymasowski przy ul. Senatorskiej 15, zaś Ministerstwu Kolei – wielką kamienicę Jasińskiego przy Nowym Świecie 14, u zbiegu z Alejami Jerozolimskimi. Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich, istniejący praktycznie tylko do zajęcia tych terenów przez Armię Czerwoną w 1920 r., ale formalnie funkcjonujący jeszcze po 1922 r., wprowadził się do kamienicy przy ul. Kredytowej 2. Przy ul. Mokotowskiej 12 ulokowało się Ministerstwo Dzielnicy Pruskiej, zaś Ministerstwo Wyznań i Oświaty rozproszono po różnych kamienicach, m.in. przy ul. Bagatela 2 i w kamienicy Haberbuscha i Schielego przy pl. Trzech Krzyży 8. Ministerstwo Zdrowia pracowa-

ło przy ul. Belwederskiej 3, Ministerstwo Handlu przy ul. Elektoralnej 2, Ministerstwo Aprowizacji przy ul. Żurawiej 44, Ministerstwo Pracy w kamienicy przy ul. Rysiej 1, Ministerstwo Robót Publicznych przy ul. Kredytowej 9, a Ministerstwo Kultury i Sztuki – w kamienicy przy ul. Ordynackiej 15. Ministerstwo Poczt i Telegrafów umieszczono „kątem" w obszernym gmachu Poczty Głównej przy ówczesnym placu Wareckim (dziś Powstańców Warszawy). Dodajmy jeszcze, że Główny Urząd Ziemski ulokowano przy ul. Niecałej 3, Najwyższą Izbę Kontroli przy ul. Daniłowiczowskiej 18, zaś władze województwa warszawskiego – przy ul. Bielańskiej 9. Jedynie Ministerstwo Skarbu wróciło do siedziby z czasów sprzed powstania listopadowego – do pałacu Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu przy placu Bankowym.

Niektóre z tych siedzib były modernizowane i służyły aż do września 1939 r. Inne miały charakter tymczasowy – do wzniesienia bardziej odpowiednich obiektów. Zresztą nie wszystkie wymienione urzędy przetrwały. Zlikwidowano np. Ministerstwo Kultury i Sztuki. „Ministerstwo zostało zdegradowane do Departamentu Sztuki przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dyrektorzy Departamentu zmieniali się co parę miesięcy. Po architekcie Janie Heurichu przyszedł Julian Fałat, po nim Jan Skotnicki, po nim prof. Wojciech Jastrzębowski, po Jastrzębowskim tekę objął znakomity grafik drzeworytniczy, autor słynnych góralskich motywów – Władysław Skoczylas [...] Skoczylasa niezadługo zastąpił krytyk Zawistowski, a Departament Sztuki zdegradowano na Wydział Sztuki przy Departamencie Kultury" – pisał Jerzy Zaruba w *Z pamiętników bywalca* (Warszawa 1958). Mimo to, a może dzięki temu, sztuka w dwudziestoleciu międzywojennym miała się w Polsce całkiem nieźle, powstawało wiele znakomitych dzieł w najrozmaitszych dziedzinach.

Wnętrze kaplicy Aleksandryjsko-Maryjskiego Instytutu Wychowania Panien w trakcie przebudowy na salę posiedzeń Sejmu II Rzeczypospolitej Polskiej, 1919 r.

sław hr. Zieliński, uczeń VII klasy gimnazjum im. Mikołaja Reya, oraz siedemnastoletni Edward Szawłowski, uczeń VI klasy gimnazjum Rontalera. Ci sami „zwyrodniali młodzieniaszkowie" zrabowali na początku kwietnia dwie dubeltówki po wybiciu szyby w sklepie Sosnowskiego. Odzyskano tylko niewielką część skradzionych pieniędzy, resztę bowiem młodzieńcy wydali „na tatersal i biżuterię".

o Prasa narzekała, że mimo urzędowej zmiany nazwy bazaru Gościnny Dwór przy placu Żelaznej Bramy na Kramy Wielopola dawne miano wciąż jest w powszechnym użyciu nie tylko w mowie potocznej, ale także w ogłoszeniach reklamowych.

19 kwietnia

o Magistrat ustalił dwumarkowy podatek za przymusową kąpiel oraz wystawienie świadectwa osobom przybywającym do Warszawy na statkach Wisłą i kierowanych do przymusowej ablucji. Jednocześnie miasto zaprzeczyło, jakoby planowało wprowadzenie osobnego podatku od posiadania pianin i fortepianów.

o Prasa prawicowa niezmiennie ociekała niewybrednymi atakami na Żydów, którym przypisywano wszelkie zło tego świata. „Gazeta Poranna – 2 Grosze", szczególnie celująca w tego rodzaju „twórczości", uraczyła czytelników następującym anonsem: „Pornograf żydowski. Niezupełnie żydowskie brzmienie nazwiska studenta «Juliana» Tuwima, autora różnych pornografii w piśmie studenckim, pozwoliło nam swojego czasu tylko zapytać, czy istotnie Polak dopuścił się czynu tak ohydnego. Obecnie dowiadujemy się, że ów student to Żydek łódzki z litwackiej rodziny, który ma widocznie «zdolności do języków», bo nauczył się dobrze władać polszczyzną. Czemuż jednak nie uszczęśliwia żargonówek swoją pornografią, lecz zanieczyszcza nią pismo polskie, przeznaczone dla młodzieży i studentek. Czyżby w tym była istotnie zła wola szkodzenia obcemu społeczeństwu? Musimy też zaprotestować przeciwko tytułowi wiersza tego Żyda – «Chrystus miasta». Są świętości, których Żydom dotykać nie wolno".

20 kwietnia

o Rano na Zamku Królewskim nowo mianowani ministrowie i gabinet cywilny złożyli przysięgę na ręce członków Rady Regencyjnej. Jako pierwszy przysięgę składał prałat Chełmicki – na ręce arcybiskupa Aleksandra Kakowskiego, potem wszyscy ministrowie według roty odczytanej przez prałata Chełmickiego, a po nich urzędnicy gabinetu cywilnego Rady Regencyjnej.

22 kwietnia

o Na giełdzie warszawskiej otwarto Centralę Targu Rublowego, która miała codziennie ustalać kurs rubla względem marki.

o W godzinach wieczornych na Zamku Królewskim generał-gubernator Hans von Beseler wydał przyjęcie dla prezesa rady ministrów, członków jego gabinetu, dyrektora gabinetu politycznego, podsekretarzy stanu i przewodniczącego ko-

Zdjęcia: Fotopolska

Pałac Zamoyskich przy ul. Nowy Świat 67/69 – po odzyskaniu niepodległości gmach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (dziś Uniwersytet Warszawski), 1928 r.

Sejm w szkole dla dziewcząt

O stworzeniu imponującej dzielnicy rządowej, pełnej gmachów ministerialnych, z siedzibą parlamentu i wielkimi budynkami muzeów, myślano jeszcze przed odzyskaniem niepodległości, w czasach okupacji niemieckiej, po ustąpieniu z miasta Rosjan.

Polska miała ledwie rok, kiedy w 1919 r. rozpisano konkurs urbanistyczno-architektoniczny na rozplanowanie terenów Ujazdowa, Belwederu i okolic Łazienek. Zwyciężył Oskar Sosnowski. Skala zaproponowanych przez niego gmachów była ogromna, jednak powojenna bieda i wojna polsko-bolszewicka sprawiły, że koncepcja była niemożliwa do zrealizowania.

Na początku 1919 r. pilne było znalezienie odpowiedniego budynku na pomieszczenie obu izb parlamentu. Wybrano nie Zamek Królewski, gdzie przed rozbiorami mieściły się sale poselskie, lecz zabudowania Aleksandryjsko-Maryjskiego Instytutu Wychowania Panien (wcześniej Instytutu Szlacheckiego), czyli dawnej rosyjskiej szkoły dla dobrze urodzonych panien przy Wiejskiej. Pierwsze obrady obu izb miały miejsce w dawnej jadalni instytutu – wąskiej i długiej, idealnej na ustawienie stołów dla kilkuset panien pilnowanych przez srogie oczy wychowawczyń, odpowiedniej też do urządzania akademii szkolnych, ale nie dla obrad parlamentu. Do prac przy adaptacji tych wnętrz przystąpiono niemal natychmiast po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, bo już w grudniu 1918 r. Najpierw obradował tu sejm, potem, od 1922 r., po uchwaleniu konstytucji marcowej – także senat. Te wnętrza możemy dziś oglądać już tylko na starych fotografiach. Doskonale zostały odtworzone w filmie *Śmierć prezydenta* Jerzego Kawalerowicza (1977). Dopiero siedem lat później powstała – według projektu Kazimierza Skórewicza – górująca nad całością półrotunda (1925-1928), ozdobiona płaskorzeźbami w stylu art déco, dłuta Jana Szczepkowskiego, symbolizującymi m.in. oświatę, pracę, religię, sztuki piękne i wojsko. Obok stanął Dom Poselski.

Obydwie budowle, pomimo wojennych zniszczeń, istnieją do dziś. Z dawnych zabudowań instytutu dla panien pozostał tylko jeden niewielki pawilon o eklektycznej architekturze. Przed wojną mieścił biura senackie. Dziś to budynek G komisji sejmowych. Wypalone mury reszty XIX-wiecznych zabudowań zostały starte z powierzchni ziemi pod budowę nowego kompleksu sejmowego, projektowanego przez Bohdana Pniewskiego.

Premier w Pałacu Namiestnikowskim

Jedną z pierwszych budowli przejętych przez władze państwowe był Pałac Namiestnikowski przy Krakowskim Przedmieściu (dziś Pałac Prezydencki). Jak wspominał architekt Marian Lalewicz, zaczęto go zajmować spontanicznie: „Przedstawiciele władzy państwowej, na ten raz narodowej, ciągnięci jakąś siłą nieprzepartą, przenikają poprzez arkady, drzwi, bodaj nawet okna do wnętrza pałacu i usadowiają się w nim na dobre. Gmach znowu staje się symbolem władzy. Bez dyskutowania, bez wielogodzinnych konferencji, dzieje się to raczej samorzutnie".

W budynku zorganizowano siedzibę premiera. Kiedy 16 stycznia 1919 r. tekę premiera przyjmie Ignacy Paderewski, będzie urzędował i mieszkał po sąsiedzku – w hotelu Bristol, którego był współwłaścicielem. Jak pisali Zbigniew Bania i Tadeusz S. Jaroszewski w książce *Pałac Rady Ministrów* (Warszawa 1980), pałac zaczęto natych-

WARSZAWA
STOLICA WOLNOŚCI
1918 - 2018

Cykl z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości realizowany jest wspólnie z Domem Spotkań z Historią (ul. Karowa 20, Warszawa), prowadzącym Centrum Informacji o warszawskich obchodach rocznicy:

www.stolicawolnosci.pl

Dom Spotkań z Historią
Instytucja Kultury m.st. Warszawy

Pałac Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu; tu po odzyskaniu niepodległości wróciło Ministerstwo Skarbu (dziś w tych gmachach Mazowiecki Urząd Wojewódzki), 1933 r.

miast przystosowywać do nowych potrzeb. Z Ministerstwa Robót Publicznych oddelegowano inżyniera, który zaczął wprowadzać przeróbki, dokonując przy tym niemałych zniszczeń substancji zabytkowej. Wkrótce prace powierzono Marianowi Lalewiczowi, który pozostawił elewacje w stanie niezmienionym, a skupił się na nowej aranżacji wnętrz, nadając im reprezentacyjny wygląd. Największą zmianą było stworzenie wielkiej sali jadalnej, ciągnącej się przez całą szerokość korpusu. Wszystkie pomieszczenia, z wyjątkiem sali balowej, uzyskały też nową dekorację – w duchu dojrzałego klasycyzmu. Prace trwały od 1918 do 1924 r.

Gmach dla wojska

Stare porosyjskie gmachy koszar Litewskiego Pułku Lejbgwardii – między aleją Szucha, ulicami Litewską, Nowowiejską (przemianowaną na 6 Sierpnia) i Marszałkowską – przeznaczono niebawem na nową siedzibę Ministerstwa

Pałac Rady Ministrów (dziś Pałac Prezydencki), 1928 r.

misji wojskowej, a także licznych oficerów i urzędników – przedstawicieli niemieckich i austriackich władz okupacyjnych. Intencją spotkania – według generała-gubernatora – była chęć zacieśnienia owocnej współpracy w dziele rozbudowy państwowości polskiej.

24 kwietnia

o Towarzystwo Akcyjne Warszawskich Kolei Dojazdowych, czyli podmiejskich kolejek wąskotorowych, podniosło taryfę o 2 fenigi od kilometra.

26 kwietnia

o Aby przeciwdziałać zagrożeniu epidemią gruźlicy, miasto powołało komisję pod kierunkiem burmistrza dr. Józefa Zawadzkiego. Sytuacja była tragiczna – szpitalnictwo warszawskie do walki z gruźlicą w połowie 1918 r. dysponowało zaledwie 40 łóżkami szpitalnymi w Mieni (wieś, obecnie w powiecie mińskim), specjalnymi oddziałami niewielkiego szpitala św. Ducha oraz w szpitalu żydowskim na Czystem.

o Miasto rozprowadziło karty chlebowe 67. edycji – zielonkawe dla ludności Warszawy lewobrzeżnej i fioletowe dla mieszkańców Pragi. Karty zawierały 6 kuponów żywnościowych, 1 cukrowy, 1 ziemniaczany na 17 funtów kartofli oraz 3 kupony na 4 funty chleba. Dla „ciężko pracujących" zostały wydane specjalne karty dodatkowe z trzema kuponami chlebowymi (4,5 funta) i jednym cukrowym.

27 kwietnia

o Na Uniwersytecie Warszawskim otwarto Zakład Higieny i Bakteriologii, urządzony przez prof. dr. Stanisława Serkowskiego. W uroczystości uczestniczyli minister oświecenia publicznego Antoni Ponikowski oraz minister zdrowia Witold Chodźko. Tego dnia na uczelni dokonano też uroczystego otwarcia katedry propedeutyki lekarskiej, na czele której stanął prof. dr med. Alfred Sokołowski.

o Z powodu niepogody dwudniowe obchody Powitania Wiosny w Dolinie Szwajcarskiej rozpoczęły się z tygodniowym opóźnieniem. Między 5.00 po południu a 11.00 wieczorem warszawian zabawiały orkiestra symfoniczna pod dyrygenturą p. Śliwińskiego oraz orkiestra milicyjna, występowali także liczni artyści miejskich scen. Wśród innych atrakcji prasa wymieniała zabawę w pocztę francuską.

o W nocy z soboty na niedzielę komisarze i wywiadowcy Milicji Miejskiej odkryli w mieszkaniu Ferdynanda Kośkiewicza przy ul. Obozowej 29 nielegalną masarnię z kompletnymi urządzeniami do wyrobu m.in. kiełbas. W lokalu „ujawniono kilka pudów brudnego, zielono-żółtego, wydającego wstrętną woń mięsa końskiego i krowiego", a także wiadro z wapnem gaszonym, używanym do pozbawiania surowca odoru. Po spisaniu protokołu i przewiezieniu zakwestionowanych produktów na komisariat masarza przekazano w ręce Cesarsko-Niemieckiej Policji Kryminalnej.

Fotopolska

W dawnym pałacu Raczyńskich przy ulicy Długiej umieszczono siedzibę Ministerstwa Sprawiedliwości, 1928 r.

Spraw Wojskowych. Stało się to już w 1923 r. Projekt przebudowy powierzono Czesławowi Przybylskiemu, który – wsławiony przed 1914 r. projektami teatrów Polskiego i Nowoczesnego oraz Galerii Luxenburga – dał się poznać jako twórca architektury monumentalnej. Architekt nie tylko przebudował, ale też spiął – za pośrednictwem wielkich arkad – trzy budynki koszar ciągnące się wzdłuż Nowowiejskiej, tworząc gmach długi na kilkaset metrów. Główną oś kompleksu zaakcentował poprzez wprowadzenie wielkiej arkady, którą ujęły pary kolosalnych rustykowanych pilastrów. Całość zwieńczyła gładka attyka z dekoracją w postaci kamiennych panoplii.

Żubr ministra Janickiego

W chwili, w której dopiero przystępowano do budowy nowej sali posiedzeń sejmu, zakończyły się zakrojone na dużą skalę prace remontowe siedziby Ministerstwa Rolnictwa w pałacu prymasowskim. Swój kształt obiekt zawdzięczał prymasowi Antoniemu K. Ostrowskiemu i architektowi Efraimowi Schrögerowi, który przekształcił gmach w latach 1777-1784. Ponad sto lat później – w 1918 r. – rezydencja znajdowała się w katastrofalnym stanie. „Po okupantach rosyjskich – okupanci niemieccy grasowali w tym gmachu niczym Hunowie. W salach parterowych, gdzie przez trzy lata były koszary, zniszczenie doszło do granic ostatecznych. Drzwi, okna, podłogi, ubranie ścian – wszystko było w stanie okropnym" – czytamy w „Świecie" z 1925 r.

Kolejni ministrowie nie kwapili się do przejęcia zdewastowanego budynku na potrzeby swoich urzędów; zdecydował się dopiero minister rolnictwa – Stanisław Janicki, absolwent politechniki w Rydze i słuchacz Akademii Rolniczej w Bonn. Restaurację pałacu powierzono architektowi Zygmuntowi Tillingerowi. Zakończono ją na początku 1925 r. We wnętrzach pod nadzorem pierwszego konserwatora zabytków m.st. Warszawy, architekta Teofila Wiśniowskiego, usunięto wiele wtórnych ścian, zdemontowano żelazne schody, odrestaurowano zniszczone elementy wystroju wnętrz. Po zakończeniu prac, przy okazji Międzynarodowego Kongresu Rolniczego, w pałacu urządzono wielką fetę. Zachwycano się zwłaszcza Salą Ludwika XVI, która uznana została za jedno z najwspanialszych pomieszczeń w całej Warszawie. Oprócz budynku renowacji poddano ogród. Urządził go na nowo znany warszawski ogrodnik i projektant wielu parków – Leon Danielewicz. Pałac w takim stanie dotrwał do września 1939 r. Częściowo spłonął w trakcie oblężenia Warszawy, jako w połowie ruina dotrwał do końca wojny.

Dodajmy, że na dziedzińcu przez pałacem minister Stanisław Janicki zamierzał ustawić spiżowy posąg żubra, stojący wcześniej przed pałacem cesarskim w Białowieży. Plan ministra nie spodobał się jednak urzędnikom magistrackim. W 1928 r. prezydent Ignacy Mościcki uznał, że miejsce króla puszczy jest w lesie – i kazał go przewieźć do rezydencji prezydenckiej w Spale.

Pałac pod Temidą

W 1927 r. przystąpiono do gruntownej restauracji pałacu Raczyńskich, mieszczącego teraz siedzibę Ministerstwa Sprawiedliwości. Prace przy tej wspaniałej budowli z drugiej połowy XVIII w. prowadzone były pod kierunkiem Mariana Lalewicza. Ich przebieg odtworzyła Maria Irena Kwiatkowska w książce *Pałac Raczyńskich* (Warszawa 1980). Były to w dużym stopniu działania konserwatorskie, przywracające świetność zabytkowym wnętrzom, np. w dawnym salonie gościnnym, przeznaczonym na gabinet ministra, odtworzono na ścianach obicia adamaszkowe, a wnętrza zaczęto wyposażać w stylowe meble. Renowację malowideł zdobiących salę balową przeprowadziła pracownia konserwatorska Dyrekcji Zbiorów Państwowych na Zamku Królewskim, zaś w przebudowanym holu architekt Gracjan Budzanowski ułożył wzorzystą posadzkę taflową o rysunku opartym na motywach z czasów panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Dodajmy jeszcze, że w 1926 r. na siedzibę prezydenta RP przeznaczono Zamek Królewski w Warszawie. Prace konserwatorskie prowadzone były do 1939 r., najpierw pod kierunkiem Kazimierza Skórewicza, później – Adolfa Szyszko-Bohusza.

W stronę modernizmu

Dopiero u schyłku lat 20. XX w. zaczęto wznosić nowoczesne, modernistyczne budynki ministerstw. Swoistą mieszanką akademickiego klasycyzmu z zastosowaniem porządku doryckiego i monumentalnego modernizmu jest gmach Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych, zbudowany w latach 1927-1928 na Pradze według projektu Mariana Lalewicza. „Jedyną dekoracją tej budowli, nawiązującą do teraźniejszości i zdradzającą jednocześnie jej przeznaczenie, jest fryz z motywami m.in. kół lokomotywy" – pisał Robert Pasieczny w artykule *Klasycyzm akademicki w twórczości Mariana Lalewicza*.

W 1929 r., jeszcze przed krachem na nowojorskiej giełdzie, przystąpiono do budowy gmachu Ministerstwa Robót

Budowa gmachu Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych na Pradze, październik 1929 r.

Publicznych (dziś Komunikacji) według projektu Rudolfa Świerczyńskiego. Budynek powstał przy ulicy Chałubińskiego, mającej stanowić fragment nowej arterii przecinającej Warszawę od Mokotowa po Powązki. Budowa była realizowana w latach 1929-1931. Gmach w proporcjach bryły odwoływał się do form klasycznych, ale opowiedzianych językiem modernizmu. Całość powstała na rzucie odwróconej litery T. Budynek otrzymał żelbetowy szkielet, fasadę ożywił monumentalny wgłębny portyk licowany płytami czarnego bazaltu z orłem projektu Mieczysława Kotarbińskiego. Inne partie elewacji obłożono ciemnobrązowym klinkierem. Gmach przetrwał do naszych czasów bez większych zmian.

Wcześniej, bo już w 1927 r., przystąpiono do budowy siedziby Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w al. Szucha 25, według projektu Zdzisława Mączeńskiego, z wnętrzami urządzanymi przez Wojciecha Jastrzębowskiego (dziś siedziba Ministerstwa Edukacji Narodowej). Budowla uchodzi za najlepiej zaprojektowany gmach rządowy międzywojennej Warszawy. Nowoczesność połączono tu z monumentalnością i kompozycją klasyczną elewacji, chętnie widzianą w budynkach rządowych ówczesnej Europy. Warto wspomnieć, że obiekt wzniesiono w stulecie budowy klasycystycznych gmachów rządowych przy placu Bankowym. Budynek, złożony z kilku skrzydeł wokół sześciu dziedzińców, stanął wzdłuż alei Szucha, a jego centralny korpus cofnięto w głąb dziedzińca oddzielonego od ulicy kolumnadą dźwigającą potężne belkowanie. Wnętrza zrealizowano w duchu sztuki dekoracyjnej z detalami Edmunda Bartłomiejczyka.

Na przełomie lat 20. i 30. w sąsiedztwie, przy al. Szucha 23, stanął pomyślany w podobnej stylistyce gmach NIK, zaprojektowany przez Tadeusza Leśniewskiego. I ta budowla utrzymana została w duchu modernizmu o klasycyzujących podziałach ze stylizowanym portykiem na osi. Wnętrza uzyskały formy art déco. Dziś mieści się tu Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

→

28 kwietnia

o Zorganizowano Dzień Jeńca – komitet organizacyjny zbierał datki na pomoc jeńcom znajdującym się w niewoli niemieckiej. Kupowano też jednodniówkę oraz numery „Jeńca" wydawane w Gardelegen. „Uprzejme gospodynie i gospodarze mający swoje stoliki w 10 najbardziej ożywionych punktach centrum nie mogły się uskarżać na obojętność" – pisał „Kurier Warszawski". Wieczorem w teatrach artystki zbierały datki na jeńców ze sprzedaży programów.

29 kwietnia

o Komisja Urzędu Zdrowia Publicznego po zbadaniu stanu sanitarnego ulicy Krochmalnej uznała ją za szczególnie zagrożoną wybuchem epidemii. Zatrważający był stan odcinka ulicy przy placu Żelaznej Bramy, zamieszkanego niemal wyłącznie przez ludność żydowską. Pod koniec miesiąca opublikowano szczegółowe zalecenia. W ich myśl zadecydowano o zamknięciu wszystkich lokali w suterenach domów o numerach od 5 do 9, 11, 13, 15, 17, 19, 21 i 23, zabraniając dalszego ich wynajmu. W kamienicach nr 11 i nr 13 nakazano zamurować wszystkie okna wychodzące na kanały świetlików, które były przez mieszkańców wykorzystywane do zrzutu nieczystości. We wskazanych lokalach wprowadzono dla lokatorów zakaz odnajmowania ich części sublokatorom, właścicielom zaś zagrożono grzywnami lub aresztem za zły stan urządzeń technicznych. Komisja zwróciła także uwagę na fatalny stan bruku.

30 kwietnia

o W obrębie VII komisariatu milicji dokonano wielkiej rewizji w cukierniach, poszukując nielegalnie wypiekanych ciastek z mąki. Rezultaty nie były imponujące. Jedynie w cukierni Abrahama Ładowskiego przy Nowiniarskiej znaleziono 25 ciastek drożdżowych. Drożdżówki skonfiskowano. Dwa tygodnie wcześniej, w wyniku rewizji dokonanej we wszystkich cukierniach i kawiarniach, znaleziono „aż" 8 nielegalnych pierników, 82 biszkopty i 20 sucharków.

o Opublikowano wyniki badań mieszkań stróżów w śródmiejskich kamienicach, zleconych przez magistrat. Badania wykazały, że dozorcy warszawscy należą do najbardziej pokrzywdzonych w mieście pod względem warunków zamieszkania i poziomu zarobków. Jako wilgotne określono 990 mieszkań stróżów, jako ciemne – 340 mieszkań, 644 mieszkania były pozbawione jakiegokolwiek dostępu światła (!), 195 było zlokalizowanych w suterenach i 276 pod schodami. Podkreślono, że w dzielnicach peryferyjnych i na przedmieściach sytuacja jest jeszcze gorsza. Średnie zarobki dozorców wynosiły zaledwie 50 marek miesięcznie, przy czym 251 stróżów zarabiało w przedziale od 25 do 40 marek, a tylko sześciu po 120 marek i dwóch po 129 marek.

Kalendarium opracowali: Jerzy S. Majewski i Jarosław Zieliński

NAC

Gmach Poczty Głównej przy ówczesnym placu Wareckim (dziś Powstańców Warszawy), tu po odzyskaniu niepodległości umieszczono także Ministerstwo Poczt i Telegrafów, l. 1933-1939

Nowoczesny telegraf

W 1928 r. rozpoczęto wznoszenie siedziby Urzędu Telekomunikacyjnego przy Nowogrodzkiej. Grunt należał do Skarbu Państwa; przebiegała tędy linia międzynarodowego kabla telekomunikacyjnego. Budowa trwała do 1934 r. Projekt gmachu sporządził zespół architekta Juliusza Putermana-Sadłowskiego. Autorem stalowego szkieletu konstrukcyjnego był Waldemar Radlow. Budynek składał się z kilku skrzydeł. Główne wejście usytuowano w narożniku u zbiegu Nowogrodzkiej i Poznańskiej. Ponad nim umieszczono napis *TELEFON MIĘDZYMIASTOWY, TELEGRAF, RADJOTELEGRAF* oraz stylizowanego orła dłuta Jana Golińskiego. Narożnik zaakcentowano wieżą klatki schodowej. Najbardziej charakterystycznym elementem gmachu stała się wysoka, siedmiopiętrowa wieżyca, do dziś stanowiąca atrakcyjne zamknięcie perspektywy ulicy Żurawiej od strony placu Trzech Krzyży.

Była to wówczas jedna z najwyższych budowli warszawskich. Stalowa konstrukcja pozwoliła na wprowadzenie okien, które w tamtym czasie imponowały ogromem. Elewacje częściowo obłożono czerwonym piaskowcem, zaś w partiach wyższych kondygnacji pokryto szlachetnym tynkiem „Terrazyt". Od chwili otwarcia zachwycano się architekturą gmachu. Niezwykle nowocześnie zaprojektowano wnętrza. Główny westybul dla publiczności, sale operacyjną i telegrafu oraz sale telefonów międzymiastowych oblicowano płytami kamiennymi.

Pałac dla Becka

Legendą przedwojennej Warszawy stał się inny z budynków, który powstał już u schyłku lat 30. XX w. Była to siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ulokowana w XVIII-wiecznym pałacu ministra Heinricha von Brühla. Zanim w budynku ulokowało się ministerstwo, od 1882 r. mieścił się tu Główny Urząd Telegraficzny. Dopiero po przeniesieniu telegrafu na Nowogrodzką zdewastowany budynek przejęło MSZ.

Projekt sporządził Bohdan Pniewski. Wnętrza zostały całkowicie przekształcone – zaskakiwały nie tylko nowoczesnością, ale i starannością, z jaką zaprojektowano niemal każdy szczegół. Tadeusz S. Jaroszewski pisał, że stanowiły one „najlepszy, najbardziej klasyczny przykład nurtu architektury polskiej dwudziestolecia, który należałoby nazwać nurtem nieawangardowej architektury nowoczesnej". Od zachodu do korpusu pałacowego Pniewski dostawił pawilon przeznaczony dla ministra. „Ponieważ nowy budynek zwrócony jest do Ogrodu Saskiego, wskazane było utrzymanie budynku w charakterze pawilonu, ujmującego tę część ogrodu w ramy lekkie, lecz zarazem monumentalne, zbliżone do koncepcji, jaką dał Adam Idźkowski w 1842 r. w kolumnadzie Pałacu Saskiego" – pisał Alfred Lauterbach na łamach „Arkad" w 1938 r.

W połowie sierpnia 1939 r., na kilka tygodni przed wybuchem wojny, gmach ministerstwa zdąży jeszcze zagrać w węgierskim filmie fabularnym *Wszyscy do walca*, będącym chyba

ostatnim obrazem przedwojennej Warszawy. Wkrótce skończyła się świetność budynku. We wrześniu 1939 r. uszkodzeniu uległ dach. Niemcy odbudowali go – jeszcze przed końcem 1940 r. – i ulokowali w budynku siedzibę gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fischera, ale po upadku Powstania Warszawskiego wysadzili pałac w powietrze.

Ostatnie realizacje

W 1938 r. przy ul. Filtrowej 57, w nowej dzielnicy miasta, stanął gmach Urzędu Wojewódzkiego (dzisiaj siedziba NIK). Jego architektura była krokiem wstecz w stosunku do nowoczesnych gmachów w alei Szucha, siedziby Urzędu Telekomunikacyjnego przy Nowogrodzkiej czy Ministerstwa Robót Publicznych przy Chałubińskiego. Aż trudno uwierzyć, że obiekt powstał tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Jest to budowla monumentalna, silnie klasycyzująca, wzniesiona na rzucie przypominającym pałace z dziedzińcem wewnętrznym, bocznymi oficynami i reprezentacyjnym portykiem. Wrażenie miała wywierać jej skala, natomiast sama architektura zdawała się być symbolem nie tyle demokracji, co dość autorytarnej władzy, jakby budowniczowie zapatrzyli się na to, co działo się w tym samym czasie u naszych wschodnich i zachodnich sąsiadów.

Ostatnim monumentalnym gmachem państwowym ukończonym przed wrześniem 1939 r. był budynek sądów grodzkich na Lesznie. Autorem projektu był Bohdan Pniewski. Podziwiano rozmiary architektury, jednym tchem wymieniano, że na 9 kondygnacjach znajduje się 40 sal posiedzeń, blisko 1000 pomieszczeń, 11 klatek schodowych, 13 wejść zewnętrznych, 7 dziedzińców, 10 dźwigów, 5 km korytarzy, 10 szatni dla publiczności, bufety, centrala telefoniczna z 77 aparatami, archiwum z półkami o długości 6,6 km oraz 12 kotłów centralnego ogrzewania. Podkreślano też, że w salach rozpraw każdy urzędnik ma wygodny fotel, a nie krzesło. Architektura była współczesna, ale jednocześnie odwoływała się do wzorów klasycznych, choć w odmienny sposób od dotychczasowych realizacji w Polsce – nawiązywała do ówczesnych rozwiązań Włoch faszystowskich. Jak pisał Marek Czapelski w znakomitej monografii projektanta gmachu sądów grodzkich (*Bohdan Pniewski – warszawski architekt XX wieku*, Warszawa 2008): „Projekt Pniewskiego jawi się jako odpowiedź na potrzebę nowego monumentalizmu. Elementarną koniecznością odpowiadać miał potrzebie nowoczesności i postulowanej prostocie nowych zasad architektury, które można było odczytywać tu metaforycznie jako wizualizację prostoty i sprawiedliwości prawa" – czytamy.

Prasa podkreślała, że realizacja budynku może przyczynić się do gruntownych zmian w okolicy. Nie doszło już do tego. Kilka miesięcy później wybucha wojna, która miała zmieść z powierzchni ziemi całą tzw. dzielnicę północną po drugiej stronie Leszna.

WARSZAWA
ZAPRASZAMY
NA WARSZAWSKIE
OBCHODY
100-LECIA NIEPODLEGŁOSCI
WWW.STOLICAWOLNOSCI.PL
Dom Spotkań z Historią
Instytucja Kultury m.st. Warszawy
WARSZAWA STOLICA WOLNOŚCI 1918-2018

Wielkanoc 1943 r.

Anna Kuligowska-Korzeniewska

Kiedy w 1943 r. Polacy zasiadali do wielkanocnego stołu, na murach getta pojawiło się hasło „Ginąć z honorem". Echa tamtych wydarzeń odnajdujemy w dramacie *Wielkanoc* Stefana Otwinowskiego – choć nie jest to jedynie dramat o powstaniu żydowskim, ale o relacjach polsko-żydowskich. I to nie tylko w okresie ostatniej wojny

„Był rok 1943, w Warszawie działy się rzeczy straszne i wielkie. Niemcy przygotowywali najokropniejszą ze swoich zbrodni. W dzielnicy, pogardzanej dzielnicy północnej, powstał lud żydowski. Wieść nie do wiary. Krew w żyłach Polaków burzyła się grozą i nadzieją. Powstał lud. Warszawa… Warszawa… Niepoprawna Warszawa."

To słowa wyjęte z dramatu *Wielkanoc* Stefana Otwinowskiego, wydanego w 1946 r. przez Centralny Komitet Żydów w Polsce. Michał Maksymilian Borwicz, autor wstępu do tego utworu, przypomniał – objaśniając jego tytuł – że kiedy w 1943 r. Polacy zasiadali do wielkanocnego stołu, na murach getta pojawiło się hasło „Ginąć z honorem", a w pierwszych dniach powstania Żydowska Organizacja Bojowa wydała odezwę skierowaną do *Polaków, Obywateli! Żołnierzy Wolności!* Kończyła się ona znamiennym wezwaniem:

„Toczy się walka o naszą i Waszą wolność. O Wasz i nasz ludzki, społeczny, narodowy honor i godność. Pomścimy zbrodnie Oświęcimia, Treblinki, Bełżca, Majdanka. Niech żyje braterstwo broni i krwi Walczącej Polski! Niech żyje WOLNOŚĆ! Śmierć katom i oprawcom! Niech żyje walka na śmierć i życie z okupantem!".

Akcja dramatu Otwinowskiego nie toczy się jednak w Warszawie, lecz „w miasteczku bliżej nieokreślonym", co nie oznacza, że ustępowała tragizmem powstaniu w getcie warszawskim. Borwicz wyjaśniał:

„Tymczasem zrywy miejscowości «zapadłych» pozbawione były nawet tego typu – jakże gorzkiej! – satysfakcji. Któż – spoza odnośnych okolic – wie o walce ghett np. w miasteczkach Łochowie czy Tuczynie? O Białymstoku lub o płomiennym akcie ghetta w Nieświeżu. […] dramat Otwinowskiego jest wieńcem rzuconym na tamte pobojowiska".

Takim „pobojowiskiem" w dramacie Otwinowskiego jest „boczna uliczka przed kościołem. Figura św. Józefa. Mur kościelny". To tam rozegra się finalna scena powstania w miejscowym getcie. Bohaterka dramatu Ewa Freudówna objaśnia jego sens:

„Chcą, żeby tu był krzyk. Nikt nie ma prawa ginąć po cichu ani uciekać po kryjomu. Ma być wielkie oczyszczenie powszechnej krwi, w wielkim zbiorowym krzyku. Idą na pomoc Warszawie. Ma być krzyk, wielki krzyk".

Bohaterów tej walki poznajemy tylko z relacji przechodniów:

„Jutro mieli wykończyć całe ghetto. Czekali tylko na dalszy transport. Ale wewnątrz od razu zrobił się ruch. Ledwie co, a już część formowanych wali objąć dziurę na ulicę Krótką. Pierwsi od razu poszli na trakt. […] Na trakt radzymiński, do lasu. Alarm był dużo później, później zaczęła się strzelanina. Kiedy zagrodzili ulicę Krótką – próbowali otworzyć drogę przez Rynek. Samuel Freud [brat Ewy] prowadził. Żeby pan widział, jak się kręcił, jak się zwijał. Na naszych oczach położył czterech Niemców. Pięciu. Osaczyli go dopiero przy studni. Jeszcze przy studni była walka. Między studnią a pomnikiem. W końcu nie było innego wyjścia… […] Wskoczył do studni, zdaje się, jeszcze stamtąd strzelał. Wody tam niewiele, ale utonął chyba".

Okładka i strona redakcyjna (obok) oraz rysunki Antoniego Uniechowskiego (na kolejnych stronach) w: S. Otwinowski, *Wielkanoc. Dramat w trzech aktach z prologiem*, Kraków 1946

Studnia jako miejsce śmierci Samuela nie pojawiła się w dramacie Otwinowskiego przypadkowo. Miejscowa legenda głosiła, że przed wielu laty „podnieceni wódką i muzyką" Polacy wrzucili właśnie do tej studni starego Żyda wracającego z modłów, gdy ten nie chciał tańczyć i śpiewać:

> „Na chwilę przed śmiercią wydobył z siebie śpiew, a może tylko krzyk grozy. […] Żyd w studni utonął, a może umarł z zimna, zanim przyszła pomoc. Odtąd w sobotni wieczór ze studni dobywa się wyraźny śpiew".

Jeśli studnia była „przykrym symbolem naszych wzajemnych stosunków", to sytuację tę zmienił zbrojny bunt Żydów, niechcących

> „tańczyć w takt niemieckich maszyn śmierci. […] Wódz powstania zmienił studnię najpierw w bunkier swej obrony, potem w pomnik swej wiecznej chwały".

***Wielkanoc* nie jest jedynie dramatem o powstaniu żydowskim.** Jest dramatem o relacjach polsko-żydowskich. I to nie tylko w okresie ostatniej wojny. Kto jest jego bohaterem? Niewątpliwie dziennikarz Stanisław Łaski. To on – jak czytamy w prologu – przyjeżdża z Warszawy do „małego miasteczka" i, nie zastawszy w domu wuja, Doktora Przypkowskiego, szuka pomocy „w sali restauracyjnej domu zajezdnego", prowadzonego przez Panią Freud. Poznajemy klientelę tego domu, a zarazem protagonistów dramatu, m.in. nauczyciela Sicińskiego, który tylko dlatego przyszedł do Żydówki, że w żadnym z polskich sklepów nie dostał papierosów egipskich. Najważniejsze wszakże jest spotkanie Stanisława z Samuelem Freudem, który tak oto zareagował na nazwisko Łascy:

> ,,Wie pan przecież, że zmuszeni do emigracji za koncepcje powszechnego demokratyzmu i absolutnego pacyfizmu udali się najpierw do Holandii, gdzie jeden z nich stał się prawodawcą braci polskich i holenderskiej reformacji. Potem znajdujemy w Anglii…".

W odpowiedzi Stanisław odsłonił swoje pochodzenie:

> ,,Ale ja nie urodziłem się jako brat polski na obczyźnie, tylko jako syn aptekarza w Wielkopolsce. […] Zwojował może mniej niż tamci Łascy, ale w intencji był równie silny. Fanatyk przyjaźni międzyludzkiej, filozof i filosemita […]".

Jak się dalej okaże, Stanisław nie był tak „silny" jak jego ojciec. Kiedy przyjechał na Święta Wielkanocne w kwietniu 1943 r., zastał przy stole elitę miasteczka: Doktora Przypkowskiego, Magistra Twardowskiego, Burmistrza, Sicińskiego. Goście świąteczni, czyli – jak ich nazywa Stanisław – „odpryski z nieudanej polskiej reformacji", rozprawiają o sytuacji w miejscowym getcie. Twardowski, który utrzymuje kontakty z bojowcami, powoławszy się na Konstytucję 3 maja, przekonuje:

> „Wszystko, co w naszej historii wielkie i twórcze, zrodziło się z przezwyciężenia nacjonalizmu: unia, adaptacja, tolerancja, krzyżowanie, odsiecz, misja. Nie ma ani jednego wielkiego Polaka, który byłby tylko Polakiem…".

➜

Doktor Przypkowski idzie jeszcze dalej w radykalizmie:

„To jest powstanie ludu, proletariatu, który ma swoje stosunki w świecie. Na sztandarach mają: «za naszą i waszą wolność». Tak samo jak my kiedyś, tak samo jak my niedługo. Znowu. To jednak może przyspieszyć".

Siciński wszakże ostrzega:

„Dziś dla nas wszelki humanitaryzm będzie dywersją w instynktownym działaniu narodu".

Popiera go Gosposia, mówiąc:

„Księża też przecież rozmaicie…".

Wtedy nie wytrzymuje Doktor:

„Księża… księża… Księża nie są wzorem chrześcijaństwa. Chrystus jest jedynym wzorem".

Tej wymianie zdań przysłuchuje się Ewa Freudówna, której udało się wydostać z getta. To, że trzeba ją ratować, dla Doktora jest oczywistością:

„tutaj swoi ludzie. Nie żaden problem wewnętrzny, ale po prostu najbliżsi sąsiedzi, nie żadni Żydzi, ale tacy sami ludzie jak my".

Doktor wraz z przedwojennym antysemitą Sicińskim zgodnie układają plan wywiezienia Ewy i jej brata do Warszawy. Tylko Stanisław wybucha, że „nigdzie nie można mieć spokoju", że się boi, że przyjechał odpocząć. Doktor z trudem łagodzi „słabe, wrażliwe nerwy" Stanisława, przypominając, że jeszcze niedawno „takie miasteczko jak to było gwiazdą na firmamencie. Nietykalne".

Kiedy jednak wybuchło powstanie, Stanisław uratował Ewę i w finale dramatu znajdujemy ich oboje w warszawskim mieszkaniu Stanisława. Trwa miłosna sielanka, Ewa gra na fortepianie. Młodą parę, chronioną przez Dozorcę, odwiedza Magister Twardowski, który przywozi rękopis nieukończonego dzieła Samuela Freuda – o Hugonie Kołłątaju i Tadeuszu Kościuszce, o polskiej reformacji i Łaskim. Dzieło to składa „w ręce ostatniego z Łaskich". W tym momencie rozlega się „za oknami seria karabinu maszynowego", na co Stanisław zareagował: „Znowu się coś dzieje. Warszawa". Nie ma wątpliwości, że weźmie udział w sierpniowym Powstaniu Warszawskim.

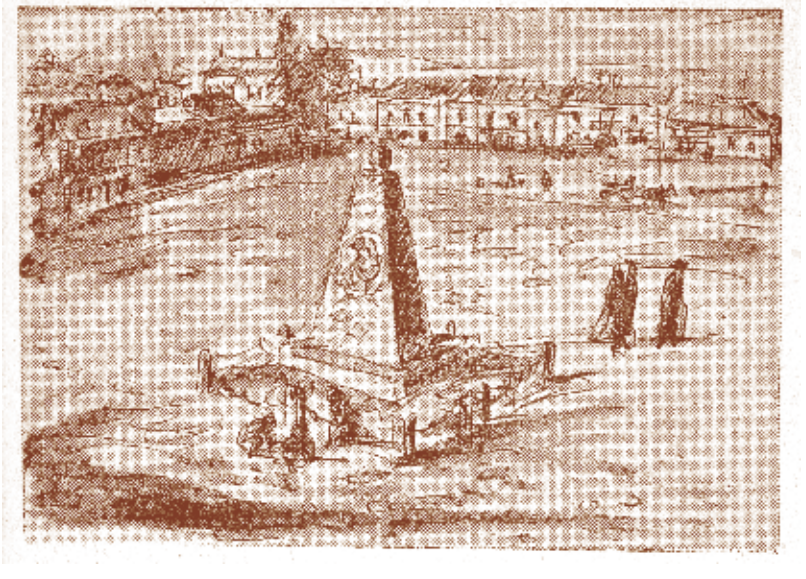

Kim był autor Wielkanocy? Urodzony 3 marca 1910 r. w Pyzdrach, ukończył gimnazjum humanistyczne im. Adama Asnyka w Kaliszu. Asnyk go też jako pierwszy uhonorował – za debiutancką powieść *Życie trwa cztery dni* otrzymał Otwinowski w 1938 r. Nagrodę Literacką Miasta Kalisza im. Adama Asnyka. Wojnę spędził w Warszawie. Po powstaniu zamieszkał w Krakowie, gdzie oprócz bogatej działalności literackiej i publicystycznej zaangażował się w organizację życia artystycznego. Od 1947 do 1975 r. pełnił – niemal nieprzerwanie – funkcję prezesa krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Zmarł 30 stycznia 1976 r. w Krakowie.

Otwinowski nie krył powodów, dla których napisał *Wielkanoc*. W autorskim wstępie umieścił znamienne wyznanie:

„najstraszniejszym przeżyciem wojennym była dla mnie likwidacja ghetta warszawskiego. Latem roku 1943 prolog już gotowy połączył się z dramatem warszawskim. Żydzi z ghetta małego miasteczka rozszerzyli legendę".

Otwinowski miał szczególny powód, aby utożsamiać się z losem Żydów, gdyż tego losu doświadczył. Jego kruczoczarne włosy i duży ostry nos zwracały uwagę. Nie dziwi więc, że podczas wojny bał się wychodzić z domu i w obawie przed wywózką do Auschwitz chował się w szparze między tapczanem i ścianą.

Wielkanoc – jak wspominał jej autor – pisana była w trzech etapach: „Zaczęta w miesiąc po likwidacji getta warszawskiego, leżała przez cały rok. W czasie następnej Wielkanocy – na parę miesięcy przed powstaniem warszawskim – napisałem ten centralny akt przed kościołem". Akt III powstał już w 1945 r., w wyzwolonym Krakowie, dokąd Otwinowski przewiózł szczęśliwie odnaleziony rękopis dramatu. Otwinowski wyznaczył mu ważny cel: „ślad historii musi być przez literaturę utrwalony. Los dziejów nie może być przypadkowy".

Wielkanoc, która została wydana w trzecią rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim, wzbudziła wielkie zainteresowanie. Otwinowski otrzymał w Krakowie – 1 maja 1946 r., z okazji Święta Pracy – nagrodę Funduszu Kultury Narodowej z rąk wojewody, ale wprowadzenie dramatu na scenę przeciągało się:

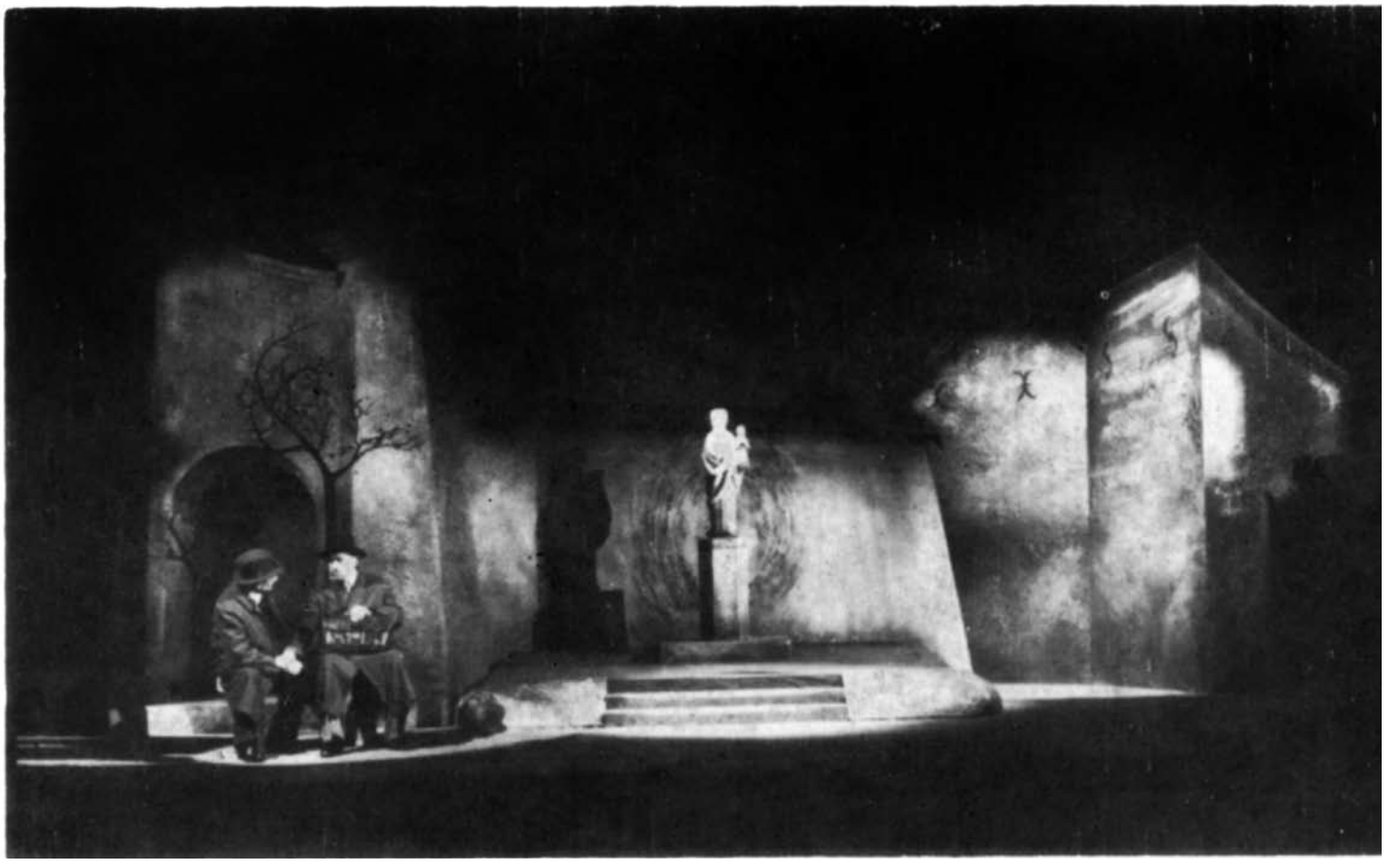

Scena z *Wielkanocy* Stefana Otwinowskiego

,,Mojej *Wielkanocy* napisanej w czasie okupacji nie mogłem wystawić. Mówili mi rozsądni dyrektorzy, że t e m a t ż y d o w s k i za świeży jeszcze. Na dramaty, w dodatku tak żywe dramaty, ludzie nie zechcą chodzić. Znaleźli się natomiast wydawcy, wydawcy raczej broszur i dokumentów historycznych. Dramat mój ukazał się w książkowej formie z ilustracjami [Antoniego] Uniechowskiego w olbrzymim nakładzie, niestosowanym do tej pory w Polsce".

***Wielkanoc* doczekała się tylko dwu inscenizacji w roku 1946: w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi w reż. Leona Schillera oraz w Starym Teatrze w Krakowie w reż. Władysława Woźnika**. Na tych spektaklach zdarzały się antyżydowskie ekscesy. Nie dziwi więc list Związku Pisarzy Żydowskich, skierowany w tym czasie do Związku Pisarzy Polskich. Podkreślono w nim „głos ludzki w morzu pogardy i nienawiści", obecny w poezji Władysława Broniewskiego, prozie Jerzego Andrzejewskiego, wypowiedziach Marii Dąbrowskiej i oczywiście w dramacie Otwinowskiego.

Wielkanoc pozostała w pamięci nielicznych widzów oraz przyjaciół pisarza. Najstarszy z nich, nieżyjący już Ryszard Matuszewski, po śmierci Otwinowskiego stwierdził w patetycznych słowach: „Dziś lepiej zdajemy sobie sprawę, że postawa, jaką wówczas zajął i zamanifestował swymi dziełami autor *Czasu nieludzkiego* i *Wielkanocy*, miała jednak swoją wymowę. Myślę o postawie Otwinowskiego wobec antysemityzmu, wobec wypadków kieleckich, wobec rodzinnego kołtuństwa i ciemnoty".

Należy wyrazić uznanie Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu, że w 75. rocznicę wybuchu powstania w warszawskim getcie wznowił *Wielkanoc*, traktując ten dramat nie tylko jako dzieło artystyczne, ale również jako ważny dokument wojennego i również dzisiejszego czasu.

Prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzeniewska – historyk teatru, wykładowca Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, członek redakcji czasopism: „Tygiel Kultury" i „Pamiętnik Teatralny", autorka wielu publikacji o teatrze polskim i żydowskim, najnowsze książki: *Faktomontaże Leona Schillera*, *Dzieła dramatyczne Wojciecha Bogusławskiego*

Zdjęcia za: S. Mroziński, *Trzy sezony teatralne Leona Schillera. Łódź 1946-1949*, Wrocław 1971

Leon Schiller, w głębi Jerzy Kaliszewski, próba *Bankietu* K. Korcellego, 1949 r.

Kościół św. Augustyna pośród morza gruzów dawnego getta, początek 1945 r. Fot. Eugeniusz Haneman

Muzeum Powstania Warszawskiego

Duchy Muranowa

Zofia Mioduszewska

W zimny lutowy dzień, późnym popołudniem, otrzymałam mail zatytułowany *Życie obok – reportaż z Muranowa*. Dziennikarz prosił, abym skontaktowała go z osobami mieszkającymi na Muranowie, którym ukazują się duchy. Reportaż miał już prawie gotowy. Rozmawiał głównie z młodymi osobami, które potwierdziły, że doświadczają „uczucia obecności". Prosił o pilne skontaktowanie ze starszymi mieszkańcami

Muranów to w Warszawie miejsce szczególne – w czasie wojny dosłownie zrównane z ziemią. Powojenny obraz ceglanej pustyni i morza ruin zakorzenił się w powszechnych asocjacjach wizualnych dotyczących getta warszawskiego. Opowieść o domach zbudowanych na tarasach usypanych z gruzów, ścianach, których budulcem był gruzobeton, ulicach, pod którymi biegną piwnice dawnych muranowskich kamienic, znana jest każdemu mieszkańcowi stolicy. W wyobraźni warszawiaków – oprócz dziejów tzw. dzielnicy północnej i tragicznego losu jej żydowskich mieszkańców – obecna jest także figura żydowskiego ducha, zjawy, wynikająca z interpretowania terenu byłego getta jako miejsca nawiedzonego, obłożonego klątwą. Na ulicach, chodnikach, skwerach Muranowa tworzą się czasem zapadliska. To odsłaniają się miejsca po piwnicach, „mocne gettowe korzenie", jak pisał o nich Jacek Leociak (*Historyczne żydowskie miejsca w Warszawie*, zmh.um.warszawa.pl). Pod warstwą gruntu znajdują się pozostałości domów, w gruzach spoczywają resztki ubiorów, sprzętów i przedmiotów codziennego użytku, a także szczątki ludzkie. W kulturze ludowej zapadliska były miejscem, które wybierały sobie czar-

Wolska (zachodnia) część Muranowa od strony alei gen. Karola Świerczewskiego (dziś aleja „Solidarności"), 1959 r.

ty i demony. Miejsc takich nie należało odwiedzać nocą, od zachodu słońca do pierwszego piania koguta. W zaciekawieniu związanym z podziemnym Muranowem tkwią elementy dawnych wierzeń. Zmarłych na Muranowie nie ekshumowano i nie pochowano. Muranowski pejzaż, układający się w pagórki ze zbudowanymi na nich blokami i tworzącymi się zapadliskami, bywa dla mieszkańców zagadką, źródłem ontologicznego dyskomfortu, a czasem lęku.

Wszelkie roboty uliczne przyciągają wzrok amatorów historii, marzycieli zarażonych muranowskim bakcylem i zagranicznych turystów. Obiektów ukrytych w ziemi jest tak dużo, że kiedy po naprawieniu rur robotnicy zasypują doły, pod ziemię na nowo wpadają pokruszone cegły, guziki, powykręcane od ognia szklane butelki, szpulki od nici, metalowe części maszyn, roztrzaskane kafle, fragmenty instalacji elektrycznych, zwęglony papier, czarne od ognia drewno i inne materialne ślady przeszłości. W 2013 r. podczas remontu alei Jana Pawła II spotkałam matkę i córkę, które, buszując po małej górce gruzów, zbierały destrukty porcelany do miski. Mieszkańcy Muranowa kolekcjonują historię dzielnicy. Zbierają, obserwują, a czasem fotografują przedmioty. Nie zawsze jest to zwyczajne poszukiwanie skarbów. To także szukanie świadectw życia przed wojną i w czasach istnienia getta warszawskiego.

Rumowisko na Muranowie; maszyny budowlane już pracują, 1953 r.

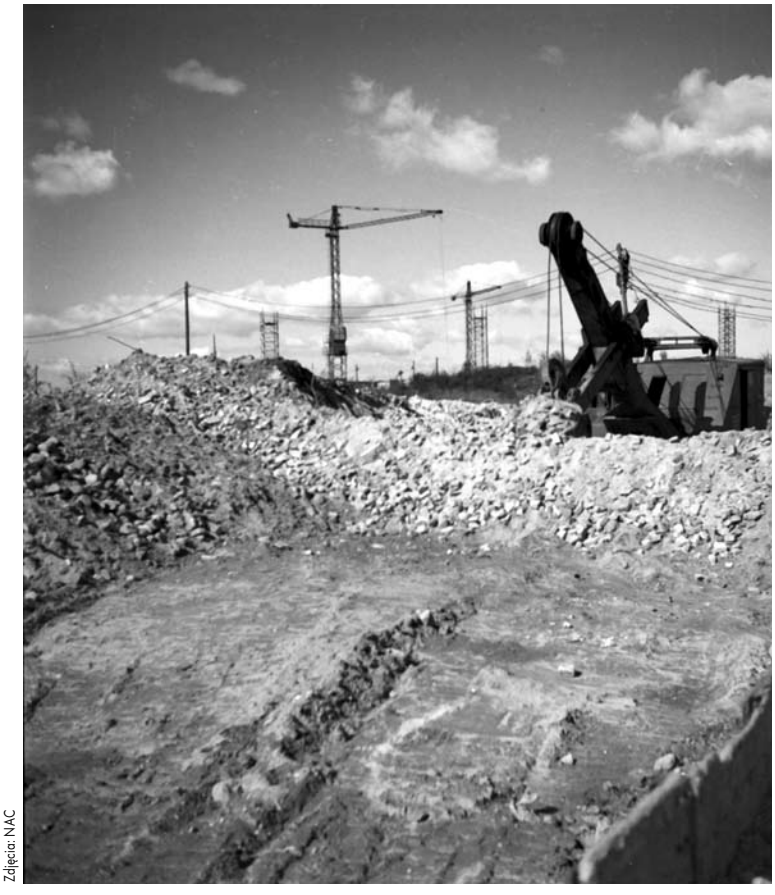

Zdjęcia: NAC

Skarby w gruzach

Tuż po wojnie na Muranowie zalegało 20 mln m^3 gruzu. Przez blisko cztery powojenne lata poszukiwacze kosztowności regularnie odwiedzali Muranów, aby przekopywać gruzy i miejsca masowych egzekucji. Reporter z wydawanego wówczas pisma „Robotnik" ubolewał, że przy ul. Nowolipki 26 ludzie przekopują popioły w poszukiwaniu złotych zębów. Wspominał, że złodzieje wynoszą też prochy z terenu dawnego obozu na Gęsiówce, a następnie, w odległym miejscu, przesiewają je, szukając kosztowności. W 1946 r. podczas ekshumacji na Pawiaku złapano na gorącym uczynku kilku grzebaczy. Ich dzienny urobek składał się głównie ze złotych zębów i złotych koron. Rezultat poszukiwań sprzedawany był handlarzom złota. W tym samym rejonie aresztowano także grupę młodocianych grzebaczy, którzy przesiewali prochy na terenach publicznych egzekucji. W okresie powojennym popularna była legenda o złotej cegle, którą wywieziono z getta na tzw. zwałkę (nadwiślańskie gruzowisko) i która została tam znaleziona przez robotników. Ówczesną gorączkę złota odzwierciedla nakręcona trzy lata po wojnie komedia *Skarb* (reż. Leonard Buczkowski, 1948). Legenda o ukrytych w gruzach kosztownościach jest przekazywana do dziś.

W latach 50. teren Muranowa uważany był za miejsce niebezpieczne – nie chodziło się tam, z wyjątkiem wypraw na szaber. W 1949 r. ruszyła budowa Muranowa Południowego według projektu Bohdana Lacherta. Teren uporządkowano pod wznoszenie modernistycznych bloków. Ich materiałem stały się pustaki wykonane ze zmielonej masy gruzowej. Kiedy na Muranów Południowy wprowadzili się nowi mieszkańcy, niezagospodarowany pozostał jeszcze Muranów Północny. Jego budowa ruszyła dopiero w 1957 r. Opis ciemności wokół zajezdni autobusowej na północy tej strefy pojawia się jako tajemnicza sceneria w *Złym* Leopolda Tyrmanda. Jest to wielki, nieuporządkowany plac przyszłej budowy: „Fryderyk Kompot ruszył przed siebie z Geńkiem na rękach [...]. Zapadał się w ceglane bruzdy i wądoły, wykręcał boleśnie zmaltretowane kostki u nóg, brnął w osuwające się ceglane wydmy, w szutrowe diuny, w niekończące się miękkie usypiska, w grząski, kaleczący, ostry, ceglany miał – ta brudna Sahara wydawała się nie mieć końca".

Matka Boska Różańcowa Muranowska

Pod koniec lat 50. umysły warszawiaków zaprzątnęło pewne wydarzenie na Muranowie. Projektowany w powojennym systemie kulturowym i politycznym nowy człowiek miał szukać miejsc kultu innych niż religijne. Tymczasem w centrum zainteresowania znalazł się XIX-wieczny kościół ostaniec w dzielnicy podnoszącej się z gruzów. 7 października 1959 r. na wieży kościoła św. Augustyna przy ul. Nowolipki 18 pojawiła się poświata. Zjawisko świetlne, które było widoczne codziennie wieczorem, zostało uznane przez muranowian za objawienie Matki Boskiej Różańcowej Muranowskiej. Według uczestników wydarzenia „Maryja z Nowolipek" ukazywała się w pełnej postaci, w długich szatach. Pod świątynię przyjeżdżały tłumy, także spoza stolicy. Dawny mieszkaniec Muranowa wspomina: „Byłem z ojcem i mamą i widziałem faktycznie, że ciemny dach wieży się błyszczał. Było to niewielkie światło na samym czubku wieży pod krzyżem [...]. Milicji było pełno i wszyscy musieli przejść aż do Okopowej".

Sprawą interesowała się milicja, aresztowano setki pielgrzymów-gapiów. W połowie października funkcjonariusze MO przemalowali wieżę czarną farbą, aby zapobiec błyszczeniu się jej powierzchni – bezskutecznie. Poświata nadal się ukazywała. Dopiero kiedy pod koniec października pomalowano kulę znajdującą się na wieży czarną smołą, światła przestały być widoczne. Kuria metropolitalna nie uznała cudu, ogłaszając, że jest to zjawisko naturalne, błędnie interpretowane przez wiernych. W parafii św. Augustyna wmurowano 50 lat później tablicę pamiątkową, którą ufundowali parafianie i świadkowie. Mówi ona o „wydarzeniach", nie o cudzie. Widać tu napięcie między oficjalną historią a społeczną pamięcią miejsca. Zdarzenie miało miejsce w kościele, który jako jedyny budynek w okolicy przetrwał wojnę. Być może stąd wzięła się wiara w wyjątkowość obiektu. Obraz kościoła wśród ruin stał się jedną z najczęściej wykorzystywanych fotografii – w reportażach, materiałach edukacyjnych czy filmach dokumentalnych obrazujących zniszczenia wojenne na Muranowie.

Ruiny getta w 1945 r., od lewej m.in. kościół św. Augustyna i pałac Krasińskich

NAC

Przechodnie na ulicy Nalewki, l. 30. XX w.

Duchy muranowskich ulic

Hanna Krall jako jedna z pierwszych pisarek uchwyciła metafizyczny charakter Muranowa. W reportaż *Zdążyć przed Panem Bogiem* (Kraków 1977) wplotła opowieść o mieszkance ulicy Miłej. Kobietę nękał dziwny, powtarzający się sen. Śniło jej się, że leżała w swoim pokoju i obserwowała otoczenie. Pokój wyglądał inaczej niż na co dzień, były w nim stare meble i sprzęty. Czuła, że ktoś jest w mieszkaniu. Zaniepokojona, budziła się i sprawdzała drzwi, ale nikogo nie było. W jednym ze snów do pokoju weszła dziewczyna, Żydówka, i stanęła obok łóżka, jakby chciała się przekonać, kto tam mieszka. Kobieta zaczęła się usprawiedliwiać, że po prostu dostała mieszkanie w tym bloku, ale dziewczyna uspokoiła ją gestem, po czym wyskoczyła z czwartego piętra na ulicę. Od tego czasu sen się nie powtarzał. Także w opowiadaniu Krall *Obecność* ze zbioru *Tam już nie ma żadnej rzeki* (Kraków 1998) odmalowana została obecność duchów, które odwiedzały mieszkającą przy ulicy Andersa parę: kupca i krawcową. Niemłode małżeństwo widziało i czuło nieprzyjemną obecność. Ludzie ci uważali, że zaczął ich prześladować pech. W końcu zaprosili do domu rabina, który odmówił *El male rachamim*, modlitwę za duszę zmarłego, za duchy dawnych ulic Franciszkańskiej, Wałowej i Nalewek.

Wątek metafizycznego przenikania się dawnej dzielnicy i współczesności pojawia się w wywiadzie, który przeprowadziła Anka Grupińska (*Po kole. Rozmowy z żydowskimi żołnierzami*, Warszawa 1991) z Adiną Blady Szwajger, lekarką z getta warszawskiego. Szwajger opowiadała o poczuciu równoległego przebywania w dwóch przestrzeniach: „Jeżeli ja mówię: Nalewki, to nie ma to nic wspólnego z dzisiejszą Nowotki. I ja to mogę zobaczyć, kiedy zamykam oczy. Jest tam straż pożarna, jest brama ogrodu i parkan, i ludzie, a na rogu jest sklep z wędliną [...]. A przed sklepem stoi człowiek w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, obok siedzi kobieta i sprzedaje bajgiełki, kawałek dalej wózek z pomarańczami”.

Fotopolska

Wielka Synagoga przy placu Tłomackie 7, 1902 r.

Klątwa rabina

Legendy o muranowskich duchach bywają związane z konkretnymi miejscami. Przez 25 lat miejsce po Wielkiej Synagodze, wysadzonej przez Niemców 16 maja 1943 r., było obszarem placu budowy, na którym stał niedokończony, źle zaprojektowany wysokościowiec. Budowa ruszyła w 1965 r. i trwała do 1990 r. Projekt nie uwzględniał upamiętnienia miejsca kultu. Wiąże się z tym opowieść o „klątwie rabina", która rzekomo miała przeszkodzić w doprowadzeniu inwestycji do końca. Legendę miejską, powtarzaną od lat 80., później upowszechniały także media, nie informując o rzeczywistych powodach porażki budowlanej. Jana Fuchs (*Miejsce po Wielkiej Synagodze*, Warszawa 2014) przeanalizowała zawartość warszawskich archiwów i wykazała, że opieszałość prac wynikała z wadliwie realizowanego projektu, a nie specyficznej aury miejsca. Mimo to do dzisiaj częściej powtarza się legendę o klątwie niż prawdziwą historię budowli.

Dybuk

Chociaż w judaizmie więcej uwagi poświęca się sprawiedliwemu doczesnemu życiu niż losom duszy po śmierci, to folklor żydowski chętnie operuje obrazami duchów i demonów. Wiara w demony była tak popularna, że Talmud włączył je do swojego prawodawstwa. Pochodzenie demonów było rozważane i badane przez uczonych. Jedna z teorii głosiła, że zostały stworzone na początku świata, inna, że są to dusze grzeszników pod postacią demonów, kolejna – że złe duchy rozmnożyły się ze względu na kontakt z ludźmi. Dybuk to istota, która przebywa na granicy dwóch światów, dusza człowieka zawieszona między życiem a śmiercią. Człowiek, którego śmierć była tragiczna i który pozostawił niedokończone sprawy lub opuścił świat jako grzesznik, nie umrze do końca. Jego zabłąkana dusza przylgnie do ciała żywej osoby i nią zawładnie. Dybuki czyhają na ludzi w miejscach odludnych: na ciemnych mokradłach, w okolicach studni, w cieniu rzucanym przez drzewa, w ruinach domów, w latrynach. Żydowskie wierzenia i legendy ludowe spisywał badacz folkloru żydowskiego Szymon An-ski podczas wypraw etnograficznych na Wołyń i Podole. Przeprowadzone na początku XX w. ekspedycje zaowocowały jedną z najbardziej znanych sztuk teatralnych An-skiego, *Dybukiem*. Kiedy główna bohaterka dramatu, Lea, rozmawia z babcią Frade o losie i o śmierci, nie można oprzeć się wrażeniu, że jest to monolog dotyczący wszystkich niewinnych ofiar: „Nie, babuniu! One są z nami. Człowiek rodzi się przecież na długie, długie życie. A gdy umiera przed czasem, to gdzie podziewa się jego nieprzeżyte do końca życie? [...] Babciu, gdy zgaśnie świeca, zapala się ją na nowo i wtedy pali się dalej, aż do końca. Jakże więc może zagasnąć na wieki niewypalona świeca ludzkiego żywota? Nie może tak być!".

Wyobraźnia oniryczna

Straszenie jako strategia narracyjna i odpowiedź na niewytłumaczalne zjawiska tego świata obecne jest w każdej kulturze tradycyjnej. W wyobrażeniach na temat muranowskich strachów mieszają się elementy tradycyjnych wierzeń ludowych, wyobraźni onirycznej, obrazów *zombie* zaczerpniętych z kina grozy. Wśród ludowych postaci demonicznych osobną kategorię stanowiły te demony, którymi stali się ludzie zmarli przedwcześnie lub gwałtowną śmiercią. Upiory zmarłych były nazywane strzygami. We współczesnych obrazach zjaw z Muranowa wykorzystane zostało m.in. obrazowanie zaczerpnięte z tradycji ludowej, pomieszane z wizualnymi asocjacjami z horrorów. Muranowskie duchy byłyby bez kształtu, gdyby nie powieść Igora Ostachowicza *Noc żywych Żydów* (Warszawa 2012) lub ich kabaretowe wcielenie w spektaklu *Inwazja dybuków* (Pożar w Burdelu, marzec 2015). Ostachowicz nadał duchom cechy *zombie*. W jego powieści mają one puste oczodoły i niekompletne członki, są ubrane w stare ubrania z czasów wojny, przybrudzone ziemią. Opis zjaw, utrzymany w konwencji groteski, jest dla czytelnika rodzajem *katharsis*. Można zobaczyć *zombie* i śmiać się: „Zjawa ma na imię Rachela [...]. Wziąłem od niej ciężkie, przesiąknięte wilgocią okrycie, w wielu miejscach było ubrudzone ziemią i tak też pachniało. Pod spodem miała sukienkę, która kiedyś chyba była niebieska, a teraz raczej szara z odległym wspomnieniem błękitu. Chuda wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć jej skołtunionych włosów. – Może chcesz się wykąpać? – zaproponowała. – Trupy się nie kąpią – odpowiedziała zdecydowanie Rejczel".

Zombie w powieści Ostachowicza wychodzą z piwnicy bloku przy ulicy Anielewicza. Ich powrót wywołuje odsunięcie przez bohatera tajemniczego włazu. W podziemnych korytarzach bohater powieści spotyka martwych Żydów: „W betonowej podłodze jest występ i jak odgarnąć nogą trociny i kurz, widać, że leży płyta [...]. Sięgnąłem po łom. [...] Zachrobotała lekko i przesunęła się o dobry metr. Czarny trójkąt, a z niego cisza. Nie taka zwykła jak wcześniej, ale doskonale wyważona, trochę wilgotna, zimna, jeden z żywiołów. [...] Nikt z nas się nie odzywa, bo to nie nasza cisza. To cisza tych, co są tam, tych, co się tam w ciemności zaczynają ruszać, słyszymy ich coraz wyraźniej, to nie pojedyncze skrobanie, to trzask rozprostowujących się kości".

Paranormalne.pl

Motyw duchów muranowskich pojawił się w 2013 r. na forum zjawisk nadprzyrodzonych paranormalne.pl. W jednym z wątków jest historia mieszkania przy ulicy Andersa. Zaniepokojony użytkownik forum o pseudonimie ObcyKany informował, że w jego domu straszy. Nocą kilkakrotnie słyszał dźwięk spadających naczyń, a kiedy wchodził do kuchni, wszystko było w porządku. Doświadczeni użytkownicy forum poradzili mu nagrać sytuację kamerą. Pozostali uczestnicy dyskusji, szczególnie ci z Muranowa, przyznali, że im także zdarza się słyszeć trzaśnięcie drzwi, niewyjaśnione hałasy, zauważyć przesuwające się przedmioty. Jedna z dziewczyn wspominała, że jej pradziadek z Muranowa opowiadał o krokach, które słyszał, i o kranie, który sam się otwierał. Kiedy pradziadek zmarł, szybko sprzedała mieszkanie. W kolejnych postach ObcyKanego pojawia się dokumentacja działalności duchów. Na krótkich nagraniach brązowe drzwi pod kuchennym zlewozmywakiem otwierają się i zamykają zamaszyście. Internauci drążyli temat, pytali o wiarygodność filmów. Na forum pojawiali się kolejni mieszkańcy Muranowa, którzy opisywali podobne historie: o duchach Żydów na strychach, o kobiecie w opasce, która pojawia się w okolicach pomnika Bohaterów Getta, o straszącym w bloku rabinie, o zemście Żydów. ObcyKany zamieszczał kolejne filmy, np. o otwierającej się szafie w pokoju. W dyskusję włączył się mieszkaniec ulicy Pawiej, który napisał, że także ma ducha w mieszkaniu i że „nauczył się z nim żyć". W innym wątku na forum absolwent Uniwersytetu Warszawskiego opisał, jak w czasie sylwestra usłyszał ciężkie kroki. Było to człapanie ducha pojawiającego się w piwnicy akademika przy ulicy Zamenhofa. Jego koleżanki i koledzy też słyszeli kroki, widzieli poruszającą się klamkę oraz zarysy postaci kobiecych w strojach z lat 40. Światło gasło samo z siebie.

Warszawa fantastyczna

Przekazywane przez warszawiaków opowieści o duchach tworzą wraz z innymi miejskimi legendami obraz Warszawy irracjonalnej i fantastycznej. Legendy muranowskie mogą być wyrazem nieoficjalnej pamięci popularnej, będącej przeciwieństwem oficjalnej pamięci miejsca, są czymś innym niż wspomnienia ocalonych z zagłady, ujawniające tęsknotę za ludźmi i topografią, które przeminęły. Muranowskie legendy są opowiadane przez tych, którzy postrzegają osiedle jako miejsce pamięci o warszawskich Żydach, jako miejsce śmierci. Opowieści, powtarzane w środowisku sąsiedzkim i osiedlowym, integrują mieszkańców trudnego historycznie obszaru. Powstające ostatnio reportaże z Muranowa włączają miejskie legendy w opowieść o losach tzw. dzielnicy północnej. Reportaże te wprowadzają atmosferę niesamowitości do narracji historycznej. We współczesnej prozie wyraża się popularna pamięć miejsca. Autorzy, jak Igor Ostachowicz, odwołują się do niepisanej historii Muranowa. Skoro jest legenda o duchach, to dlaczego by nie zejść do piwnicy bloku i nie zajrzeć pod klapę? Duchy Żydów, które zobaczymy, będą wyglądać jak *zombie* z filmu George'a A. Romero. Nie jesteśmy w stanie zobaczyć nic więcej?

Bardzo dziękuję Bogusławowi Jędruszczakowi za pomysł na wykorzystanie do rozważań prozy Hanny Krall.

Zofia Mioduszewska – doktorantka w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN; naukowo zajmuje się zagadnieniami pamięci o powstaniu w getcie warszawskim, współorganizuje projekty związane z historią Muranowa

Dwa domy przy Pańskiej

Magdalena Stopa

Album był pełen rodzinnych zdjęć. Najstarsze z początku XX w., wiele z lat 30. i 40., ostatnie z lat 60. Prawie wszystkie zrobiono w Warszawie

Zdjęcia: archiwum rodziny Chwilczyńskich

Urodziłem się w piwnicy domu przy ul. Pańskiej 10, dwa dni po kapitulacji Warszawy, 30 września 1939 r. – rozpoczął opowieść Maciej Chwilczyński. – Poród przyjąć miała naczelna położna z pobliskiego szpitala Bersohnów, która mieszkała u nas na ostatnim piętrze. Niestety, ostatniego dnia bombardowania Warszawy pocisk uderzył w jej mieszkanie i urwał jej głowę. Do mojego dziadka, bo ojca już nie było z nami, przyszedł mąż położnej i powiedział, że – niestety – jego żona nie może pomóc, bo podczas ostatniego ostrzału straciła głowę. Słuchałam z narastającą grozą, a pan Maciej spokojnie mówił dalej. – Dziadek zaczął więc szukać kogoś w zastępstwie i padło na doktora Bulskiego, przyszłego profesora Akademii Medycznej i przyjaciela rodziny. Przyszedł Bulski, odebrał poród, a matka spytała: i co teraz będzie? On na to: jak to co? Będą z niego ludzie!

Z Maciejem Chwilczyńskim spotkałam się w mieszkaniu przy ul. Narbutta 22, w kamienicy, której piękna „rozfalowana" elewacja frontowa jest dobrze znana miłośnikom warszawskiej architektury modernistycznej. Rozmawialiśmy w salonie pełnym historycznych mebli i bardzo kolorowych, nowoczesnych obrazów. – Dwa domy przy Pańskiej, pod numerami 10 i 12, były własnością mojej babki Jadwigi – kontynuował gospodarz. – Dostała je

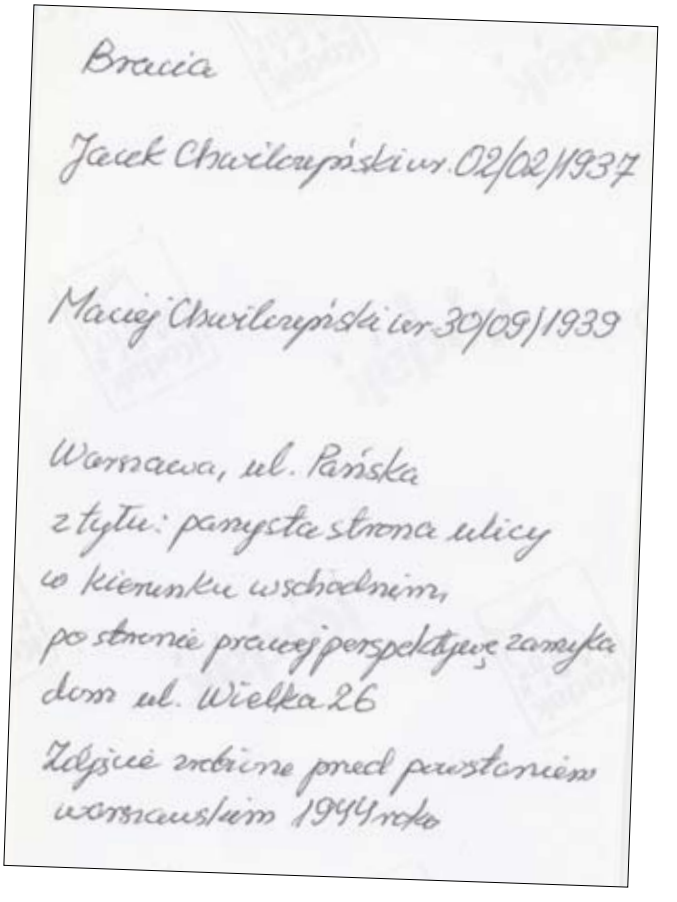
Bracia

Jacek Chwilczyński ur. 02/02/1937

Maciej Chwilczyński ur. 30/09/1939

Warszawa, ul. Pańska
z tyłu: parzysta strona ulicy
w kierunku wschodnim,
po stronie prawej perspektywę zamyka
dom ul. Wielka 26
Zdjęcie zrobione przed powstaniem
warszawskim 1944 roku

od swojego ojca, Eugeniusza Tchorzewskiego, w prezencie ślubnym, kiedy wychodziła za mąż za Wacława Pawła Pręczkowskiego. Nasze mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, było bardzo duże, pamiętam, jak z bratem jeździliśmy po nim na rowerach. Kiedy po upadku Powstania Warszawskiego ostatecznie opuściliśmy Pańską, miałem pięć lat. Byłem zbyt mały, by zapamiętać dokładny wygląd domu – wyjaśniał, gdy pytałam o szczegóły.

Dom pod numerem 10 miał cztery kondygnacje: parter i trzy piętra. Sąsiedni, pod numerem 12, był niższy, zaledwie piętrowy. Nie zachowały się zdjęcia ich elewacji, kamienice widać jedynie na fotografii ulicy Pańskiej, niestety, w silnym skrócie perspektywicznym i detale nie są czytelne. Domyślać się można, że kostium ich był eklektyczny, podobny do sąsiednich domów, również wzniesionych pod koniec XIX w. Pewną podpowiedzią może być zdjęcie wykonane przez Wacława Pręczkowskiego, który w czasie okupacji sfotografował swoich wnuków na balkonie. W tle, za roześmianymi chłopcami, widać dom stojący naprzeciwko, przy ul. Pańskiej 9. Efektowną boniowaną elewację dekorują balkony i zróżnicowane naczółki okien.

Dom pod numerem 10 zapewne wyglądał podobnie. Jego podwórze zamykała oficyna tylna, która przylegała do ogrodu kościoła Wszystkich Świętych. – Przed wojną mieszkał w niej mój stryj Jerzy Pręczkowski ze swoją piękną żoną, Anną Woroncow, z arystokratycznej rosyjskiej rodziny. Zachowały się zdjęcia ich mieszkania. Widać wiszące na ścianach karabele, buzdygan i wykonany z miedzi kinkiet. Ten ostatni był pracą dyplomową Kazimierza Pręczkowskiego, późniejszego scenografa, mamy go do dzisiaj. Po wojnie został wydobyty z gruzów – kontynuował pan Maciej. – W październiku 1940 r. Niemcy włączyli ulicę Pańską w obręb tzw. małego getta i rodzina Chwilczyńskich musiała swój dom opuścić. Zamieszkali przy Chmielnej. Na Pańską wrócili po likwidacji przez Niemców małego getta w 1942 r. i pozostali tam do upadku Powstania. Moje dzieciństwo przypadło na dramatyczne lata, co widać dobrze na fotografiach, które mam z tamtego czasu. Na jednej z nich stoimy z bratem na Pańskiej, mamy ładne marynarskie ubranka, śmiejemy się,

Kapliczka w podwórzu kamienicy przy ul. Pańskiej 10

➜

jak to dzieci, ale za nami widać stosy gruzów po wrześniowych nalotach. Na innym zdjęciu klęczymy przy kapliczce na podwórku naszego domu. Podobnie jak w innych miejscach zbudowano ją podczas okupacji, groza wydarzeń wzmogła religijność. Z tamtych lat pamiętam zabawy z bratem w parku przylegającym do kościoła Wszystkich Świętych. Wchodziliśmy do niego przez tylną oficynę naszego domu. Żaden ślad po tym parku już nie pozostał, dzisiaj biegnie tamtędy przedłużona po wojnie ulica Świętokrzyska. Na Dworcu Głównym, który stał niedaleko, uczyłem się pierwszych niemieckich słów. Padały z megafonów, a ja powtarzałem je i powtarzałem: *Achtung, achtung! Personenzug nach Krakau*. Później nauczyłem się innych: *Raus! Schnell! Warten!* Pamiętam, jak krzyczeli i potrącali nas kolbami. Po wojnie w ruinach tego dworca razem z kolegami znajdowaliśmy zwęglone posklejane znaczki z wizerunkiem Hitlera. Rozklejaliśmy je nad parą i wymienialiśmy się, bo były w różnych kolorach.

W dniu wybuchu Powstania Pańska została zajęta przez powstańców i na odcinku między Wielką a Żelazną stała się zapleczem frontu. Pracowała tu piekarnia dla powstańców, funkcjonowały punkty medyczne, pod numerami 10 i 12 zorganizowano szpital. – Przez całe Powstanie, aż do 4 października, byliśmy na Pańskiej. Mama, dziadkowie, ja oraz mój siedmioletni brat. Dziadek pomógł w zorganizowaniu szpitala. Na naszym podwórku działała również studnia, więc ludzie przychodzili po wodę, ustawiali się w długie kolejki. Na początku Pańskiej, w miejscu gdzie łączyła się z Wielką, zbudowano barykadę. Ze względu na stały ostrzał cała komunikacja odbywała się piwnicami przez powybijane w murach otwory. Kilka razy wysłano mnie tymi piwnicami z butelkami z benzyną, które zanosiłem do domów na początku ulicy. Tam podawano je na barykadę – mówił dalej pan Maciej. – Zapamiętałem też walki myśliwców rosyjskich z niemieckimi. Wychodziliśmy z piwnic, by je oglądać. Od końca sierpnia nasza ulica była silnie bombardowana i ostrzeliwana. Stale słychać było też wycie nurkujących samolotów i potworny łomot spadających bomb. Od pocisków z działa kolejowego zawalały się całe kamienice, aż do piwnic. Przedzieraliśmy się z jednego domu do drugiego, by uniknąć zasypania. Pył był wszędzie, pamiętam jak mama i babka nakrywały nam twarze poduszkami, byśmy się od niego nie udusili. Przed oczami mam też obraz Niemców prowadzonych Pańską po upadku PAST-y. Szli w kierunku zachodnim, wszyscy mieli ręce założone za szyje.

W tym samym kierunku szła Pańską ludność cywilna po kapitulacji Powstania. Zachodni wylot ulicy stał się jednym z pięciu miejsc, z których mieszkańcy opuszczali miasto. – Na szyi mieliśmy z bratem zawieszone woreczki z naszymi danymi i kawałkami mydła. Babcia uszyła je nam w piwnicy. Szliśmy, a zrozpaczony dziadek mówił: Jadziu, domy spalone, zawalone. Z czego my teraz zbędziemy żyli? A babcia na to: Wacku, to szczęście. Wreszcie nie będziemy mieli problemów z lokatorami. Babcia by-

ła mądrym człowiekiem. Dobrze wykształcona, o szerokich horyzontach, znała pięć języków. Pamiętam, kiedy w szkole musiałem się uczyć wiersza Lermontowa – rosyjski był przecież obowiązkowy – babcia powiedziała, żebym odłożył książkę i zaczęła mówić: *Скажи-ка, дядя, ведь не даром Москва, спаленная пожаром, Французу отдана?* Podobnie znała na pamięć Goethego – wspominał z dumą pan Maciej.

Rodzina Chwilczyńskich piechotą dotarła na Dworzec Zachodni, skąd pociągiem dojechała do Włoch pod Warszawą, a kolejnym pociągiem do obozu przejściowego Dulag 121 w Pruszkowie. – Kolejowa straż niemiecka zaganiała nas karabinami do wagonów – pan Maciej opowiadał dalej. – Jeden z Niemców kopnął mnie wówczas, żebym szybciej wsiadał. Całkiem niedawno, w wieku 60 lat, po prześwietleniach u lekarza dowiedziałem się, że miałem kiedyś złamaną kość ogonową. W Pruszkowie od sióstr ze szwajcarskiego Czerwonego Krzyża dostałem puszkę ze skondensowanym mlekiem. Można było dostać tylko jedną, ale tak mi smakowało, że chciałem kolejną. Żeby siostry mnie nie rozpoznały, poszedłem bez czapki. To oczywiście nie pomogło, ale puszkę i tak dostałem. Po paru dniach cud i łaska boska, jak to mówią, sprawiła, że nas nie rozdzielono, tylko wszystkich razem wpakowano do bydlęcych wagonów i wywieziono do Nowego Sącza. Tam górale zabierali warszawiaków do swoich chałup. My trafiliśmy do Zabełcza. Ci wspaniali ludzie dzielili się z nami wszystkim, choć panowała tam prawdziwa bieda. Na stole stały dwie miski, jedna z ziemniakami, druga ze zsiadłym mlekiem. Wszyscy jedliśmy z nich razem drewnianymi łyżkami. Po kilkunastu tygodniach pojechaliśmy do ciotki do Lutoborów, a później do Paprotni, gdzie mama podjęła pracę w charakterze nauczycielki.

Rodzina Chwilczyńskich wróciła do Warszawy pod koniec 1946 r. Oba domy przy Pańskiej były spalone. Zamieszkali na Ochocie przy ul. Jotejki 4, w budynku, który również został silnie uszkodzony. – Dziura w podłodze była tak duża, że mogliśmy zaglądać przez nią do dziadków, którzy mieszkali na parterze. Kiedy miałem osiem lat, pierwszy raz zobaczyłem swojego ojca. W 1939 r., jako podporucznik rezerwy, bronił twierdzy Modlin, dowodził trzema ciężkimi działami. Po kapitulacji trafił do oflagu w Murnau, skąd pod wyzwoleniu przez Amerykanów dostał się do 2 Korpusu Polskiego we Włoszech. Byłem z ojca bardzo dumny, jego *battledress* nosiłem jeszcze, chodząc na uczelnię – wspominał pan Maciej. – Warunki mieliśmy trudne, podobnie zresztą jak wszyscy wokół, wyrobiło to w nas sporą odporność. Pokój ogrzewaliśmy kozą, myliśmy się w miednicy, ojciec zbił prycze i kilka stołków. Wkrótce urodziła się siostra. Dopiero w 1955 r. przeprowadziliśmy się do dwupokojowego mieszkania w bloku przy Wery Kostrzewy, dziś Bitwy Warszawskiej, na które ojciec dostał przydział jako osoba represjonowana. Szczęście nasze nie znało granic. Mieliśmy kaloryfery, a z kranu płynęła ciepła woda! W tym samym czasie oddano do użytku Pałac Kultury, a tam, gdzie biegła Pańska, posadzono drzewa. Nasze nieruchomości przy Pańskiej zostały odebrane dekretem Bieruta. Jednak stryj, który był adwokatem, zachował wszystkie dokumenty i dlatego kilka lat temu udało nam się odzyskać prawa do dwóch działek. Teraz mogę panią zaprosić na ławeczkę do parku Świętokrzyskiego. Przy fontannie, dokładnie w miejscu, gdzie stały nasze domy, jest wmurowana w chodnik tabliczka z napisem: *Tu była Pańska*. To jedyny ślad miejsca mojego dzieciństwa.

Magdalena Stopa – historyk sztuki i dziennikarka, autorka książek o Warszawie i jej mieszkańcach, m.in. *Przed wojną i pałacem*, *Ostańce. Kamienice warszawskie i ich mieszkańcy* (trzy tomy), *Kapliczki warszawskie*, *Rzemieślnicy warszawscy*, *My, rowerzyści z Warszawy*. Dwukrotna laureatka Nagrody KLIO (2016, 2017), Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (2011) i dwóch dyplomów honorowych Towarzystwa Przyjaciół Warszawy za najlepsze publikacje roku (2009-2010 i 2010-2011) w dziedzinie varsavianów oraz Nagrody im. Witolda Hulewicza (2013)

REKLAMA

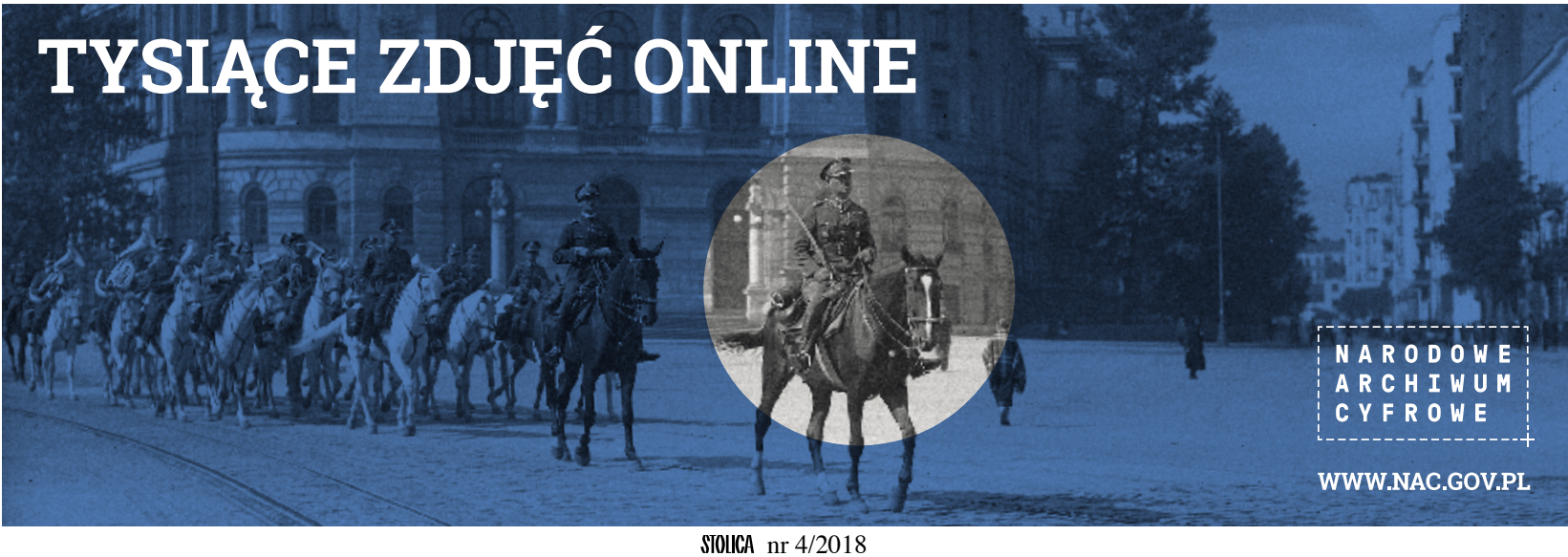

Posadzka z kolumny

Katarzyna Dzierzbicka

Przekraczając progi kościołów, w pierwszej kolejności kierujemy wzrok w stronę ołtarzy. Nieco później nasze oczy wędrują po ścianach świątyni, następnie zwracamy je ku górze, by podziwiać bogato dekorowane sklepienie lub kunsztownie zdobioną kopułę. Rzadko patrzymy pod nogi, choć czasem to właśnie posadzkom warto poświęcić szczególną uwagę

Tak jest w przypadku kościoła św. Anny w Wilanowie. W *Ilustrowanym przewodniku po Warszawie z* 1893 r. znajdujemy lakoniczną informację: „Posadzka w kościele Willanowskim składa się z tafli rżniętych z granitu egipskiego. Część większa posadzki zrobiona z kolumny pozostałej po «Świątyni Pokoju» w Rzymie, którą wzniósł cesarz Adryan. Kolumnę tę ofiarował fundatorom Pius IX". Podobną informację znaleźć można w niedatowanym dokumencie *Wiadomości o dziełach sztuki w kościele Willanowskim*, przechowywanym w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie: „Pod kopułą posadzka z okrągłych tafli granitu Egipskiego rżniętych z pozostałych kolumn ze świątyni pokoju cesarza Adriana w Rzymie".

Potoccy utrzymywali serdeczne kontakty z papieżem Piusem IX. Stanisław Wojciech Antoni Potocki bywał w Watykanie, gdzie składał papieżowi relacje dotyczące życia religijnego pod zaborami. Jego żona, Anna z Działyńskich Potocka, w liście z 10 października 1870 r. zaprosiła papieża do odwiedzenia ich rodzinnych stron i zaproponowała schronienie w pałacu w Oleszycach. Miało to miejsce w czasie, kiedy wojska króla Wiktora Emanuela II zajęły Rzym, a papież ogłosił się „więźniem Watykanu". Potocka w swoim pamiętniku zanotowała również reakcję Piusa IX na wiadomość, że przybywający w Watykanie z audiencją Polacy zostali podzieleni na trzy grupy w zależności od zaborów, w których mieszkali. „Wiadomo, że w Watykanie są sale recepcyjne zwane: sala ambasadorów, sala deputowa-

Posadzka w kościele św. Anny, przed ołtarzem

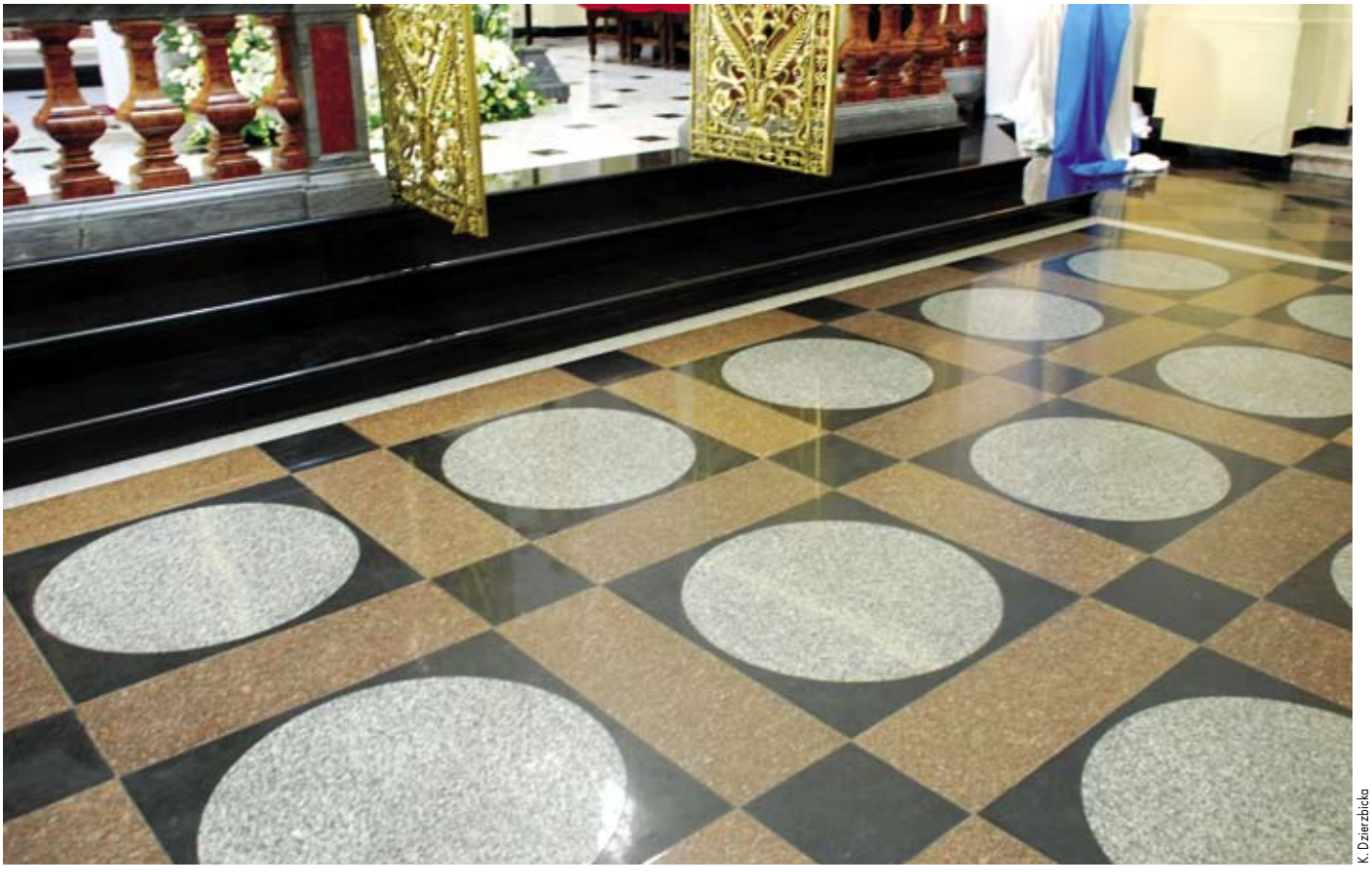

K. Dzierzbicka

nych itd. Otóż Ojciec Święty, który wszystkie deputacje tego dnia przyjmował w sali deputowanych, zawołał: «Prosić ich do sali ambasadorów! Oni ambasadora swego nie mają, oni są sami ambasadorami swego kraju!»" – pisała Potocka.

Hadrianeum w Rzymie

Wspomniana świątynia Hadriana, zwana również Hadrianeum, powstała w 145 r. na Polu Marsowym w Rzymie. Budowlę wzniósł cesarz Antoninus Pius na chwałę swojego poprzednika, Hadriana, po śmierci otoczonego boskim kultem. W pierwszych latach rządów Hadrian dał się poznać jako władca pragnący pokoju. W historii zapisał się również jako mecenas artystów. Jak pisał Aleksander Krawczuk w *Poczcie cesarzy rzymskich*, dzięki opiece i entuzjazmowi Hadriana „nastąpił renesans greckiej kultury. Hellenowie czuli się wówczas prawdziwymi współobywatelami Imperium". Cesarz pisał wiersze i utwory prozatorskie, malował, rzeźbił, projektował nowe budowle. „Władca pragnął być w każdej dziedzinie twórczości pierwszy i oryginalny" – podkreślał Krawczuk. Hadrian był również znakomitym oficerem i dowódcą legionów.

Hadrianeum stanęło na podium z tufu (rodzaj lekkiej, porowatej skały wulkanicznej), wysokim na 4 m. Świątynię okalało 38 kolumn w porządku korynckim. Ich wysokość wynosiła 15 m, a średnica – 1,44 m.

Étienne Dupérac, Hadrianeum z kolumną Marka Aureliusza po lewej stronie, 1575 r.

W XVII w., na rozkaz papieża Innocentego XII, ruiny pogańskiej świątyni zostały połączone z nowo wznoszonym domem celnym. Z dawnej świątyni Hadriana zachowano jedynie 11 kolumn ustawionych przy bocznej elewacji i północną ścianę świątyni. Przylegała do nich nowa budowla. Pod koniec XIX w. dom celny został przeniesiony, a jego miejsce zajęła Giełda i Izba Gospodarcza, które funkcjonują w tym miejscu do dziś. W czasie przebudowy w latach 1878 i 1928 zachowane starożytne kolumny i ściana boczna świątyni zostały wyeksponowane.

➜

Giovanni Battista Piranesi, Hadrianeum, 1748 r.

Zdjęcia: domena publiczna

K. Dzierzbicka

Fasada kościoła św. Anny w Wilanowie

Przebudowa kościoła w Wilanowie

Kolejni właściciele Wilanowa – Aleksandra i August Potoccy – przebudowali i znacznie powiększyli kościół św. Anny. Na zakupy wyposażenia pałacu i świątyni jeździli do Rzymu. Za projekt przebudowy kościoła odpowiedzialny był Henryk Marconi, który nadał obiektowi formy neorenesansowe. Znakomity architekt, ,,pragnąc jak najlepiej wywiązać się z podjętego działania, sięgnął do wzorcowego dzieła włoskiego renesansu, kościoła św. Andrzeja w Mantui, [...] architekta [...] Leona Battisty Albertiego" – czytamy w artykule Wojciecha Fijałkowskiego *O kościołach św. Anny w Wilanowie* („Studia Wilanowskie", XVI, 2009). Z budowli tej ,,zaczerpnął dwa podstawowe elementy: bryłę świątyni założonej na planie krzyża łacińskiego z kopułą na skrzyżowaniu naw i motyw wgłębnego portyku w fasadzie, mającego kształt olbrzymiej niszy z kasetonową czaszą sklepienia" – czytamy u Fijałkowskiego. Dopełnienie wystroju świątyni stanowił fragment posadzki w ,,formie barwnej kompozycji mozaikowej nabytej przez Potockich w Rzymie" – pisze dalej wieloletni dyrektor zespołu pałacowego w Wilanowie, dodając: ,,jak utrzymuje miejscowa tradycja, kolumnę ofiarował Aleksandrze Potockiej papież Pius IX".

Nie ma zatem pewności, czy powtarzana przez pokolenia parafian historia o darze papieża jest prawdą. Być może tafle z dawnej rzymskiej kolumny tak spodobały się Potockim, że koniecznie chcieli je widzieć w wilanowskim kościele, więc dokonali zakupu. Wiadomo natomiast, że sprawą dostarczenia pociętych płyt z Włoch do Wilanowa zajęła się w latach 1860-1861 mieszkanka Wiecznego Miasta, księżna Zofia Odescalchi z d. Branicka, żona księcia Livia III Odescalchiego.

Pod kopułą kościoła, na przecięciu transeptu i nawy głównej, trzeba było ułożyć 133 łokcie kwadratowe posadzki. Marmur biały pochodził z Włoch, czarny z Francji, czerwony z Belgii, a 49 okrągłych granitowych tafli – z dawnej rzymskiej kolumny. Kontrakt na wykonanie podłogi zawarty został przez hrabiów Potockich z Aleksandrem Sikorskim – fabrykantem wyrobów marmurowych. Według umowy prace miały być zakończone 1 lipca 1861 r.

Przebudowa wilanowskiego kościoła trwała 13 lat. Po śmierci Augusta dzieło kontynuowała Aleksandra Potocka.

Podczas pierwszej i drugiej wojny światowej kościół w Wilanowie był wielokrotnie niszczony i plądrowany, a jego otoczenie dewastowane. W latach 1980-2005 świątynię kilka razy poddawano renowacji. W jej pobliżu pod koniec lat 80. powstały nowe budynki parafialne: probostwo, sale katechetyczne, Dom Prymasa Polski, a w 2002 r. – Dzwonnica Trzeciego Tysiąclecia (obecnie galeria sztuki). W 2012 r. wnętrze kościoła ponownie wyremontowano. Przy tej okazji całą oryginalną posadzkę świątyni zdjęto i ułożono na nowo.

Katarzyna Dzierzbicka – dziennikarka, absolwentka z wyróżnieniem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, egiptolog, absolwentka podyplomowych studiów etnomuzykologicznych na Uniwersytecie Warszawskim, licencjonowana przewodniczka miejska po Warszawie; wydała trzy książki: *50 lat Teatru Telewizji. Krótka historia telewizyjnej sceny* (2004), *Warszawa Witolda Gombrowicza* (2014) i *Polska Witolda Gombrowicza* (2017)

Gabinet zoologiczny w Warszawie. (Rysowal z natury Gerson).

Zdjęcia: domena publiczna

Warszawskie gabinety osobliwości

Mateusz Kaczyński

Ich twórcy byli zazwyczaj majętni i poprzez kolekcjonowanie egzotycznych okazów i artefaktów pragnęli pokazać swoje obycie w świecie. W miarę upływu lat i rozwoju nauki prywatne kolekcje – tzw. *kunstkamery*, czyli gabinety osobliwości, bardzo popularne w zachodniej Europie – zyskiwały na znaczeniu i niejednokrotnie stawały się zalążkami muzeów. Z czasem eksponaty przestały być postrzegane tylko jako ciekawostki, a zaczęły pomagać w poznawaniu i rozumieniu świata. Jakie były warszawskie gabinety osobliwości?

W wydanym w 1827 r. przez Łukasza Gołębiowskiego *Opisaniu historyczno-statystycznym miasta Warszawy* pojawia się wątek gabinetów osobliwości. Autor zwraca uwagę na istotę kształtowania się tych miejsc. Powstałe w Europie Zachodniej *kunstkamery* (z niemieckiego – izba ze sztuką) nie należały w XVII-wiecznej Warszawie do powszechnych. Z uwagi na ogromną różnorodność eksponatów gabinety osobliwości określano także mianem *panopticum*. Za ich tworzenie zabierali się zazwyczaj bogaci arystokraci, którzy mogli pozwolić sobie na zakup kosztownych kuriozów. Jak podaje Gołębiowski: „Nie było dawniej gabinetów publicznych, lecz znajdowały się osoby, które starały się zbierać wszelkie osobliwości. Widzieliśmy to w opisaniu pałaców możnych panów za Władysława IV, mamy również ślad gabinetu zgromadzonego upodobaniem Bernicyusza, głównego lekarza u Jana Kazimierza. Oglądał go Konnor [właśc. Bernard O'Connor – red.], Anglik opiekujący się zdrowiem Jana III Króla Polskiego, a wychwalając grzeczność i naukę okazującej mu te zbiory Bernicyusza małżonki, która dobrze po łacinie mówiła, opowiada, jako tam widział: skamieniałe jagody, żaby, węże, drzewo, konch wiele, rzeczy kopalne i gumy różne. Szczególniejszego kształtu okazano mu naczynie szklane, winnym spirytusem nalane, przepowiadające zmiany powietrza,

➜

Willem Hondius, portret Adama Kazanowskiego na tle Pragi i Skaryszewa, miedzioryt, 1646 r.

i gołębia morskiego, czyli rybę latającą zawieszoną, obracającą się tam, skąd wiatr powiewa, z której krople wody spływają na słotę, jak właścicielka upewnia. Dziwił się tam rogom łosi i kościom zwierząt olbrzymich, znalazł mnóstwo roślin i Bernicyusza rysunków".

Zbiór utworzony przez nadwornego lekarza Jana Kazimierza z pewnością musiał budzić zachwyt i ogromne zdziwienie. Efekt był tym większy, że ówczesne kolekcje eksponatów zgromadzonych w gabinetach osobliwości wyglądały jak przeniesione ze świata fantastyki. Niektóre z nich, np. spreparowane zwierzęta lub rzadkie kamienie, mogły pochodzić z dalekich podróży właściciela. Naukowo sklasyfikowane okazy były bardzo cenne. Sensację wzbudzały takie kurioza, jak ryba porośnięta futrem czy róg jednorożca. Tam, gdzie nauka nie dawała jeszcze jasnego wytłumaczenia odmienności, sięgano po mitologię. Świat nie był jeszcze do końca poznany, fantastyczne teorie traktowano więc często równorzędnie z rzeczywistymi odkryciami.

Podróże kształcą

Zbiór przeznaczony do *kunstkamery* nie powstawał z dnia na dzień. Urządzenie własnego gabinetu osobliwości było owocem wielu lat kolekcjonowania. Zalążek powstawał zazwyczaj podczas zagranicznej podróży, którą młodzi możni obywatele wyższych stanów odbywali, by poznać dworską Europę oraz zdobyć szlify dające im międzynarodowe obycie. W podróż taką wybrał się Władysław IV Waza. Syn Zygmunta III spędził na podróżach rok (1624-1625), poznając najważniejsze w ówczesnej Europie ośrodki kultury i sztuki. Szlak przebiegał przez Austrię, Niemcy i Holandię. Książę odbył w tym czasie także obowiązkową wizytę we Włoszech. Rok później kazał uwiecznić na płótnie zdobycze kulturalnej wędrówki. W 1626 r. malarz Étienne de la Hyre ukończył pracę nad zleconym przez królewski dwór dziełem. *Gabinet sztuki królewicza Władysława Zygmunta Wazy* przedstawia kolekcję skompletowaną podczas rocznej wyprawy. Większość z jej elementów to dzieła sztuki stanowiące przyczynek późniejszej galerii Władysława IV: płótna Rubensa i Breughla, rzeźba Giovanniego da Bologna czy szkicownik z dworu niemieckiego cesarza Rudolfa II. Ale król Rzeczypospolitej posiadał także kolekcję, którą można opisać jako tradycyjny gabinet osobliwości. Składała się ze zwierzęcych szkieletów, rzadkich minerałów oraz popularnych wtedy koralowców. Zamiłowanie króla do osobliwości szło jednak dalej. Na dworze Władysława IV Wazy zadziwiały karły, które były królewskimi ulubieńcami.

Królewski dwór nadawał ton. Szlachcice chcieli być na czasie, wielu z nich zaczęło naśladować obyczaje panujące na dworze i kreować własne kolekcje. Adam Kazanowski, marszałek nadworny koronny oraz przyjaciel Władysława IV Wazy, również podążał za modą na osobliwości. Według opisu Adama Jarzębskiego skarbiec jego pałacu starał się oddawać nastrój gabinetów sztuki i osobliwości popularny na królewskim dworze. Tak pisze o nim na podstawie *Gościńca albo krótkiego opisania Warszawy* Adam Goszczyński: „W jednym z [...] pomieszczeń znajdowały się wschodnie tkaniny oraz ozdobna broń palna, którą rozwieszono na ścianach. W drugiej izbie natomiast zalegało jeszcze więcej kosztowności, od siodeł i ozdobnej broni białej, po srebrne naczynia. Co więcej, zawieszony pod sufitem wypchany jaszczur oraz sprowadzony z Indii spreparowany żółw nadawały wnętrzu charakter zbliżony do gabinetu osobliwości". Jean Le Laboureur, jeden z gości pałacu Kazanowskiego, wspomina też o dwóch karliczkach, które „stały jak na warcie i strzegły dwóch piesków, niemniej karłów w swoim rodzaju, gdyż nie były większe od myszy".

Miłośników osobliwości i zbieraczy kuriozów wśród magnaterii było więcej. Wśród nich wyjątkowo barwnie zapisał się Hieronim Florian Radziwiłł. Według archiwum Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie jego kolekcja, mieszcząca się w białostockiej rezydencji magnata, zawierała: „spreparowane zwierzęta i dziwolągi. Znaleźć tam można było zalanego spirytusem bazyliszka, górną część głowy smoka, zasuszonego krokodyla, skorupy żółwi, olbrzymią ropuchę czy wreszcie dwa wielorybie penisy".

Wilanowskie uporządkowanie

Z biegiem lat osobliwe kolekcje zaczęły ustępować miejsca bardziej uporządkowanym zbiorom. Barokowy eklektyzm zastąpił sztywny podział na gabinety poświęcone odrębnym dziedzinom sztuki i nauk. Zgodnie z oświeceniowymi wzorcami kolekcjonerzy zaczęli skupiać swoją uwagę na starożytności. Znakomitym przykładem kolekcjonera antycznych dzieł sztuki był Stanisław Kostka Potocki. Swój zbiór kompletował przez długie lata, podczas licznych podróży do Włoch, które regularnie odbywał od drugiej połowy XVIII w. Potocki był żywo zainteresowany historią sztuki i odkrywaniem przeszłości. W korespondencji do swojej żony wspominał: „Ja sam pod bytność moją w Neapolu zgromadziłem przeszło sto wazów etruskich, do czego mi łatwość, jaką wtedy mieli cudzoziemcy, kopania w Noli niemało posłużyła. W tym zbiorze [...] szukałem [...] uporządkowania i stopniowania różnych stylów sztuki, któreby [...] historyczny wystawiały łańcuch od słabych jej początków aż do najwyższej dojrzałości i mocy". W Italii kolekcjoner kupował wazy, popiersia, czary, gemmy i urny. W 1799 r. Stanisław Kostka Potocki przejął, dzięki rodzinnym konotacjom, pałac w Wilanowie. Była to znakomita okazja, by stworzyć tam zupełnie nowe miejsce odpowiednio eksponujące zbiory. Zamiar wybudowania muzeum towarzyszył Potockiemu już od dawna, ale marzenie zrealizował dopiero w Wilanowie. Po dobudowaniu w 1802 r. do północnego skrzydła pałacu galerii gotyckiej przeniósł tam swoją kolekcję. Trzy lata później udostępnił antyczne zbiory publiczności. Dało to początek prawdopodobnie pierwszemu muzeum w ówczesnej Polsce. Fascynacje Stanisława Kostki Potockiego nie ograniczały się jedynie do sztuki europejskiej. Jedną z ciekawostek w nowo otwartym muzeum był apartament chiński, nawiązujący do Gabinetu Chińskiego króla Jana III Sobieskiego. W urządzonych w orientalnym stylu wnętrzach prezentowano eksponaty z Dalekiego Wschodu. Azjatyckie osobliwości, jak chińska i japońska porcelana, rzeźby i wyroby z kości słoniowej, meble i przedmioty z laki czy drzeworyty, budziły zachwyt gości. Zarówno antyczna, jak i dalekowschodnia kolekcja Kostki Potockiego były rozwinięciem idei barokowego gabinetu osobliwości. Panował w nich jednak znacznie większy porządek niż w panoptykonach z poprzednich stuleci.

Nauka dla wszystkich

W XIX-wiecznej Warszawie gabinety osobliwości zupełnie zmieniły swoje oblicze. Wraz z rozwojem nauki przekształciły się w prawdziwe, profesjonalnie sklasyfikowane, naukowe kolekcje. Profesorowie nowo powstającego Uniwersytetu Warszawskiego odkupowali od zamożnych właścicieli gabinety osobliwości w całości, jako że naukowe zbiory niezbędne były do prowadzenia zajęć ze studentami. Dawne kurioza znakomicie służyły celom badawczym. Trzeba przyznać, że profesorom poszło całkiem nieźle. Dzięki ich staraniom warszawska uczelnia od samego początku należała do nowoczesnych. Na pięciu uniwersyteckich wydziałach działało aż 20 gabinetów naukowych! Wśród nich – gabinet mineralogiczny, fizyczny, chemiczny czy zoologiczny.

Gabinety naukowe powstawały głównie dzięki osobistemu zaangażowaniu profesora. Poszukiwanie i zdobywanie eksponatów zbliżało go do barokowego kolekcjonera. Powstawanie poszczególnych zbiorów szczegółowo opisuje Józef Bieliński w *Królewskim Uniwersytecie Warszawskim*. Przyjrzyjmy się przykładowo gabinetowi zoologicznemu. Po upadku powstania listopadowego działanie uczelni

REKLAMA

zawieszono, a carskie władze skonfiskowały jej dobytek: „Przy zamknięciu Uniwersytetu Warszawskiego stan gabinetu zoologicznego był następujący i oceniony [...] w r. 1832: Mumij 2, Zwierząt ssących 277, [zwierząt] niby ssących 1, Ptaków 1763, Gadów 167, Płazów 53, Ryb 251, Skorupiaków 229, Pająków 190, Owadów 15 036, Mięczaków i ich muszel 13 884, Robaków i ich skorup 81, Promieniaków 131, Glizd 28, Pławów 4, Zwierzokrzewów 320, Jaj ptasich 107, Preparatów do anatomii porównawczej 104, Gniazd rozmaitych 12, Osobliwości rozmaitych 51, Szaf oszklonych 84, Stołów 24, Pudełek 164, Książek 8". Tak znakomity stan gabinetu był efektem wieloletniej pracy prof. Feliksa Pawła Jarockiego, który całkowicie poświęcił się jego budowie. Jak podaje Bieliński, podwaliny zbioru

Zbiory Zamku Królewskiego w Warszawie

Étienne de la Hyre, *Gabinet sztuki królewicza Władysława Zygmunta Wazy*, olej na drewnie, 1626 r.; obraz przedstawia kolekcję osobliwości skompletowaną przez następcę tronu podczas podróży po Europie; Władysław IV Waza zakupił wówczas liczne kurioza i dzieła sztuki, które stanowiły zalążek gabinetu osobliwości oraz galerii króla

stanowiła kolekcja „zbiorów historii naturalnej Sylwiusza Munkwitza we wsi Gronowicach (Grunwitz) na Śląsku", zakupiona „za 15 000 talarów".

Warto wspomnieć, że gabinet zoologiczny był udostępniony zwiedzającym. Kolekcję wspomina Łukasz Gołębiowski: „W roku 1824 i 1825 pomnożył się ten gabinet o 1103 szczegółów, z samey Menażeryi Akena [wędrowna menażeria prowadzona przez holenderską rodzinę van Aken w pierwszej poł. XIX w. – red.] weszło tu rzadkich zwierząt 41, liczy teraz przeszło 25 000 sztuk, w nich: zwierząt ssących z okładem 100, ptaków 1415, zamorskich i Europeyskich, ostatnie znajdują się wszystkie niemal i rzadko dobrany oddział ptaków drapieżnych, gadów i płazów jest 200, ryb 100, muszli z górą 12 000, owadów 11 000. Do sali tey we Wtorek i Czwartek wejście jest dozwolone". A wejść do gabinetu było warto. Na gości czekały bowiem m.in. wypchane lwy, słoń czy żyrafy!

Powolny kres

Z czasem gabinety osobliwości zaczęły zanikać. Przyczyniła się do tego niełaskawa dla nich historia. W efekcie nieudanych powstań eksponaty wywożone były w głąb Rosji. Zmieniło się także nastawienie samych kolekcjonerów, którzy z własnej woli przekazywali instytucjom naukowym swoje zbiory. Rolę rozrywki przejęły dostępne dla szerokiej publiczności – teatr i kino. Warto jednak pamiętać, że Warszawa miała swoje *wunderkamery*. Choć nadal mało znane, do dziś pozostają inspirujące. Kto wie, może bez nich nie cieszylibyśmy się muzealnymi zbiorami tak wcześnie?

Mateusz Kaczyński – tłumacz, redaktor bloga *Pańska Skórka*; pasjonat kultury, muzyki, literatury oraz niezależnej myśli; lubi rzeczy niebanalne; warszawiak z dziada pradziada; tworzy na Grochowie, mieszka na Woli

Prywatne zbiory dały początek wielu znakomitym muzeom w Europie. W 1655 r. duński król Fryderyk III Oldenburg odkupił zbiory przyrodnicze lekarza Olego Worma, uważane za jedną z pierwszych kolekcji muzealnych w Europie.
Kolekcję niecodziennych eksponatów zgromadzonych przez cara Piotra Wielkiego w Petersburgu udostępniono zwiedzającym już w 1727 r.
Podobnie było z londyńskim British Museum, którego podwaliny stanowiła prywatna kolekcja zakupiona przez brytyjski parlament od przyrodnika Hansa Sloane'a w 1759 r.

Basen Morza Śródziemnego opłynąłem wzdłuż i wszerz

Z Kazimierzem Kaczorem o podróżach, Tonym Haliku i o tym, jak zostać żeglarzem, rozmawia Rafał Dajbor

M. Bielińska / Teatr 6. piętro

Kazimierz Kaczor w spektaklu *Polityka*, Teatr 6. piętro

Urodził się Pan w Krakowie, pracuje w Krakowie i Warszawie, z dala od Mazur i Bałtyku. Jak to się stało, że jest Pan najbardziej znanym żeglarzem wśród polskich aktorów?

Nie jestem pewien, czy jestem najbardziej znanym żeglarzem wśród aktorów, bo wielu moich kolegów żegluje. I to także po morzach. Nie mam też pojęcia, skąd wzięła się u mnie żeglarska pasja, bo nikt w mojej rodzinie się tym nie zajmował, a jedyne, co łączyło rodzinę Kaczorów z wodą, to nazwisko. Nie jest jednak tak, że jak się mieszkało w Krakowie, to żeglarstwo było czymś dziwnym. Przecież przez Kraków płynie wielka i piękna Wisła, a w okolicach miasta jest Zalew Rożnowski, na którym zdobywa się żeglarskie uprawnienia.

Pamięta Pan moment, w którym zrozumiał, że żeglarstwo to jest właśnie to?

Przygodę z żeglarstwem zaczynałem w PRL-u, w połowie lat 60. ubiegłego wieku. Żeby wypłynąć na słoną wodę, trzeba było spełnić szereg warunków. Dopuszczenie do przekroczenia granicy Polski a prawo zawijania do portów krajów zachodnich to były często dwie różne sprawy. Ileż razy zerkałem na Bornholm ze świadomością, że nie wolno mi tam przybić do portu... Rejsy po Bałtyku zaliczane były do tzw. rejsów stażowych. Odpowiednia liczba „wypływanych" mil morskich pozwalała zdobywać kolejne uprawnienia. Pływanie odbywało się w surowych warunkach. Łódź była na 10 osób, ale pływało na niej na ogół 12 chętnych na staż. Było ciasno, mokro i zimno. Bałtyk nie jest morzem przyjaznym dla żeglarzy. Mimo to któregoś poranka, kiedy zziębnięty, przemoczony i niedospany siedziałem na pokładzie podczas świtowej wachty, poczułem, że jestem w świecie, w którym chcę być. Śmieję się, że mam chyba w sobie nieuświadomiony masochizm, skoro to właśnie w tej chwili zdałem sobie sprawę, że chcę być żeglarzem.

Żeglarska pasja na pewno pozwoliła Panu zwiedzić kawałek świata?

Pod koniec lat 70. zaczynało się robić nieco luźniej, jeśli chodzi o restrykcje dotyczące zagranicznych podróży. Pływało się nie z paszportem, ale z książeczką żeglarską, w której wbijana była pieczątka zwana klauzulą morską. Pozwalała ona zawijać do portów krajów demokracji ludowej (w praktyce – w ZSRR i NRD) oraz do portów zachodnich, ale tylko do granic Morza Bałtyckiego. Pojawiła się możliwość popłynięcia na Bornholm, a także do zachodnioniemieckiej Kilonii. Tyle tylko że urzędnik w socjalistycznej Polsce mógł tej pieczątki nie przybić i podać argument „nie, bo nie", tak samo, jak bywało z paszportami. Po 1989 r. możliwości znów były większe. Zaprzeczam jednak plotkom, że opłynąłem cały świat.

Archiwum rodzinne

Najdalej na północ dopłynąłem na Szetlandy, najdalej na południe – do Casablanki. Najdalej na zachód – do Irlandii i na Karaiby, a najdalej na wschód – do ziemi tureckiej i izraelskiej. Basen Morza Śródziemnego opłynąłem wzdłuż i wszerz. To wspaniałe morze dla każdego miłośnika żeglarstwa. Tam można się włóczyć latami i wciąż odkrywać nowe miejsca.

Współpracował Pan przy filmie dokumentalnym o Tonym Haliku. Czy z nim także Pan pływał?

Kiedy przeniosłem się z Krakowa do Warszawy, zapisałem się do warszawskiego Yacht Klubu. Tam poznałem Tony'ego Halika. Kiedy znany polski konstruktor Henryk Jaszczewski stworzył pierwsze rysunki łodzi MAK-707, obaj z Halikiem postanowiliśmy – na podstawie tych rysunków – zbudować sobie łodzie. Wspieraliśmy się, wymienialiśmy informacjami, gdzie i co można zdobyć (w czasach socjalizmu towarów się nie kupowało, a zdobywało), i tak zawiązała się serdeczna przyjaźń między naszymi małżeństwami. Całą czwórką żeglowaliśmy po Mazurach i grywaliśmy w brydża. Podczas któregoś brydżowego wieczoru – w 1983 r. – Tony nagle rzucił: „A może byśmy gdzieś dalej popłynęli?". Nie mogliśmy się zdecydować na kierunek, więc Tony wziął swój wielki atlas świata i powiedział do mojej żony: „Ja wkładam palec między strony atlasu, zamknij oczy, przewrócę stronę, a ty pokaż palcem". I tą metodą zostały wylosowane Antyle. Już po chwili zaczęła kiełkować myśl: „A dlaczego nie?".

Ambitny plan! Taka wyprawa wymaga wielu przygotowań.

Na początku chcieliśmy wyczarterować jacht pełnomorski w Polsce, ale się nie udało. Zdecydowaliśmy się popłynąć naszymi mazurskimi mieczówkami. Tak zaczęła się ta wielka, półtoraroczna wyprawa. Tony i Elżunia Dzikowska na Halikówce, a my z Bożenką – na Desperacie. Łodzie przewieźliśmy statkiem Polskich Linii Oceanicznych, które były tak miłe, że zgodziły się przewieźć nasze jachty za darmo, o ile umocujemy je na pokładzie, by nie zajmować nimi ładowni, stanowiącej przestrzeń handlową. Wylądowaliśmy w Hawanie, popłynęliśmy na Florydę, wypożyczyliśmy samochód. I tak w 1984 r., wyposażeni w paszporty i amerykańskie wizy, odbyliśmy z żoną dziewięciomiesięczną podróż po USA. Tony wrócił ze swoją łodzią na polskim statku z Hawany, ja zaś swoją sprzedałem, bo obowiązywały wtedy Reaganowskie sankcje nałożone na PRL za stan wojenny i nie funkcjonowała oficjalna żegluga handlowa między USA a Polską. Transport naszej łódki byłby przez to tak drogi, że cała ta sprawa przekroczyłaby nasze możliwości. Kiedy zaś zapłaciliśmy w Polsce cło po powrocie z USA, z pieniędzy uzyskanych za sprzedaż Desperata zostało nam... 11,5 dolara. Takie to były czasy.

Czy zdarzyła się Panu jakaś niebezpieczna przygoda?

Zarówno na morzu, jak i na jeziorach może być groźnie. Przeżyłem na Mazurach cztery białe szkwały, które są o tyle niebezpieczne, że nawet gdy wiemy, jak się zabezpieczyć, nigdy nie mamy pewności, że zdążymy to zrobić. Bałem się też podczas sztormu między Hawaną a Key West, ale nasza mazurska łódka zachowywała się jak mewa – po prostu unosiła się na fali, co jest możliwe dzięki konstrukcji łodzi mieczówki. Oboje z żoną świetnie pływamy, od dziecka potrafi pływać także nasza córka, więc zawsze bałem się bardziej o rzeczy i dokumenty w łódce niż o nas samych. Przygody, w której czułbym, że zagrożone jest moje życie, nigdy nie miałem.

Każdy, kto ma samochód lub interesuje się lotnictwem, wie, jak bardzo skomputeryzowane są dzisiejsze auta i samoloty. A jak jest z żeglarstwem? Czy dzisiejsze jachty też są naszpikowane elektroniką?

Są, ale elektronika pełni w nich inną rolę, mniejszą niż w autach i samolotach. Autopilot sam prowadzi samolot, a system ILS pozwala dolecieć do lotniska, pilot musi tylko przyziemić. A czy jacht sam dopłynie do portu? Nie ma mowy, choćby był nie wiem jak oprzyrządowany. Łódź wciąż znajduje się między dwoma żywiołami – wodą i powietrzem. To, jak woda oddziałuje na kadłub, a powietrze na żagle, to dwa odrębne zagadnienia, które trzeba połączyć, by pływać. Można ustawić samoster, który będzie pilnował żagli i steru, ale wymaga to nieustannej kontroli człowieka. Wiele jachtów, których załogi zbyt zaufały samosterom, źle skończyło. Bardzo pomocny jest za to GPS, który dziś jest ogólnodostępnym sprzętem, a jeszcze niedawno był czymś, o czym my, żeglarze, dowiadywaliśmy się od kolegów z Marynarki Wojennej. Nigdy nie wolno zapominać, że łódź znajduje się na wodzie, która jest dla elektroniki żywiołem nieprzyjaznym. Dlatego każdy żeglarz, nawet na pełnej elektronicznego osprzętu łodzi, musi umieć żeglować także bez komputera.

Śledzi Pan w sportowych telewizjach regaty? Jest Pan kibicem?

Oczywiście. Zawsze z emocjami oglądam poczynania naszych wybitnych żeglarzy, jak choćby członka mojego Yacht Klubu Mateusza Kusznierewicza czy Romka Paszkego. Zwłaszcza że z wieloma naszymi sportowcami jestem zaprzyjaźniony. Z zainteresowaniem oglądam zmagania żeglarskie o Puchar Ameryki. Zachwycają mnie „hydroskrzydła" stosowane w najnowocześniejszych konstrukcjach, na których łódź niemal leci nad wodą. Sam nigdy nie miałem ciągot sportowych, ale nie przeszkadza mi to w kibicowaniu tym, którzy traktują żeglarstwo jako sport. Mnie pociąga sama żeglarska włóczęga.

Żeglarstwo uchodzi za drogą pasję...

Łódź nie jest tania, ale też nikt nie zaczyna przygody z żeglarstwem od posiadania własnego jachtu. Cała idea jachtklubów polega przecież na tym, że są łódki klubowe. Powstają ponadto tzw. maszoperie: zbiera się kilku żeglarzy, których – każdego z osobna – nie stać na łódź, ale wspólnie mogą ją sobie zorganizować. Używaną łódkę można kupić w cenie używanego samochodu średniej klasy. Nie są to więc olbrzymie pieniądze dla prawdziwego hobbysty, pasjonata. Kolejna możliwość to wyczarterowanie jachtu dla całej rodziny, czego średnia cena wynosi ok. 200 zł za dobę. Dwutygodniowy rejs wyczarterowanym jachtem to kwota 2800 zł, co nie odbiega od ceny przeciętnego zagranicznego urlopu, na przykład w bardzo obecnie popularnej Bułgarii. A na jachcie ma się przecież, poza przyjemnością z pływania, także mieszkanie i kuchnię. Bycie właścicielem łodzi oczywiście wymaga już większego nakładu finansowego.

Co doradziłby Pan mieszkańcowi Warszawy, który nagle, tak jak Pan kiedyś, poczuje w sobie żeglarską pasję? Jak rozpocząć przygodę z żeglowaniem?

Na początek radzę usiąść przed komputerem i sprawdzić w Internecie ofertę kursów żeglarskich. Wyszukiwarka pokaże mnóstwo propozycji. Trzeba wybrać jedną z nich, umówić się i zacząć się szkolić. Albo pojechać nad Zalew Zegrzyński, na przykład do Nieporętu, wejść do siedziby jednego z klubów żeglarskich i powiedzieć, że chce się zostać żeglarzem. Zapewniam, że każdy po takim wyznaniu doczeka się odpowiedniego pokierowania. Zalew Zegrzyński to znakomity, bardzo ciekawy żeglarsko akwen. Można wpływać kilkanaście kilometrów w głąb Bugu, gdzie jest przepięknie, albo w głąb Narwi i popłynąć do samego Pułtuska czy jeszcze dalej, na Mazury. Proszę mi wierzyć, że droga do żeglarskiej przygody nie jest ani tak kosztowna, ani tak wyboista, jak mogłoby się wydawać.

REKLAMA

ANTYKWARIAT KWADRYGA

ANTYKWARIAT KWADRYGA KUPI KSIĄŻKI,
STARE POCZTÓWKI, FOTOGRAFIE, MAPY I GRAFIKI.

DOJEŻDŻAMY DO KLIENTÓW NA TERENIE CAŁEJ POLSKI.
WYCENIAMY KSIĄŻKI. PŁACIMY GOTÓWKĄ. TEL. 22 622 11 54

SZCZEGÓLNIE INTERESUJĄ NAS:
książki przedwojenne • naukowa literatura humanistyczna (filozofia, historia, sztuka, prawo)
pierwsze wydania poezji • wydania emigracyjne • oprawy artystyczne • autografy.

Zapraszamy do kontaktu. Antykwariat Kwadryga • ul. Wilcza 29A lok. 25 • Warszawa • tel. 22 622 11 54

Teatr Wielki Opera Narodowa zaprasza na spektakl *Dama Kameliowa* – balet Johna Neumeiera w trzech aktach z prologiem według powieści Aleksandra Dumasa syna. Wystąpią: Polski Balet Narodowy oraz Orkiestra Teatru Wielkiego Opery Narodowej. **Premiera 20 kwietnia** o godz. 19, spektakle także 21 kwietnia o godz. 19 i 22 kwietnia o godz. 18.

W Teatrze Wielkim Operze Narodowej odbędzie się koncert *Gustaw Holoubek in memoriam*, poświęcony jednej z najwybitniejszych postaci kultury współczesnej. Będzie to wieczór wypełniony ulubioną muzyką Gustawa Holoubka, który umiłował sobie muzyczny barok, a nade wszystko twórczość J.S. Bacha. Koncert odbędzie się **22 kwietnia** o godz. 20 w Salach Redutowych Teatru Wielkiego Opery Narodowej.

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich zaprasza na spacery pt. *W sukience i w mundurze*. Uczestnicy będą mogli spojrzeć na powstanie w getcie warszawskim oczyma kobiet, które na równi z mężczyznami walczyły o życie i godność. Przyjrzą się przedwojennemu życiu żydowskich dziewcząt urodzonych ok. 1920 r. i dorastających już w niepodległej Polsce – zdobywaniu przez nie wykształcenia, aktywności w organizacjach młodzieżowych i politycznemu dojrzewaniu. Opowieść o powstaniu w getcie rozpocznie się na wystawie stałej muzeum POLIN i będzie kontynuowana w przestrzeni miejskiej. Spacery odbędą się **21 i 22 kwietnia w godz. 14.30-17**.

Na deskach Teatru Powszechnego – *Zwierzęta* Przemysława Pilarskiego w reżyserii Alicji Borkowskiej. Spektakl jest pierwszą częścią teatralnej trylogii Strefy WolnoSłowej *Zwierzęta-ludzie-bogowie*. Premiera – 14 kwietnia o godz. 19.30 na Małej Scenie Teatru Powszechnego.

Komeda

21 kwietnia rozpocznie się 10. edycja Festiwalu Muzyki Filmowej Krzysztofa Komedy. To miejsce konfrontacji twórczości „Chopina polskiego jazzu" i „ikony muzycznej", okazja spotkań polskich i europejskich artystów, twórców – z różnych dyscyplin – których inspirował Komeda. Atrakcjami festiwalu są koncerty i premiery z udziałem polskich i europejskich gwiazd jazzu, wystawy i pokazy filmów z muzyką Komedy.

W poprzednich edycjach imprezy wystąpili m.in.: Tomasz Stańko, Michał Urbaniak, Leszek Możdżer czy Urszula Dudziak. W ramach tegorocznej edycji zaplanowano koncert Piotra Orzechowskiego i Marcina Maseckiego *Komeda Rewrite*, koncert EABS – Electro-Acoustic Beats Session Repetitions (gość specjalny: Michał Urbaniak), wystawę *Polski plakat jazzowy 1956--2016*, koncert Enrico Pieranunzi Trio oraz pokaz filmu *Niewinni czarodzieje* Andrzeja Wajdy.

Koncerty odbędą się w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. W. Lutosławskiego oraz w Sali Kameralnej Filharmonii Narodowej **21-23 kwietnia**.

Tanecznym krokiem

24 kwietnia w Warszawie rozpocznie się Festiwal Wszystkie Mazurki Świata. Wśród stałych punktów festiwalowego programu znajdują się: warsztaty muzyczne i taneczne, koncerty, *Stara tradycja* – konkurs dla młodych wykonawców, *Targowisko instrumentów*, *Małe mazurki* – warsztaty, spektakle i inne atrakcje dla najmłodszych, kluby festiwalowe oraz *Noc tańca*. Tak skonstruowany program uzupełniają: konferencje, wystawy, spotkania z gośćmi z zagranicy, koncerty łączące muzykę tradycyjną z innymi gatunkami muzycznymi, pokazy filmów.

Festiwal powstał w 2010 r. z inicjatywy Janusza Prusinowskiego oraz osób ze środowiska skupionego wokół Domu Tańca. Celem festiwalu jest promocja polskiej tradycyjnej muzyki oraz tańca w formach niestylizowanych, czyli zaczerpniętych bezpośrednio od wiejskich muzykantów i tancerzy. Każda edycja festiwalu ma swoje hasło (w tym roku: *Polska tańcząca*), realizowane poprzez szereg działań, w które angażują się wiejscy wykonawcy starszego pokolenia oraz profesjonalni muzycy i młode pokolenia entuzjastów muzyki tradycyjnej. To właśnie udział wszystkich tych grup oraz niezwykła atmosfera spotkania powoduje, że festiwal przyciąga coraz szerszą polską i zagraniczną publiczność. Program na festivalmazurki.pl. **24-28 kwietnia**.

Spotkania na Pradze

POSUL – Praski Otwarty Samozwańczy Uniwersytet Latający, który działa bez żadnych dotacji – zaprasza na społeczne, bezpłatne wykłady varsavianistyczne: w poniedziałki o godz. 19 z hakiem, w filmowej kawiarni To Się Wytnie, ul. Stalowa 46:
16 kwietnia – Elżbieta Laszczka, *Wody podziemne Warszawy*
23 kwietnia – Andrzej Buczyński, *Działalność Rosyjskiego Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie (od drugiej poł. XIX w. do pocz. XX w.)*
7 maja – Bartosz Barański, *Komponowanie miasta. Przestrzenne wyobrażenia o Pałacu Kultury i Nauki na tle analogii muzycznych.*
Więcej informacji: **posul.waw.pl.**

Zaczęło się od spotkania

W Miejscu Projektów Zachęty można oglądać wystawę Anny Panek i Won Seoung Won, *Niespodziewane spotkanie*. Praca nad wystawą rozpoczęła się od... spotkania. Kko-Kka Lee, kuratorka z Seulu, przebywająca w Warszawie na pobycie studyjnym, przedstawiła swoich ulubionych artystów z Korei kuratorce Miejsca Projektów Zachęty, Magdzie Kardasz. Ta z kolei zaprezentowała ich Annie Panek – artystce z Warszawy, z którą od jakiegoś czasu planowała wystawę. Artystce spodobał się pomysł nawiązania dialogu z innym twórcą, a jej wybór padł na Won Seoung Won, która zgodziła się podjąć wyzwanie. Artystki zdecydowały, że każda z nich pokaże jedną ze swoich najnowszych prac, a w części centralnej galerii stworzą wspólną kompozycję. Składają się na nią obrazy przygotowane przez obie twórczynie. W wypadku Won Seoung Won są to rysunki kredką o surrealizującym klimacie, w których autorka zestawia fragmenty postaci ludzkich, przedmiotów i elementy natury. Można je odczytywać jako wyobrażenia odbitych w podświadomości zdarzeń i przeżyć. Z kolei jednobarwne formy o geometryczno-organicznych kształtach, zaproponowane przez Annę Panek, wydają się wyabstrahowanym odbiciem form naturalnych. Niektóre z nich wychodzą w trzeci wymiar i można ich dotknąć. **Do 20 maja.**

Allen

Teatr 6. piętro sięgnął po *Miłość w Saybrook* na podstawie tekstów Woody'ego Allena. Opowiadając o miłosnych problemach trzech małżeńskich par, Woody Allen z właściwą sobie błyskotliwością miesza różne konwencje, włączając komedię, absurdalną groteskę, musical oraz kryminał, a robi to, żeby z teatralnej fikcji wydobyć trochę prawdy o naszych tęsknotach i niespełnieniach. *Miłość w Saybrook* w reżyserii Eugeniusza Korina dopełnia tryptyk *Miłość, zdrada i przebaczenie według Woody Allena* w Teatrze 6. piętro. Wraz z poprzednimi częściami (*Zagraj to jeszcze raz, Sam* oraz *Central Park West*) tworzy prześmiewczą, ale niepozbawioną ciepła opowieść o naszym zagubieniu we współczesnym świecie i niezmiennej potrzebie bliskości drugiego człowieka. W spektaklu wezmą udział: Sonia Bohosiewicz, Joanna Liszowska, Barbara Kurdej-Szatan, Anna Cieślak, Szymon Bobrowski, Marcin Perchuć, Andrzej Poniedzielski oraz Wiktor Zborowski. **24 i 25 kwietnia o godz. 19.30**, a także **22 i 23 maja o godz. 19.30.**

REKLAMA

Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie zaprasza na warsztaty *Jak czytać dawne przepisy kulinarne*. Uczestnicy zajęć poznają dawne smaki i tradycje, pod okiem profesjonalnych kucharzy przygotują dania według przepisów z pierwszych polskich książek kucharskich. Zajęcia odbywają się w wilanowskiej kuchni Villa Intrata (ul. Stanisława Kostki Potockiego 23). Prowadzą je Maciej Nowicki i Norbert Sokołowski. Najbliższe warsztaty: **22 kwietnia**, kolejne: **27 maja** i **3 czerwca**.

W Pałacu pod Blachą wystawa czasowa *Nie tylko Orient. Nabytki Fundacji Teresy Sahakian 2007--2017*. Ekspozycja prezentuje cenne dzieła sztuki pozyskane przez fundację w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Są to przede wszystkim kobierce i tkaniny ze Wschodu, a także sztuka europejska, m.in. malarstwo i rzeźba, w tym wysokiej klasy polichromowana rzeźba drewniana z początku XVI w. Wystawa jest wyrazem podziękowania oraz hołdem złożonym donatorce. **Do 30 listopada**.

W kwietniu w warszawskim klubie Stodoła wystąpi Perfect. Jeden z najpopularniejszych i najbardziej zasłużonych polskich zespołów rockowych zaprezentuje fanom akustyczne wersje swoich największych przebojów. A wszystko to w klubowej atmosferze, z wykorzystaniem niecodziennej scenografii. **27 kwietnia o godz. 19**.

Kino Praha zaprasza w kwietniu na Warszawski Festiwal Wiosna Filmów 2018. To doskonała okazja, żeby zobaczyć wybrane najlepsze filmy nagrodzone na międzynarodowych festiwalach. Część z nich można obejrzeć przedpremierowo. W trakcie festiwalu przewidziano spotkania autorskie z gwiazdami polskiego kina, wykłady i seminaria w ramach programu edukacyjnego *Strefa scenarzysty*. **15-22 kwietnia**.

Karnet teatralny

Przede wszystkim trwać

Tomasz Miłkowski

WFDiF

– Gdzie my nie gramy? – pytała retorycznie Gołda Tencer, dyrektorka Teatru Żydowskiego i szefowa fundacji Shalom po premierze komedii muzycznej *Chumesz lider* Icyka Mangera w synagodze Nożyków. Reżyserował rumuński artysta Andrei Munteanu, grano w języku jidysz, z polskimi napisami.

Pytanie było całkiem na miejscu. Przede wszystkim dlatego, że po raz pierwszy w dziejach zdarzyło się, że w synagodze zagrano sztukę, w dodatku – komedię, mocno okraszoną muzyką. Owszem, u Nożyków dawano co roku koncerty kantorów z okazji festiwalu Warszawa Singera, ale nigdy komedii. Gmina uczyniła ten gest, aby wesprzeć bezdomny Teatr Żydowski. Przecież ledwie sto metrów od synagogi stał jeszcze niedawno gmach tego teatru, w którego akcie erekcyjnym napisano, że po wsze czasy ma służyć żydowskiej scenie. Tymczasem dzisiaj na jego miejscu hula wiatr i rozciąga się szyderczo parking. – To boli – powtarza od miesięcy Gołda Tencer, rozżalona, że do rugów teatru walnie przyłożyło rękę Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce. Jakieś dziwne rachuby sprawiły, że z dnia na dzień teatr został pozbawiony siedziby, wygnany z miejsca, gdzie już zdążył się zakorzenić.

Ale Żydowski się nie poddał, zaraz po wypędzeniu grał spektakle na placu Grzybowskim, pod gołym niebem, a potem Gołda znalazła tymczasową siedzibę przy ulicy Senatorskiej, gdzie udało się urządzić malutką scenę kameralną. Od wojska uzyskała możliwość grania w Klubie Garnizonowym, z pomocą pospieszyły inne teatry. Teraz grają m.in. w warszawskim Teatrze Polskim, grywają także w hali ATM, zarządzanej przez TR Warszawa. Właśnie zawarli umowę z Teatrem Nowym w Łodzi i tam również będą występować.

Przede wszystkim przetrwać i dawać świadectwo – to podstawowe zobowiązanie, któremu Gołda Tencer i jej aktorzy pozostają wierni. I to przetrwać w nie byle jakiej kondycji. W ostatnich latach Żydowski dawał świadectwa swego artystycznego odrodzenia. Do grona reżyserów dołączyli czołowi artyści młodszego i średniego pokolenia, wśród nich: Maja Kleczewska, Agata Duda-Gracz, Anna Smolar, których spektakle i instalacje spotkały się z dużym echem. Dość wspomnieć takie przedstawienia, jak *Malowany ptak* (koprodukcja z poznańskim Teatrem Polskim), *Aktorzy żydowscy*, *Sanatorium pod klepsydrą* czy *Golem*. Wygląda to na potwierdzenie znanego porzekadła: co nas nie zabije, to nas wzmocni. Z wielkiego nieszczęścia Teatr Żydowski wychodzi silniejszy.

W tym ważnym momencie, kiedy 50. rocznica wydarzeń marcowych domaga się poważnej refleksji, Żydowski przygotował imponujący program zdarzeń na-

wiązujących do Marca '68. Jednym z nich był zwrot do patronki teatru. Gołda Tencer sama przygotowała scenariusz, oparty na monodramie Henryka Grynberga *Mój teatr*. Do projektu zdołała pozyskać Joannę Szczepkowską, wspaniałą aktorkę bez własnego domu teatralnego w Warszawie – od kiedy wyszła z zespołu Teatru Dramatycznego nie było dla niej stałego miejsca w stolicy. Ostatnio sama rozpoczęła systematyczne pokazy swoich monodramów i kameralnych spektakli w Teatrze na Dole (bo w piwnicy) czy w Clubie Boho przy Żurawiej. Propozycję Gołdy Tencer przyjęła natychmiast i dzięki temu powstał ten ważny spektakl.

Na malutkiej scence kameralnej Teatru Żydowskiego Joanna Szczepkowska wciela się w postać legendy polskiego i żydowskiego teatru. Ubrana w czarną sukienkę z białymi koronkowymi makietami i kołnierzykiem, niemal bez makijażu, jakby „cywilnie", ale chyba w garderobie – bo wokół niej kilka kostiumów, jakieś afisze, rekwizyty. Po prostu oddycha się tu teatrem, z boku grupa muzyków, którzy na flecie i skrzypcach przywołują czas obecny tylko we wspomnieniach. Państwowy Teatr Żydowski pod rządami Idy Kamińskiej (wtedy imienia jej matki, a dzisiaj także jej imienia) dbał o warsztat swoich aktorów, kształcił nowe kadry, kultywował jidysz, dawał wielkie przedstawienia, inscenizacje klasyki żydowskiej, a także dzieł Brechta, m.in. *Matki Courage* z podziwianą rolą tytułową artystki. Z powodzeniem występowała też w dramacie *Drzewa umierają, stojąc*. Kamińska pracowała niezmordowanie: tłumaczyła sztuki, reżyserowała, grała, uczyła młodzież, prowadziła teatr, który wędrował po krajach Europy i Ameryki, rozsławiając imię Idy Kamińskiej i Polski.

Swój wielki talent, hipnotyczne wręcz działanie na widzów potwierdziła także w kreacjach poza sceną Teatru Żydowskiego. W Dramatycznym zagrała we *Franku V*, a publiczności światowej dała się poznać jako główna bohaterka czeskiego filmu *Sklep przy głównej ulicy* Jána Kadára i Elmara Klosa. Film został uznany za objawienie, otrzymał Oscara za najlepszy obraz obcojęzyczny roku, również Ida Kamińska była nominowana do Oscara (jak powiada Szczepkowska podczas spektaklu z filuternym uśmiechem: „Przegrałam z Elisabeth Taylor").

Po wielkich sukcesach nastąpił dramat – w 1968 r. pod naporem antysemickiej nagonki Kamińska opuściła Polskę. Zaczęło się od zaskakującej decyzji władz – natychmiastowego powrotu teatru z zapoczątkowanego dopiero tournée po Stanach Zjednoczonych. Z tournée nie powrócił aktor Kamińskiej, Henryk Grynberg, późniejszy autor monodramu. Wyjechała z Polski razem z tysiącami widzów jej teatru – wydawało się, że Żydowski będzie musiał zakończyć działalność. Wprawdzie przyjechała później z wizytą (w 1975), ale już nigdy do swojego teatru nie wróciła. Wraz z jej wyjazdem skończyła się pewna epoka. Grupa artystów, która pozostała, nie pozwoliła Żydowskiemu pójść w rozsypkę. Kamińska cieszyła się, że teatr pozostał.

M. Hueckel

Joanna Szczepkowska jako Ida Kamińska

Po śmierci Idy Kamińskiej (1980) piękny esej, *Teatr zawsze grany*, poświęcił jej Adolf Rudnicki. W nostalgicznym, pełnym smutku tekście pytał z rezygnacją: „Wspomni kto kiedykolwiek Idę Kamińską? Komu potrzebna będzie pamięć o aktorce Idzie Kamińskiej?". Był przekonany, że pamięć o niej zaginie. Ale mylił się – premiera w Teatrze Żydowskim świadczy, że jej dzieło nadal wydaje owoce, że duch Kamińskiej wciąż sprawuje opiekę nad tym teatrem.

Jest coś dojmująco smutnego w tym, że Ida Kamińska, która dosłownie wychodziła w Warszawie teatr żydowski, nie doczekała się otwarcia nowej sceny przy placu Grzybowskim (wcześniej teatr działał w „kiszce" przy ulicy Królewskiej, którą również zdobyła Kamińska). Jedna z ostatnich scen filmu *Jej teatr* (1967, realizacja Władysław Forbert), wyświetlanego przed monodramem Joanny Szczepkowskiej, ukazuje Kamińską we wnętrzu budowanego Teatru Żydowskiego. Pełna nadziei, czeka na wielkie otwarcie.

Joanna Szczepkowska portretuje artystkę powściągliwie, unika nadmiernej ekspresji, zachowuje umiar i wewnętrzne poczucie zdobytego doświadczenia. Opowiada o niełatwym życiu od dzieciństwa związanym z teatrem – gdzie tylko rodzice się znaleźli, przed wojną i po pierwszej wojnie, pojawiał się teatr. A wraz z nim zadania dla Idy; najpierw pomocnicze, potem coraz poważniejsze. Po śmierci matki sama stanęła na czele zespołu i przejęła jej role. Bo też i zawsze teatr był jej domem, jej światem. – Teatr to jest prawdziwe życie – przekonuje Szczepkowska. I trudno jej nie wierzyć.

To przekonanie dzieli Gołda Tencer i jej aktorzy. Oddają teatrowi wszystko w poczuciu, że tak trzeba.

Ida Kamińska, scenariusz i reżyseria Gołda Tencer, autor sztuki *Mój teatr* – Henryk Grynberg, muzyka Paweł Szamburski, scenografia Izabela Chełkowska, Teatr Żydowski im. Estery Rachel i Idy Kamińskich, premiera 15 marca 2018 r.

Trzy razy chaos

Paweł Dunin-Wąsowicz

„Nawet jeśli wsadzimy wszystkich oszustów do więzienia, to niestety rynek reprywatyzacyjny nie ureguluje się sam. Z drugiej strony nie da się wytłumaczyć przestępstw jedynie wolą realizowania neoliberalnej wizji politycznej" – uważa Beata Siemieniako, prawniczka działająca w ruchu lokatorskim, która podsumowała swoją wiedzę i wyrobione na jej podstawie poglądy w książce *Reprywatyzując Polskę*. Jej podtytuł – *Historia wielkiego przekrętu* – nie pozostawia wątpliwości, że autorka jest przeciwniczką całego procesu – w finalnej części dzieła sugeruje jako bardziej sprawiedliwe wyjście wypłatę rekompensat w ułamkowej wartości znacjonalizowanych czy też skomunalizowanych nieruchomości (jak w przypadku mienia zabużańskiego), a nie zwrotu w naturze lub pełnych odszkodowań według dzisiejszych szacunków.

Zanim czytelnik do tego dojdzie, ma do czynienia z morzem koszmarów, za które odpowiedzialność – według Siemieniako – ponoszą głównie handlarze roszczeń i deweloperzy. Większość przykładów dotyczy Warszawy, znajdującej się w specyficznej sytuacji prawnej ze względu na tzw. dekret Bieruta. Opisane zostają m.in. przykłady ustanawiania kuratorów zarządzających nieruchomościami w imieniu domniemanie żyjących właścicieli – nawet 140-letnich (dotyczy to głównie Żydów) – czy też reprywatyzacje majątku spółek przywracanych do życia na podstawie pojedynczych akcji skupowanych na antykwarycznych aukcjach lub wykradanych z państwowych instytucji, gdzie przechowywane były w składziku na mopy i szczotki. Wszystko w zasadzie w zgodzie z porządkiem prawnym, który – miejscami sprzeczny wewnętrznie – taki chaos dopuszcza. Autorka szczególnie pochyla się nad krzywdą lokatorów reprywatyzowanych domów komunalnych, dowodząc, że dzisiejsze przepisy chronią ich w mniejszym stopniu niż moratorium czynszowe ustanowione w Warszawie w czasach II Rzeczypospolitej. Tak zwana wkładka mięsna zmuszana jest do wyprowadzki, zastraszana, nawet niekoniecznie w celu uzyskania wyższego czynszu przez właściciela, tylko umożliwienia rozbiórki domu na rzecz budowy czegoś większego i bardziej dochodowego (skądinąd katastrofy budowlane i wynikające z nich rozbiórki bywały dobrodziejstwem dla kamieniczników i przed wojną, o czym można sobie przypomnieć, czytając historię Kwiryny z *Rajskiej jabłoni* Poli Gojawiczyńskiej). Siemieniako wspomina przypadek z Grochowa, kiedy usunięty lokator został pozbawiony możliwości odzyskania praw do zajmowanego mieszkania, ponieważ w budynku wzniesionym w miejscu kamienicy, w której mieszkał, świadomie pominięto w numeracji cyfrę oznaczającą jego mieszkanie.

W narracji, w której autorka przytacza przykłady najcięższego kalibru – w tym przecież i przemocy, i pozbawienia życia (patronką ruchu lokatorskiego stała się Jolanta Brzeska, spalona przez nieustalonego sprawcę) – razić mogą jednak fragmenty w rodzaju „Jeśli w tym się zgubiliście, nieważne, chodzi po prostu o to, że układziki [...] najprawdopodobniej w Ratuszu istniały". Przy całej systemowej oskarżycielskiej wymowie książki wobec reprywatyzacji jako takiej Siemieniako zadbała jednak o dotrzymanie wierności zasadzie *audiatur et altera pars* – jako apendyksy włączone zostały rozmowy z członkami rodzin spadkobierców nieruchomości, deklarującymi chęć odpowiedzialnego postępowania wobec obiektów, z którymi łączą ich więzy osobiste. Z jednej strony autorka wiąże nadzieje z działaniami komisji weryfikacyjnej Patryka Jakiego, z drugiej zaś zauważa, że nowe zasady zawierania umów najmu w lokalach komunalnych pozbawiają systemowo lokatorów podstawowego prawa do ochrony przed eksmisją.

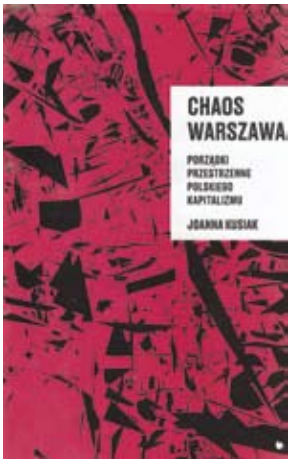

Chaos prawny związany z innym aspektem – odrolnienia nieruchomości i braku planu miejscowego – stał się tematem pracy doktorskiej Joanny Kusiak obronionej na... politechnice w Darmstadt, a wydanej obecnie w polskiej wersji jako książka pt. *Chaos Warszawa*. Autorka skoncentrowała się na przykładzie Białołęki, której rdzenni mieszkańcy przed 1989 r. żyli z upraw zakontraktowanych przez Hortex pomidorów. Transformacja ekonomiczna odcięła ich od możliwości kontynuowania tej działalności i stała się przyczyną pozbywania się ojcowizny – pod intensywną zabudowę deweloperską. Brak regulacji planistycznych zaowocował zjawiskiem zabudowy łanowej. Działki o wydłużonym kształcie dostosowanym do upraw sprzedawane były pojedynczo, co skutkowało patologią urbanistyczną – brakiem siatki ulic odpowiadającej wielkomiejskim potrzebom, niefunkcjonalną zabudową i bezrefleksyjnym podejściem do infrastruktury, przede wszystkim brakiem przestrzeni publicznej, choćby pod budowę szkół. Szybki pieniądz pozyskany w ten sposób przez badylarzy w przypadku Białołęki ma zatem swój rewers w postaci niedogodności odczuwanych przez osoby

zamieszkujące tamtejsze nowe osiedla, jak przykładowe Derby. Chaos, który umożliwił odrolnienie bez komasacji gruntów, to dziś marna komunikacja i utrudniony dostęp do placówek oświatowych. Dobrodziejstwo samorządności wczesnych lat III RP przerodziło się tu wyłącznie w realizację partykularnych interesów białołęckich gospodarzy, lobbujących zresztą od początku, by w ich osadzie nie powstał ośrodek Monaru, bo sąsiedztwo narkomanów obniżałoby prestiż i wartość ich ziemi. Ilustracje ukazują kuriozalne formy wielopiętrowej architektury powstającej na wąziutkich działkach – dodajmy, że z zabudową łanową spotkać się można także na pograniczu Mokotowa i Wilanowa (na przykład ulica Potoki), Młocinach, a nawet incydentalnie na granicy ścisłego Żoliborza (ulica Włościańska przy trasie Armii Krajowej – grunty dawnej osady Buraków).

Niejakim uzupełnieniem dwu powyżej omówionych książek są *Dwa tysiące* Łukasza Drozdy – swoisty leksykon nazywany przez autora instrukcją obsługi polskiej urbanizacji, a będący czymś więcej, bo właściwie przewodnikiem po pojęciach związanych ze współczesnym wielkomiejskim życiem, głównie w stolicy. Obok haseł w rodzaju „planu miejscowego" czy właśnie „urbanistyki łanowej", autor mnóstwo uwagi poświęca mikrosocjologii – żartobliwie, acz nierzadko z sarkazmem, definiuje zatem „bazar", „kebab", „słoiki", „Ukrainkę" czy „biedapieszych". Drozda pozwala czytelnikowi zbudować ze słów klocków wirtualną makietę miasta jako żywego organizmu, gdzie wartość dodana w postaci prestiżu stanowi nieraz zasłonę dymną ukrywającą materialne niedostatki. Tak jest choćby w przypadku „grodzonych osiedli", gdzie autor *Dwu tysięcy* zauważa, że rzekome poczucie bezpieczeństwa, które mają wywoływać wyłożone marmurem recepcje z ochroniarzami, ma odwrócić uwagę nabywców od niższej jakości materiałów budowlanych, co odbija się z czasem na przykład na kosztach ogrzewania.

Choć Beata Siemieniako zwraca uwagę, że w czasach Gierka budowano dwa razy więcej mieszkań niż obecnie, krytycy obecnego ładu nie są bynajmniej pogrążonymi w sentymentach weteranami PRL. Ba, dwoje z autorów omawianych tu książek urodziło się już w latach 90. XX w. – wystawiają rachunek pokoleniom rodziców i dziadków. I wobec zarejestrowanego niniejszym wysypu ich publikacji nie można przejść obojętnie, nawet jeśli nie podziela się ich jednoznacznie oskarżycielskich osądów.

Beata Siemieniako, *Reprywatyzując Polskę. Historia wielkiego przekrętu*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2017; Joanna Kusiak, *Chaos Warszawa. Porządki przestrzenne polskiego kapitalizmu*, Bęc Zmiana, Warszawa 2017; Łukasz Drozda, *Dwa tysiące. Instrukcja obsługi polskiej urbanizacji w XXI wieku*, Bęc Zmiana, Warszawa 2018

Powrót w chmury

Po błyskotliwym debiucie, jakim była 13 lat temu jej powieść *Małż*, Martę Dzido kojarzono raczej w kontekście twórczości reporterskiej – ostatnio jako reżyserkę filmu dokumentalnego *Solidarność wobec kobiet* i autorkę książki *Kobiety Solidarności*. Proza *Frajda* to jej powrót do beletrystyki, choć bliżej jej raczej do liryki niż epiki z wyrazistą fabułą. Ta ledwie 140-stronicowa książka to dwugłos miłosny Jej i Jego, a zarazem powrót do czasów przedmaturalnych i przywołanych na stronie 42 tytułem z Hłaski pierwszych kroków w chmurach.

Obie narracje rozpamiętują wzajemne zauroczenie i ową frajdę w scenerii Warszawy końca lat 90. Są tu więc echa klubowych koncertów zespołów, na które wówczas w umiarkowanie alternatywnych środowiskach wypadało chodzić (po cytatach rozpoznaje się Pidżamę Porno i Świetliki), ale przede wszystkim błąkanie się po mieście, w którym tak trudno – jak u Hłaski – o miejsce dla młodych kochanków. Ich miłość spełnia się zresztą całkiem blisko chmur: na dachach i opuszczonych strychach, ale także na cmentarzach – i Powązkowskim, i tym przy Żwirki i Wigury, gdzie ptaszyska wydają się być duchami poległych: „Rano lecą na wysypisko śmieci, na żer. Wracają tuż przed zmrokiem. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy radzieckich uwięzionych pod postacią ptaków".

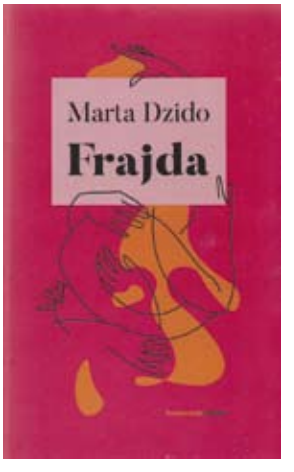

To Warszawa jeszcze nie taksówek, ale nocnych autobusów, których linie oznaczone były liczbami zaczynającymi się od szóstek. Lekkich narkotyków, kradzionego ze sklepów wina i Czarnego Romana krążącego po Chmielnej. Braku śmiałości, która pozwoliłaby na zaczepienie przemierzającego podwórko na zapleczu Nowego Światu, żyjącego jeszcze ukochanego pisarza – Konwickiego. Opłat, na które zawsze brakuje, i wyprzedawania ulubionych książek za grosze na bazarku. Ale dla narratorów *Frajdy* było to zarazem miasto o ludzkich twarzach: „W tamtym czasie mieszkania kamienic zajmowali ludzie, nie banki, a na listach lokatorów widniały nazwiska, a nie obco brzmiące, pretensjonalne nazwy firm".

Czy można po 20 latach wejść jeszcze raz do tej samej rzeki? Marta Dzido we *Frajdzie* przekonuje, że tak. [PDW]

Marta Dzido, *Frajda*, Ha!art, Kraków 2018

Stajnia Jasminum to nie zwykły pensjonat dla koni czy szkółka jeździecka. Tu o konie dba się jak o najlepszych przyjaciół

Weekend dwa kroki stąd

Wiosna, słońce, coraz dłuższe dni – przyroda budzi się do życia, a wraz z nią nasza chęć odkrywania nowych miejsc. Atrakcji nie trzeba szukać nad morzem, w górach czy na Mazurach – można je znaleźć dwa kroki od Warszawy. Slow Road Mazovia Edition to projekt, który zachęca turystów do spędzenia wolnego czasu na urokliwym i pełnym atrakcji Mazowszu. A zatem – zwolnij tempo, wyjedź z miasta i odkrywaj Mazowsze w stylu *slow*!

Ideą akcji Slow Road jest promocja podróżowania w stylu *slow* – jak najczęstszego uciekania z miasta, delektowania się regionalnymi produktami, poznawania lokalnych tradycji, relaksu z dala od wielkomiejskiego hałasu. Przedsięwzięcie łączy magiczne miejsca z najpiękniejszymi drogami w Polsce, by w efekcie stworzyć ogólnopolską mapę umożliwiającą zaplanowanie podróży w stylu *slow*.

Dwór Zaścianek to łącznik pomiędzy mazowieckim spokojem a podlaską gościnnością

Przystań na Winiarach: położona nad samą Pilicą to genialna „odpoczywalnia" dla wszystkich. Na rozległej polanie pośród drzew można poleżeć, urządzić piknik i pobiwakować

Jak wynika z danych Google Trends, idea ta zyskuje zwolenników w całej Polsce. Województwo mazowieckie znalazło się na drugim miejscu pod względem zainteresowania mieszkańców poszukiwaniem sposobów na zwolnienie szybkiego tempa życia. O coraz większej popularności koncepcji *slow life* świadczą także liczne wydarzenia oraz targi mody, kultury i kuchni. Władze Mazowsza jako pierwsze zdecydowały się na dołączenie do inicjatywy Slow Road, dostrzegając w niej potencjał dla rozwoju i promocji regionu – szczególnie miejsc oddalonych od dużych aglomeracji miejskich, nieszablonowych, w których można zwolnić i zbliżyć się do tradycji. W efekcie powstała Slow Road Mazovia Edition zawierająca bazę trzech najpiękniejszych tras Mazowsza, prowadzących do 36 najciekawszych punktów *slow*. Są wśród nich pensjonaty, gospodarstwa agroturystyczne czy restauracje, będące zbiorem gotowych inspiracji dla turystów. Zresztą – sprawdźmy sami!

Dolina Bobrów to położone w pięknej, malowniczej okolicy gospodarstwo agroturystyczne. Nikt nie wyjedzie stąd rozczarowany

Przeżyj mazowiecką przygodę!

Trasa *Mazowieckie przygody* to gotowa propozycja na weekendowy wypad. Na czytelnej mapie znajdziemy kilkanaście miejsc wartych odwiedzenia. Wyprawę warto rozpocząć w przemiłej, maleńkiej Dziupli w Truskawiu, w samym sercu Puszczy Kampinoskiej. Potem – leśny spacer, wizyta w Osadzie Młynarza i wycieczka kajakiem po rzece. Gratką dla miłośników historii i tradycji będzie z pewnością zwiedzanie Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu i Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu. Na trasie jest też klimatyczny Dworek nad Wkrą i ukryty w lesie Sowi Zakątek. Dla zgłodniałych – koniecznie wizyta w Gospodzie Pazibroda, w której można zjeść najlepsze placki ziemniaczane na całym Mazowszu! Po drodze do Pułtuska możemy też popłynąć kajakiem po Narwi i odpocząć w Siedlisku Leluja, sercu Puszczy Białej. Można też zajrzeć do Przystani na Winiarach i odwiedzić wyjątkowy młyn w Andrzejowie.

Tropem bociana na wschód

Trasa *Mazowieckie królestwo bociana* zachęca do odkrywania wschodniej części województwa. Rozpoczynamy ją od Doliny Bobrów – gospodarstwa agroturystycznego w Wólce Dłużewskiej, gdzie można odpocząć w spokojnym, kameralnym otoczeniu. Po drodze warto zajrzeć do stadniny Jasminum w Kotuniu. Miłośnicy tradycyjnej kuchni z pewnością będą zadowoleni z dań serwowanych w zatopionych wśród zieleni dworach Mościbrody i Zaścianek. Wspaniały

Pułtusk nazywany jest „Wenecją Mazowsza", tu znajduje się najdłuższy w Europie brukowany rynek, a starówka położona jest na wyspie otoczonej wodami Narwi

Od 1992 r. nieopodal serca Puszczy Kampinoskiej funkcjonuje mała Dziupla. Nazwa ta idealnie pasuje do przytulnego wnętrza, w którym serwowane są doskonałe dania

plac zabaw i rowery do wycieczek po okolicy czekają na turystów w Schedzie Podlaskiej. Miejscem wartym odwiedzenia jest też Samo Jabłko – to rodzinna firma w Klimczycach-Kolonii, która od trzech pokoleń zajmuje się uprawą sadów jabłoniowych. Po drodze mamy też Muzeum Etnograficzne w Kamieńczyku, dwór Baczki i skansen w Kuligowie, w którym można odbyć niezwykłą podróż w czasie. Na koniec – prawdziwa rybna uczta w Złotym Linie w Serocku.

W poszukiwaniu ciszy

Nie tylko wiosną i latem, ale o każdej porze roku sprawdzi się trasa *Mazowiecka cisza*. Rozpoczyna się w Pułtusku – warto zatrzymać się tu na dłużej, nie tylko po to, by zwiedzić najdłuższy w Europie rynek, ale też skosztować kurpiowskich specjałów w karczmie Wielka Lipa. Plaża, wędkowanie, pływanie po jeziorze – to atrakcje czekające na turystów w gospodarstwie agroturystycznym Żabi Raj w Trzepowie. Na trasie są też trzy muzea – Muzeum Romantyzmu w Opinogórze, Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu i Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach. Do miejsc, w których można odnaleźć ciszę i spokój, z pewnością należą – Dom pod Wierzbami w Jackowie Dolnym, Oczyszczalnia w Teresinie, Zagroda Ojrzanów czy pensjonat Chamedafne w Górach, na skraju Puszczy Kampinoskiej. Ciekawym miejscem jest też Piekarnia Hruby w Grzybowie – ekologiczne gospodarstwo, w którym powstaje pyszny chleb oraz sery według tradycyjnych receptur. Z Kampinosu warto udać się do Winnicy Wieczorków – rodzinnej firmy zrodzonej z pasji do wina – albo zajrzeć do Łucznicy, gdzie można nauczyć się lepienia garnków i wyplatania koszy.

Mapa wyjątkowych magicznych miejsc na Mazowszu na: slowroad.pl.
Więcej informacji o Mazowszu znaleźć można w aplikacji mobilnej Play Mazovia!

Wizyta w skansenie w Sierpcu to podróż do przeszłości, zaskakujące odkrycia, a przede wszystkim inspirujące spotkanie z rodzimą historią oraz obrzędowością wsi mazowieckiej

Stołeczni Społeczni

Marzanna de Latour

21 listopada ubiegłego roku w Pałacu Kultury i Nauki kilkanaście osób wzięło udział w warsztacie *Generator Pomysłów* zorganizowanym przez Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę". Uczestnicy spotkali się po to, by powiedzieć, co im się w Warszawie nie podoba, a także – jak można to zmienić. Podczas warsztatu dyskutowano m.in. o podziemnych przejściach, ściennym graffiti, lepszym dostępie do kultury, zamkniętych osiedlach, o tym, że w stolicy jest za mało żłobków i przedszkoli. Pomysłów nie brakowało, jak choćby ten o Akademii Dobrego Wychowania czy zwiększeniu liczby miejsc dla dzieci i rodziców, gdzie mamy i tatusiowie mogliby wspólnie opiekować się swoimi pociechami na dyżurach. Spotkanie prowadziły Ula Engelmayer i Zuza Sikorska-Borowska. Ja, Stołeczna Społeczna, przysłuchiwałam się rozmowie. Kim są Stołeczni Społeczni? Posłużę się kilkoma cytatami z czasu naboru do projektu w 2016 r.: „Tworzymy prestiżową Sieć Animatorów Warszawskich", „Stołeczny Społeczny to człowiek, którego znamy, szanujemy, który aktywnie działa, jest łącznikiem między lokalnymi instytucjami, mieszkańcami, organizacjami pozarządowymi i miastem stołecznym Warszawa". O pomyśle stworzenia sieci animatorów, w Centrum Komunikacji Społecznej, rozmawiałam z Aleksandrą Żórawską i Aleksandrą Dobrosielską

Najpierw była sieć animatorów, a potem pojawiła się nazwa, czy odwrotnie?
Najpierw było ogłoszenie konkursu na projekt *Warszawa lokalnie* i w ramach tego konkursu zobaczyliśmy, że potrzebna jest sieć animatorów lokalnych. Sieć, bo animatorzy w każdej dzielnicy powinni współpracować ze sobą, wymieniać się dobrymi praktykami, doświadczeniami, po prostu się wspierać. Dostaliśmy propozycje od pięciu organizacji i jednym z elementów było właśnie zorganizowanie takiej sieci – przez Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę". Kiedy sieć powstawała, pojawiła się nazwa Stołeczny Społeczny. To miał być animator, który będzie pracował z Miastem i dla miasta, ale od społecznego, oddolnego poziomu.

Kto wymyślił nazwę?
Zaproponowało ją Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę", a nam się ona bardzo spodobała, bo w pełni oddaje ideę działalności tych animatorów.

Zanim powstała nazwa, istniała już duża sieć organizacji pozarządowych zajmujących się miastem. Czy nie można było się zgłosić do którejś z nich?
Organizacje były, ale sieć animatorów dedykowanych każdej dzielnicy jest nowością. Sieć, o którą pani pyta, ma swoje ramy specjalne, a ten konkurs rządził się innymi prawami. Ta sieć rozrasta się nieformalnie, bo kontakty Stołecznych Społecznych są bardzo szerokie. Oni wywodzą się z różnych środowisk, współpracują z innymi aktywnymi osobami, animatorami i organizacjami w swoich dzielnicach, na swoich osiedlach. W ramach tego konkursu wspieramy nie tylko Stołecznych Społecznych, ale też partnerstwa lokalne. Prowadzone są działania w szkołach i bibliotekach, mieszkańcy mogą dowiedzieć się o różnych możliwościach współpracy z Miastem. To bardzo rozległy projekt, skierowany do społeczności lokalnych, obejmujący szerokie kręgi mieszkańców.

Mają Panie informacje, jak działają Stołeczni Społeczni?
Tak. Na bieżąco kontaktujemy się z koordynatorką tego projektu, dowiadujemy się, jak ta działalność przebiega, czego potrzebują Stołeczni Społeczni, w czym możemy im pomóc. To jest oddolne działanie, w którym chcemy uczestniczyć.

Martę Białek-Graczyk, prezeskę zarządu Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „ę", znam od lat. Moje ścieżki dziennikarskie i Towarzystwa „ę" czasami się krzyżowały.

Skąd pomysł na sieć?
Żeby powstało coś interesującego, musi się połączyć wiele dróg. W Towarzystwie „ę" od lat pracujemy z animatorami kultury działającymi lokalnie, z małych

Burza mózgów na spotkaniu Stołecznych Społecznych; od lewej: Urszula Engelmayer, Monika Rokicka, Jolanta Zientek-Varga, Marzanna de Latour, Kinga Dębiec-Czopowicz, Ewelina Bartosik

i dużych miejscowości. Zbudowaliśmy sieć ogólnopolską „latających animatorów kultury", która liczy prawie 80 osób i która każdego roku odwiedza ok. 300 miejsc w Polsce ze swoimi działaniami. W Warszawie prowadziliśmy program *Laboratorium pomysłów*, w ramach którego prosiliśmy początkujących animatorów o zrobienie czegoś dla miasta. Mając te doświadczenia – sieci ogólnopolskiej i warszawskich działań lokalnych – chcieliśmy podobną sieć stworzyć w Warszawie. Zbiegło się to z konkursem, który Centrum Komunikacji Społecznej ogłosiło pod hasłem *Warszawa lokalnie*. Były tam rozpisane różne pomysły, a tym, co kryło się pod hasłem *Warszawa lokalnie*, był człowiek w dzielnicy.

Zwracaliście się do znanych sobie osób, które działały stołecznie i społecznie? Ja też dostałam od was propozycję i ją przyjęłam.

Zrobiliśmy najpierw szeroką rekrutację. Szukaliśmy w różnych miejscach i na różne sposoby. Chodziliśmy na spotkania, na naszej stronie wisiało ogłoszenie, jakich osób szukamy. W otwartym naborze część osób wyłoniliśmy, ale szukaliśmy dalej, używając wszystkich możliwych metod – od poczty pantoflowej, po rozmowy z różnymi osobami, instytucjami i organizacjami. Namierzaliśmy naszym „radarem" kolejnych Stołecznych Społecznych i – tak jak Ciebie – bezpośrednio zapraszaliśmy do tej przygody.

[MdL]: Bardzo ważną dla mnie przygodą jest projekt wspierany przez m.st. Warszawa pod nazwą *Seniorze, działaj i zmieniaj swoje miasto*. Zostałam do niego zaproszona przez dwie fundacje: śródmiejski Fundusz Współpracy i wolski Jeden Muranów, którego pomysłodawcą i prezesem jest Stołeczny Społeczny, Marek Ślusarz. Przez ponad trzy miesiące, w ramach łącznie 140 godzin, 20 wolontariuszy ze Śródmieścia i Woli, w tym ja, zbierało informacje o potrzebach starszych osób. Zebraliśmy 200 ankiet, z informacjami dotarliśmy do blisko 800 osób, złożyliśmy 10 projektów przygotowanych przez seniorów do budżetu partycypacyjnego, w tym mój. Mało? Dużo? Na dobry początek wystarczy? Kropla drąży skałę. Czekamy na wyniki głosowania.

Polskie diabły w polskim Przedpieklu

Zdjęcia: P. Ciemniewski

Katarzyna Radzimirska

Zapraszamy do królestwa polskiego diabła. Nie tego złego, który dręczy i zrzuca grzeszników do piekła, tylko naszego rodzimego – ludowego, wielokrotnie opisywanego w literaturze. Jest on sprytny, rubaszny, zadziorny i... wzbudza czasami sympatię

Nie taki diabeł straszny, jak go malują – potwierdzi stare porzekadło każdy, kto choć raz przestąpi próg Przedpiekla, czyli Muzeum Prywatnego Diabła Polskiego. To niezwykłe miejsce zrodziło się z pasji kolekcjonera Wiktoryna Grąbczewskiego. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat zgromadził prawie trzy tysiące diabelskich eksponatów, które można oglądać w piwnicy i korytarzu bloku przy ul. Bukowińskiej 26 na warszawskim Mokotowie.

Diabelskie zainteresowania pana Wiktoryna nie są dziełem przypadku. – Zbieram diabły, bo jestem z Łęczycy. Nasze mamy i babcie nigdy nie straszyły nas diabłem, bo przecież nasz łęczycki Boruta był dostojną postacią, szlachcicem, który mieszkał na zamku – mówi Wiktoryn Grąbczewski. – Poza tym miałem świetną polonistkę, panią Jadwigę Grodzką, która napisała kilka książek o Łęczycy i wpoiła nam, że wszystko, co łęczyckie, musi być dobre, a więc także i diabeł.

Właściciel muzeum był w przeszłości reżyserem teatru lalek, pracował też w wojsku jako kierownik zespołu estradowego. Jeżdżąc z występami, zwiedził Polskę wzdłuż i wszerz. Podczas występów, warsztatów i innych imprez kulturalnych spotykał malarzy, rzeźbiarzy, twórców ludowych, od których pozyskiwał diabelskie eksponaty. Każdy z nich ma swoją historię. Wiele z tych opowieści i legend można znaleźć w książkach pana Wiktoryna, na przykład w *Łęczyckim bajaniu o Borucie Panie* czy publikacji *Diabeł polski w rzeźbie i legendzie*, na którą powołuje się wielu pisarzy zajmujących się demonologią polską.

Śmiało można powiedzieć, że stworzone przez pana Wiktoryna i jego żonę Zofię Przedpiekle to królestwo polskiego diabła. Najstarszy eksponat w tym muzeum to XIV-wieczna płaskorzeźba przedstawiająca diabła ze skrzydłami nietoperza. Postacią, która najczęściej pojawia się w zbiorach pana Wiktoryna, jest oczywiście łęczycki Boruta. Łatwo go rozpoznać, bo zawsze ubrany jest w kontusz, ma długie wąsy i szablę. – Jedna z legend mówi, że król Kazimierz Wielki, jadąc do zamku, utknął w swej

karecie na szerokich mokradłach. Uratował go właśnie Boruta i otrzymał w zamian we władanie łęczycki zamek oraz tytuł szlachecki – opowiada pan Wiktoryn.

Wiele rzeźb i obrazów przedstawiających Borutę stworzył Kazimierz Kowalski – prywatnie wielki przyjaciel twórców Muzeum Prywatnego Diabła Polskiego, także zafascynowany ludowym diabłem. – Na jednym z obrazów widać diabła, który topi niemieckie czołgi podczas rozgrywającej się w okolicy Łęczycy bitwy nad Bzurą – mówi pan Wiktoryn. – Według jednej z legend Boruta pomagał polskim żołnierzom bezpiecznie przechodzić przez bagna, podczas gdy wielu Niemców potopiło się na mokradłach.

Pamięci Kazimierza Kowalskiego poświęcona jest cała ekspozycja w przedsionku piwnicy. Są tam cyrkowe diabły, rzeźby oraz autoportret artysty.

W Muzeum Prywatnym Diabła Polskiego można podziwiać też kolekcjonerskie perły, jak oryginalny drzeworyt Wojciecha Kossaka. – Odbił zaledwie dziesięć takich, jeden jest w naszych zbiorach – dodaje pan Wiktoryn.

Ciekawostką jest drewniane brzękadło z wizerunkiem diabła – instrument perkusyjny używany dawniej przez podwórkowych muzykantów, czy obrzędowa maska diabła wydłubana w drewnie. – Nie ma takiej nawet Muzeum Etnograficzne w Krakowie, istnieją zaledwie cztery takie egzemplarze – chwali się kolekcjoner.

W korytarzu prowadzącym do domu państwa Grąbczewskich uwagę przykuwają efektowne obrazy kolorysty Pawła Wróbla. – Za kąpiące się diablice oferowano mi już wielokrotnie duże sumy, ale ten obraz jest dla mnie cenniejszy niż pieniądze – zastrzega pan Wiktoryn.

Można także zobaczyć wycinanki Doroty Spyry, wykonane za pomocą nożyczek do strzyżenia owiec, a także lustro z wizerunkami diabłów i koronkowe diabły zrobione przez koronczarki z Koniakowa.

Prawdziwą skarbnicą jest piwnica, w której roi się od diabelskich eksponatów. Tuż obok wejścia, przy suficie, wita nas wesoły diabeł znany z telewizyjnych dobranocek, których autorem był Jan Wilkowski, aktor, reżyser i wieloletni dyrektor teatru Lalka. Półki uginają się od diabłów wykutych przez kowali, rzeźb z kamienia, węgla czy drewna. Jedną z ciekawszych jest figurka baby trzymającej diabła za ogon, autorstwa kutnowskiego twórcy Andrzeja Wojtczaka. Są też diabły z ciasta, kryształu, diabelskie pierścienie, zastawa i naciągi do instrumentów muzycznych. Na wszystkie eksponaty spogląda z portretu sam właściciel, którego uwiecznił znany krakowski portrecista Jan Salamon.

Pan Wiktoryn często podkreśla w wywiadach, że nie wierzy w piekło pod ziemią, bo ono jest tu i teraz. Nie dziwi więc wiele odniesień do współczesności i świata polityki. Na jednej z półek stoją obok siebie – Olin, Hamulcowy, Kucharz, Gruba Krecha i Generał, czyli diabły przedstawiające znanych polityków z okresu stanu wojennego. Są też warszawskie akcenty – zespawany ze złomu diabeł kosmiczny i drewniany diabeł grający na banjo.

W Muzeum Prywatnym Diabła Polskiego można dotykać eksponatów, bo – zdaniem pana Wiktoryna – im częściej się je głaszcze, tym robią się ładniejsze.

Przedpiekle jest oficjalnie zarejestrowane w polskim rejestrze muzeów prywatnych. To drugie co do wielkości muzeum tego typu na świecie – największe znajduje się w Kownie na Litwie i liczy ok. sześć tysięcy eksponatów. Państwo Grąbczewscy mają ich prawie trzy tysiące.

Rekąstrukcja

Przemysław Śmiech

Parę dni temu poszłem do państwa Baryłków, aby przy niedzieli zacieśniać obustronne stosunki dobrosąsiedzkie. Zastałem gospodarzy na fali słodkich wspomnień. Państwo Baryłkowie siedzieli mnianowicie na wersalce i oglądali swój album ślubny. Mam zaszczyt przypuszczać, że niejednego z Szanpaństwa taki widoczek trafiłby w czułe serce i niejednemu mędrcowi zasunąłby szkiełkiem pod oko.

– I cóż, panie Benku, jakby to było wczoraj, nieprawdaż?

– Niestety, niby wczoraj, a już historia.

Tu mnie coś tknęło w makówkie.

– Panie Benku, a słyszałeś pan o tak zwanej rekąstrukcji?

– Musowo: Stare Mniasto, Zamek, katedra...

– Nie, nie, nie w ten deseń. Rozchodzi mi się o grupy rekąstrukcyjne.

– Nie słyszałem o tem, poinformuj mnie pan.

– Otóż, panie Benku sianowny, ponieważ że teraz obecnie panuje nowoczesność w domu i zagrodzie, młodzież uczy się dziejów ojczystych nie tylko z książek.

– No, z Internetu również – celnie zaznaczyła pani Teresa.

– Tak jest, ale nie o Internecie mowa. Młodziaki odstawiają teraz całe bitwy i inne konflikty zbrojne!

– Co pan powie?!

– A jak! Na przykład robią sobie zbroje, miecze, dzidy i tem podobne tałatajstwo, a potem raz do roku jadą pod Grunwald i dają szkopom w kuchnie!

– A z czego te zbroje?

– A ja wiem? Może z puszek po piwie? Inni znowuż bolszewika gonią! Jeszcze inni robią się na ułanów, jadą na Olszynkie i bronią stolicy przed Moskalami!

– No i w deseczkie, ale z powodu dlaczego pan tak o tem trajlujesz?

– Panie Benku, skoro jeżeli państwo tak tęsknią za minionemi latamy, to może by uskutecznić rekąstrukcję waszego ślubu?

Państwo Baryłkowie natychmiast wykazali entuzjazm.

– Tak jest! Zrobiemy rekąstrukcje zawarcia naszych świętych węzłów! – zawołał pan Benek.

– I wesela! – dodała pani Teresa.

– Ale zaraz, chwilunia, co tak galopkiem? W zbroje się będziemy przebierać?

– Nie, panie Benku, egzystują również grupy dla ludności cywilnej. Jak to tam było na tem weselu? Musze wiedzieć, żeby dokładnie wszystko zrekąstruować.

– Normalnie było, byli panowie muzykalni, czyli: harmonia, skrzypce i tamburino. Famuła bliższa i dalsza, tudzież sąsiedzi.

– Panie Benku, a jakieś niezapomniane zdarzenia były?

– Wyłącznie! Cały grochoski bomond się zleciał! Chłopaki w aliganckich ancugach, kobiety pci damskiej umyte i odmalowane, do tego olej prima i zagrycha, serdelianse własnego wyrobu!

– A spod kościółka luksusowa gablota wiozła nasze świeżo upieczone komórkie...

– Jaka gablota?

– Wiadomo – warszawa! Garbata! – dodał z dumą pan Benek.

– Jadło i pidło przygotowane, mój fatrowski specjalnie na te okazje krambambule zrobił...

– Krambambule też trzeba zrekąstruować!

– Dokładnie nie pamiętam – napitek orzeźwiający z gorącej wody, wódki, cukru i cytryny. Z tem że, niestety, kiedy tatuś chciał sprawdzić, czy krambambula ma już moc urzędowe, okazało się, że cała litrowa flaszka dostała kamfory. Tatuś szukał, szukał i co się okazało?

– Co takiego, panie Benku?

– Że im dłużej trwała radosna uroczystość, tym gorzej orkiestra dudliła... Jakiś ich znajomek znalazł napój tatusia i tak się chłopcy pokrzepiali. Z początku cały czas cięli polki, ale ponieważ że coraz bardziej im czmerało w arbuzach, grali też coraz wolniej... Z czego się zrobiła chryja, bo mój świętej pamięci protoplaster się nie cackał i jak zaczął diabłować pod adresem,

to orkiestra się obraziła i chodu. Moja mutra zaraz na tatusia naskoczyła, żeby sprowadził ich z powrotem.
– I sprowadził?
– Tak, harmonista dostał w kinol, skrzypek w oko...
– Dobrze, że nie w ucho...
– Jeszcze po wiadrze zimnej wody na łeb i wreszcie zaczęli grać z biglem!
– I wszystko dobrze się skończyło!
– Nie, gdyż doszło do nieporozumienia na tle z powodu ciotki mojej Tereski.
– Beniu, nieprawda, z powodu twojego kuzynka!
– Otóż jeden mój kuzynek tańczył z tąże ciotką upojne tango Lacumparsita, a po występie zapytał, czy ciotunia byłaby uprzejma kopsnąć mu szluga.
– I była uprzejma?
– Niezbyt, gdyż poprosiła go, żeby „paszoł wont, szmondaku". Kuzynek, rozczarowany odmową, dał cioci wygawor: „O żesz ty drętwo sakramencka! Makolągwo dziobata! Nobleso ze Szmulek! To ja cię pół godziny po parkiecie taszczyłem, a ty mi odmawiasz odrobiny tytoniu dla poratowania zdrowia?".
– I co na to ciotunia?
– Ciotunia krzykła: „Makolągwo?!", a że mniała ręce zajęte kielonkiem i ogóreczkiem, wyjechała kuzynkowi z baśki.
– O makolągwe się obraziła? Ładny ptaszek przecież!
– Kuzynek przewrócił się na mojego szwagroszczaka, któren akurat wznosił toast szklaneczką napoju wyskokowego, wskutek wobec czego cała zawartość szklaneczki wylądowała na jemponującem popiersiu żony pana Paciorkowskiego.
– Jakiego Paciorkowskiego?
– Nie mam pojęcia! Pan Paciorkowski poczuł się urażony w godność i chciał dźgnąć szwagroszczaka w serce, ale że już był na wysokich obrotach, trafił mamusie mojej Tereski.
– Też w serce?
– Gorzej – powiedziała pani Tereska. – W pierwsze krzyżowe...
– Aha. I co?
– Mamusia się odwróciła, za nią akurat był pan Antoni Miech.
– Kto?
– Organista. Odwróciła się i uskuteczniła mu fechtunek na obliczu. Pan Miech zalał się krwią, a ja, żeby go ratować, złapałem obrus ze stołu. Niestety, nie zauważyłem, że na stole była waza z flakami.
– Moja mamusia osobiście wykonała! – dodała pani Tereska.
– Z czego zrobił się grubszy ambaras, ale jak już goście powycierali się z flaków, szurnęli po sztamajzie, zabawa rozkręciła się na nowo i wszyscy żyli długo i szczęśliwie! To co? Kiedy ta rekąstrukcja?
– Niedługo, panie Benku, tylko wie pan co? Ja bym chyba jednak zaprosił tych chłopaków od Grunwaldu...

REKLAMA

WARSZAWSKIE TARGI KSIĄŻKI

17–20 maja 2018

Warszawa, PGE Narodowy

oraz 12. Targi Książki Akademickiej i Naukowej ACADEMIA

organizator Targi Książki

organizator wykonawczy murator EXPO

targi-ksiazki.waw.pl

J. Roguebrave

Hiszpański przypadek na Powiślu

Jacek Fedorowicz

To była znana historia, kilka lat temu Internet trząsł się ze śmiechu, oglądając dzieło pewnej staruszki, która z dobrego serca postanowiła samodzielnie odrestaurować XIX-wieczny fresk. Rzeczywiście, dzieło Elíasa Garcíi Martíneza zatytułowane *Ecce Homo*, znajdujące się na ścianie kościoła Santuario de Misericordia w hiszpańskiej miejscowości Borja, niszczało i prosiło się o ratunek. Prośbie tej uległa mieszkająca niedaleko kościoła parafianka. Nie szczędząc trudu, wysiłku i farb, odrestaurowała fresk, jak umiała, a że nie umiała nic a nic, to, co powstało, nie miało nic wspólnego ani z oryginałem, ani w ogóle z czymkolwiek. Straszliwy bohomaz stał się sławny, a jego autorka przywoływana była niejednokrotnie jako ucieleśnienie starego porzekadła, że dobrymi chęciami bynajmniej nie niebo jest wybrukowane. Choć potępienia powszechnego nie zauważyłem. Przeważało raczej uczucie politowania dla nieszczęsnej samozwańczej konserwatorki zabytków.

Usiłuję w sobie wzbudzić podobne uczucia, przechodząc alejką parkową nieopodal Wisłostrady i rzucając okiem na szczytową ścianę odmalowanej starannie przedwojennej kamienicy przy ul. Wilanowskiej 5. Niestety, nie stać mnie na szczątkową nawet wybaczliwość w stosunku do osób odpowiedzialnych za malowidło, które straszy tam od kilku lat. Jest to „dzieło" czarno-białe, wykonane przez osoby dysponujące – choć to wydać się może niemożliwe – jeszcze mniejszą dawką talentu malarskiego niż samozwańcza konserwatorka hiszpańskiego fresku.

Owszem, ci, którzy chwycili za pędzle, mogli sobie nie zdawać z tego sprawy. Znam to z doświadczenia. Wielokrotnie na studiach na wydziale malarstwa – ale i potem też – wydawało mi się, że moje płótno jest bez zarzutu. Niestety, wystarczał tydzień lub dwa, kiedy sobie postało „twarzą do ściany", bym – spojrzawszy świeżym okiem – stwierdził, że to chyba nie jest arcydzieło, co rychło potwierdzali koledzy z pracowni (obiektywni, z prostego powodu zresztą – wszyscyśmy wiedzieli, że na malarstwie stalugowym zarobić się nie da). Potwierdzał też profesor. Płótno zostawało więc przeznaczane do ponownego zamalowania. Pamiętam jednak doskonale ten krótki czas upojenia, że się udało, i tę kompletną nieświadomość, że zmarnowałem kilka tubek farb. Autorzy patriotycznego fresku pt. *Dzieci Warszawy* mogli więc nie zdawać sobie sprawy, że zamiast hołdu i upamiętnienia fundują tym dzieciom przeraźliwe karykatury. Tyle że ktoś przecież musiał zatwierdzić projekt, wydać zgodę! To było pięć lat temu, czyli jeszcze w czasach, kiedy nie można było stawiać wszystkiego, co się chce, i wszędzie, gdzie się chce, nie pytając fachowców o zdanie i mając w nosie ich protesty. Ktoś pozwolił na tę krzywdę wyrządzoną i kamienicy, i dzieciom Warszawy, wśród których były także dzieci bohaterskie, godne właściwszego upamiętnienia. Ktoś przez lata toleruje ten skandal estetyczny!

Zaraz, zaraz... A może ja jestem po prostu przeestetyzowanym artystą oderwanym od gustu suwerena, a suwerenowi taka sztuka odpowiada i wara mi od wtrącania się w sposoby, jakimi się suweren posługuje, by wyrazić swe uczucia? Może w kościele w hiszpańskim mieście Borja wierni modlili się do wizerunku Jezusa po konserwacji? Pozostaję z tym problemem, ale ponieważ mamy kwiecień, przyroda wybucha lub niedługo wybuchnie, spróbuję coś posiać potajemnie na trawniku przed malowidłem. Gdyby tam jakieś krzaki wyrosły, to przynajmniej przez całe lato nie musiałbym odwracać głowy, przechodząc tą alejką.

Centrum nauki, wiedzy, sztuki i widoku

E. Longe

Maria Terlecka

Zmęczonym prozą życia, codziennymi rytuałami i zimowym brakiem słońca polecam wyprawę do zagłębia nauki, wiedzy, sztuki i widoku, czyli na Powiśle, gdzie stoją trzy „świątynie" edukacyjne. Obudzoną do wiosennego życia przyrodę zobaczymy i poczujemy w cudownym ogrodzie na dachu Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Wyjątkowy to zakątek z widokiem na Wisłę i praski brzeg. Tam oczy można ukoić, wyprostować wzrok, zaciągnąć się aromatem świeżych traw, kwiatów i krzewów. A gdy przyjdzie ochota na małe co nieco, wystarczy zejść na dół. W holu dadzą jeść, pozwolą obejrzeć wystawę, kupić plakat, a nawet opłacić na poczcie rachunki. Są tam, oczywiście, książki, jak to w bibliotece.

Nieopodal BUW-u jest Centrum Nauki Kopernik i tam bez reszty, po uszy, zanurzymy się w tajemnice świata, wszechświata, fizyki, chemii i magii. Gdy nadmiar wiedzy oszołomi, uporządkować myśli najlepiej nieopodal CNK, nad Wisłą, wsłuchując się w szum wody i niezbyt odległy pogłos miasta, zaciągając się zapachem rzeki, która pachnie... rzeką. Trochę jeszcze pusty to akwen; kiedyś, dawno temu, było inaczej, pływały po Wiśle barki, statki, łodzie rybackie, żaglówki, piaskarze z piachem. Powoli wraca rzeczne życie, ale już w innej, raczej turystycznej, formie.

Do BUW-u i CNK w zeszłym roku dołączyło Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Prosta, biała bryła budynku dobrze komponuje się z nadwiślańskim pejzażem i pobliską architekturą. Na elewacji są kolorowe freski – przedsmak tego, co wewnątrz. Między CNK a MSN zeszłego roku, w ciepłą sierpniową noc, podziwiano – leżąc na kocach, leżakach, drewnianych paletach – spadające Perseidy. Ten skwerek między MSN i CNK jest przestrzenią otwartą na rzekę.

W MSN trwa właśnie (do 6 maja) wystawa albańskiego artysty Ediego Hili. Obrazy urodzonego w 1944 r. malarza to czysta sztuka malarska. Wystawę zaaranżowano w ascetycznej przestrzeni. Robi wrażenie poprzez przez tematykę, formę, kolor. Edi Hila „dorobił się" niebanalnego życiorysu; reżimowe władze Albanii uznały pogodny obraz *Sadzenie drzew* za niespełniający kryteriów sztuki socrealistycznej i zesłały artystę do pracy w fabryce. Zachwyt nad malarstwem renesansu ponownie pogrążył malarza. Tym razem skazano go na trzy lata pracy fizycznej w zakładach drobiarskich. Dźwigał wory i potajemnie rysował. Z tego okresu pochodzi cykl wstrząsających rysunków robotników. Edi Hila w formie malarskiej komentuje zmiany w Albanii po upadku reżimu Envera Hodży. Współczesność na jego obrazach to swoisty palimpsest; na dawny obraz Albanii nakłada się nowa cywilizacja. Konstatacja raczej niewesoła. Edi Hila wykłada na Akademii Sztuk Pięknych w Tiranie, z jego pracowni wyszło wielu znakomitych malarzy, jego uczniem jest... obecny premier Albanii Edi Rama. MSN pierwsze zafundowało malarzowi retrospektywną wystawę. Tirana zobaczy ją później.

Po takiej dawce przeżyć duchowych obowiązkowo trzeba usiąść w kawiarni muzealnej, coś wypić, coś zjeść i przemyśleć życiowe meandry artysty. W holu można kupić album z reprodukcjami obrazów Ediego Hili.

Jeszcze zamknięty jest ogródek kawiarniany. Gdy słonko przygrzeje, otworzą podwoje, wtedy – siedząc w ogródku – można ponownie zagapić się na rzekę, zielony praski brzeg. Innej oferty widokowej z tego miejsca nie ma!

Kiedy piszę ten felieton, jeszcze trwają prace ziemne przy pomniku Syreny. Niebawem i ona będzie miała stosowny *entourage* i ładnie skomponuje się z BUW-em, CNK, MSN i resztą nadwiślańskiej przestrzeni.

Niezwykły to kawałek Warszawy, łączący wiele funkcji: rekreacyjną, edukacyjną i widokową – z ażurowym, wiszącym mostem Świętokrzyskim w tle.

„A niech się chowią!”

Arkadiusz Szaraniec

Zdjęcia: U. Frydrych

Na zdjęciu powyżej: kaczka karolinka; obok: samiec kaczki mandarynki

Urszula Frydrych, która od prawie dekady ogląda i fotografuje Łazienki, wyjmuje z kieszeni przygarść łuskanego słonecznika i delikatnym ruchem rzuca przed siebie na ziemię. Ostrożność wydaje się zbędna, bo kaczki mandarynki bez śladu obawy rzucają się na ziarno. Do niedawna całym stadem zimowały na kanałku, już połączyły się w pary, ale okazja do wyżerki powoduje, że szybko zlatują ze wszystkich stron. Kaczory pysznią się feerią barw godowych, samiczki – choć o wiele skromniejsze – urzekają smukłą i delikatną sylwetką. Między nimi uwija się tylko jedna kaczka karolinka. Niewiele się różni od pozostałych, natomiast jedyny w tym gronie kaczor „karolinek” (oczywiście o imieniu Karol) jest o wiele większy i całkowicie inny niż konkurenci. Karol „startuje” tylko do pań mandarynek, a one stanowczo odrzucają jego awanse. Tak się dzieje już od kilku lat – to przedziwny, niespełniony romans z Łazienkami w tle. Karol pojawił się ni stąd, ni zowąd na przed Pałacem na Wyspie i jął czynić fawory zadomowionym, równie egzotycznym mandarynkom. Na nic się zdały jego wzdychania, starania i oddanie, panie mandarynki były i są wierne panom ze swego gatunku, tylko ich darzą wzajemnością. Z kolei Karol jest kompletnie obojętny na jawne, ba, skrajnie gorące zachęty ze strony jednej jedynej samiczki karolinki – „Bo w tym cały jest ambaras, aby dwoje chciało naraz”. Sytuacja powtarza się już od kilku lat i nic nie zapowiada, by miał nastąpić happy end.

Łazienki o szarej godzinie mają wiele uroku, ale nagły powrót prawie zimowej pogody spowodował, że ptaki zachowują się inaczej, niż nakazuje nadchodząca wiosna. Białe mewy śmieszki, tylko niektóre z czarnymi głowami, kłębią się nad stawem, ich sylwetki odbijają się w ciemnej tafli wody, kiedy krążą nad bezlistnymi drzewami. Pawie jak zwykle drepczą przed Pałacem na Wyspie i przy zegarze słonecznym, ale chowają się przed zimnym wiatrem w zacisznych zakątkach. Żaden nawet nie pomyśli o rozkładaniu ogona i chwaleniu się urodą. Tylko jeden czarny jak sadza kos i uparta zwinna modraszka uwijają się po brzegu. Reszta ptaków pochowała się po kątach królewskiego ogrodu i czeka na powrót słońca.

Urszula Frydrych zna tu każdą alejkę i prawie każde z ponad ośmiu tysięcy pomnikowych drzew. „O, tu gnieżdżą się puszczyki. Jest samiec, zatyka sobą dziuplę. Samica większa i rudawa dziś schowała się gdzieś głębiej...” – opowiada. Zadzieramy wysoko głowy, pan puszczyk trwa niewzruszony, ożywi się dopiero nocą, kiedy ruszy na bezszelestne, a krwawe polowanie. Dzieci już dorodne i wypasione, kiedy zgłodnieją, drą dzioby na całą okolicę, dopraszając się pokarmu. Natura tak ustawiła rytm, że sowy odbywają zaloty w samym środku zimy, by wysyp piskląt innych gatunków pozwolił im wykarmić mięsożerne, łakome dzieci. Puszczyk targany rodzicielską miłością potrafi spustoszyć gniazdo innej mniejszej sowy pójdźki. Zostawiamy ich w spokoju, idziemy dalej. „Tu, pod Belwederem, lisy zrobiły sobie norę, dobrze im się działo, jadła miały pod dostatkiem, ale jak mama lisica złapała pawia, od razu dostała eksmisję...” – słyszę. Nagle staję jak wryty – między drzewami sarna skubie pojedyncze źdźbła zieloniutkiej trawy, która nie wystraszyła się nawrotu prawie zimowych chłodów. Tylko na moment podnosi głowę, chwilę patrzy na nas w spokoju i wraca do kolacji. Oddalamy się jak najciszej. Moja przewodniczka doprowadza mnie do przejścia przy Myśliwieckiej: „To jest nasze największe osiągnięcie, te wycięte przerwy w murku. Jest niski, ale ginęły na nim dziesiątkami świeżo wyklute kaczęta i małe nurogęsi. Teraz mają swobodne przejście do wody”. Kierowcy też już wiedzą, że należy zwracać uwagę na znak *UWAGA KACZKI*, ale najbardziej rozczulił mnie robotnik, który długo, mozolnie wycinał dla nich przejście. Kiedy skończył, otarł czoło i rzekł: „A niech się chowią!”.

STOLICA PISAŁA W KWIETNIU

W 1958 r. [nr 14] Motocykl – wielki przedmiot pożądania

W kwietniu 1958 r. Edmund Kupiecki odwiedził Warszawską Fabrykę Motocykli – popularną WFM, która kilka dni wcześniej, dokładnie 26 marca 1958 r., wypuściła na rynek stutysięczny motocykl swojej produkcji. Autor przypomina, że pierwsze motocykle Sokół 125 zostały wyprodukowane w 1948 r. i informuje, że „W zeszłym roku dostarczono na rynek 35 000 motocykli WFM. W roku bieżącym plan przewiduje wprawdzie tylko 32 000, ale dojdzie do tego 5000 skuterów oraz 25 000 silników 150 cm^3 dla fabryki SHL w Kielcach [...]". Na zdjęciach E. Kupieckiego widać, że praca wre – pracownicy oczyszczają odlewy i montują obudowy motocyklowych silników, można też zobaczyć, jak w ogromnej hali odbywa się obróbka wiórowa silnika WFM-ki. Autor prezentuje też gotowe motocykle w magazynie, a „Wielu rodaków czeka z talonem w kieszeni i niecierpliwością – w sercu".

W 1968 r. [nr 14-15] Wiosna z kwiatem kamelii

Na początku wiosny 1968 r. STOLICA zaprezentowała najnowsze trendy w damskiej modzie. W artykule bogato zilustrowanym zdjęciami Henryka Jurki czytamy, że kolekcja Mody Polskiej na wiosenno-letni sezon uwzględnia różnorodność stylów i oddaje atmosferę poszukiwań w modzie polskiej i światowej: „Paniom zaproponowano znowu powrót do kobiecości. Będziemy nosić luźne blezery, klosze, plisy i fałdy w spódnicach, na głowie miękko układające się berety, a w sukniach i płaszczach szerokie rękawy tzw. nietoperze. Stroje wzbogacają białe dodatki oraz powiewne szale i chustki. Motywem przewodnim kolekcji Mody Polskiej był kwiat kamelii". Obok miękkich beretów najmodniejszymi dodatkami sezonu wiosna-lato 1968 były także duże kapelusze, wąskie paski (także noszone podwójnie) i kolorowe turbany.

W 1988 r. [nr 14] Tajemnicze telewideo

Maciej Janicki pisze o technicznej rewelacji, zaprezentowanej podczas pokazu najnowocześniejszego sprzętu telewizyjnego w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Telewideo, którym zachwyca się autor, natychmiast zyskało uznanie stołecznego Ośrodka Techniki i Racjonalizacji: „Oto mamy do czynienia po raz pierwszy z odbiornikiem barwnych programów telewizyjnych, zarówno w systemie przekazu satelitarnego, jak i ze stacji naziemnych [...]. Największą rewelacją jest opatentowany pomysł odbioru obrazu panoramicznego (za pomocą specjalnej nakładki optycznej na ekran)". Osoby, które marzyły o zakupie tego technicznego cacka, uspokajano, że „dostawy nowego modelu telewizorów będą systematycznie rosnąć. Nie ma więc potrzeby rozpoczynania dyżurów przed sklepami. Wystarczy zapisać się na listę u kierownika". Nowy odbiornik budził też nadzieje na uzyskanie niezakłóconego obrazu – zwłaszcza na Ursynowie i Natolinie, gdzie trwały przygotowania do uruchomienia zlokalizowanej tymczasowo w piwnicy centrali retransmisji programów satelitarnych.

W 2008 r. [nr 4] Miasto przed zagładą

„Było kiedyś zwyczajne miasto, zwyczajne ulice i zwyczajne domy. Żyło swoim rytmem, tętniło życiem do późnych godzin nocnych. To miasto, jak i jego atmosferę, tworzyli również warszawscy Żydzi" – i to właśnie przedwojennej Warszawie żydowskiej

69

poświęcony był kwietniowy numer STOLICY z 2008 r. Część czasopisma zatytułowana *Miasto przed Zagładą* zawiera m.in. opowieść o warszawskich synagogach, teatrze żydowskim, nieistniejącej już ulicy Nalewki, sylwetkę budowniczego Wielkiej Synagogi na Tłomackiem Leonarda Marconiego oraz nieznane zdjęcia Warszawy z powstania w getcie. O getcie dla warszawskich Żydów pisze także w kwietniowej STOLICY Eleonora Bergman: „Za opuszczenie getta bez przepustki Żydom groziła śmierć; taka sama kara czekała za jakąkolwiek pomoc im udzielaną. Pomimo terroru miały miejsce rozliczne kontakty między ludźmi po obu stronach muru". Numer dopełniają *Opowieści marcowe,* w których Józef Hen ujawnia po raz pierwszy swoje notatki robione na gorąco w marcu i kwietniu 1968 r.

Spichrze na Rybakach

S. Noŕak-Sowiński, IS PAN

Rybaki – spichrze, 1914 r.

Jarosław Zieliński

O nadwiślańskich spichrzach pisaliśmy już w naszym cyklu przed pięcioma laty, ale wtedy była mowa o Solcu, tymczasem znane z archiwalnych fotografii konstrukcje tego rodzaju były równie rozpowszechnione przy nabrzeżach Starego i Nowego Miasta. W XVIII stuleciu znaczne cofnięcie nurtu Wisły od podnóża skarpy sprawiło, że spichlerze funkcjonujące od średniowiecza między ulicą Bugaj a Brzozową nie mogły dłużej pełnić swojej roli, służyły bowiem składowaniu towarów przewożonych rzeką. W nowej sytuacji przekształcano je w domy mieszkalne, z których dwa możemy oglądać jeszcze dziś w pejzażu staromiejskim. Krach eksportu zboża do Gdańska spowodował, że magazyny stawiane przy brzegach Wisły w jej nowym korycie były mniej liczne, mało okazałe i służyły składowaniu rozmaitych towarów. Na Powiślu nowomiejskim budowano je w głębi przepastnych posesji tworzonych od schyłku wspomnianego wieku po parzystej (wschodniej) stronie ulicy Rybaki. Dziś nazwa ta odnosi się do alejki w obrębie skweru im. 1 Dywizji Pancernej, która przecina grunty owych dawno zaginionych parceli, ale pierwotnie Rybaki biegły po jej zachodniej stronie, rozpoczynały się przed klasycystyczną fasadą tzw. starej prochowni. Przed stu laty była to wyboista ulica pełna meandrów i zaułków, niezbyt gęsto i chaotycznie zabudowana drewnianymi dworkami, obszernym murowanym zajazdem, niewielkimi kamieniczkami i tylko kilkoma wielopiętrowymi czynszówkami. Na zapleczach tych domostw funkcjonowały rozliczne oficyny, zabudowania gospodarcze, magazyny i spichrze, łaźnia i rzeźnia. Około 1910 r. w pobliżu ulicy Boleść powstała wielka garbarnia Quebracho, której wyziewy zatruwały całą okolicę. Rybaki były ustawicznie zalewane podczas wiślanych powodzi, co sprawiało, że mniej trwałe elementy zabudowy znikały i były rychło zastępowane przez inne. W epoce II Rzeczypospolitej ulicę zaczęto nieśmiało unowocześniać, m.in. wznosząc w 1925 r. w pobliżu dzisiejszego wylotu ulicy Sanguszki gmach miejskiej szkoły powszechnej (nr 32). W 1939 r. trwały prace wykończeniowe przy reprezentacyjnym Domu Polonii (nr 14/16). Najcenniejszym zabytkiem Rybaków był zajazd Na Czempińskiem (nr 8/10) – długi, trójsegmentowy budynek z XVIII stulecia, o bliźniaczych niszach w elewacjach skrzydeł bocznych, które ułatwiały zawracanie pojazdów. Podobna nisza zachowała się do dziś w budynku Dziekanki. Na przeciwległym krańcu posesji zajazdu, w odległości ok. 120 m od niego, jeszcze na początku XX w. istniały dwa spichrze. Prezentujemy je na dwóch zmontowanych zdjęciach z 1914 r. Składy zostały wystawione ok. 1823 r. dla Franciszka Schindlera równocześnie z dwiema oficynami na miejscu wcześniejszej zabudowy magazynowej, zmytej przez wody Wisły. Cały ten zespół zbudowano z drewna, umieszczając w oficynach szlachtuz, czyli rzeźnię. Spichrze ulokowano nad samą rzeką na sztucznie uformowanej pochyłości terenu i w ten sposób oderwano od gruntu ich wsparte na palach podwaliny. Zapewniono tym samym swobodny przelew wód powodziowych pod budynkami, zrezygnowano jednak z podobnych zabezpieczeń dla usytuowanego na ich tyłach szlachtuza. Przed spichrzami wykopano obszerne studnie, zapewne odpływowe. Na początku XX stulecia właścicielami całej nieruchomości byli małżonkowie Lortsch. W 1910 r. nadbrzeżne zabudowania należały już do odrębnej posesji nr 8A, nabytej przez magistrat, i funkcjonowały nadal jako rzeźnia miejska. W końcu lat 20. nie figurowała już ona w wykazach i choć zabudowania są zaznaczone na urzędowym planie Warszawy z 1935 r., to równocześnie sporządzony fotoplan ukazuje tylko samotną oficynę. Wraz z zajazdem przetrwała zapewne do 1944 r. Dziś w miejscu spichrzy na wysokości południowej części skweru im. 1 Dywizji Pancernej ciągną się jezdnie Wisłostrady. Grunty od wieków zatapiane przez wodę zalał ostatecznie asfalt – miejmy nadzieję, że nie na następne stulecia.

Już wkrótce
w sprzedaży!

Mitiurin oparł swoją pracę na różnorodnych materiałach źródłowych i literaturze przedmiotu, wykorzystał ponad 100 wydawnictw źródłowych (niektóre z nich kilkutomowe). Autor przestudiował odpowiednie materiały znajdujące się w słynnym zespole Paskiewicza w Rosyjskim Państwowym Historycznym Archiwum (RGIA) w Petersburgu. Jest to ogromny zespół, praktycznie niewykorzystywany przez polskich historyków.

prof. dr hab. Wiesław Caban,
Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach

Mimo że stosunki polsko-rosyjskie w ostatnich wiekach obfitowały w dramatyczne chwile, to poświęcona temu literatura wydawana nad Wisłą jest dość uboga. Bynajmniej nie liczbą tytułów, a perspektywą, często zawężoną do wolnościowych aspiracji narodu polskiego. Wobec czego teksty autorów przedstawiające odmienne paradygmaty wzbudzają spore zainteresowanie, ba, nawet burzliwe kontrowersje. Taką inspirującą rolę może odegrać tłumaczenie na język polski książki Dmitrija W. Mitiurina pt. *Feldmarszałek Paskiewicz. Historia kariery idealnej*.

Andrzej Buczyński, Studium Europy Wschodniej Uniwersytet Warszawski

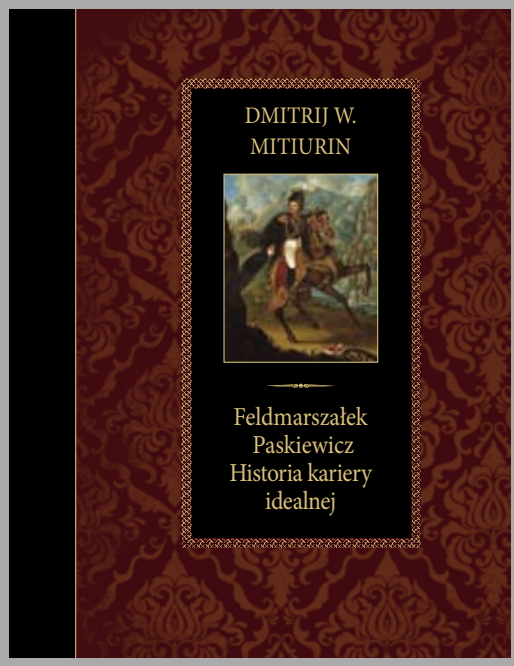

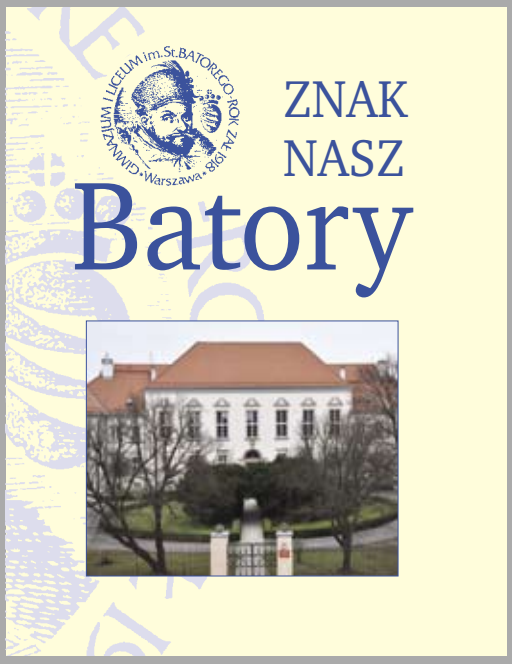

Na publikację złożyły się wywiady z absolwentami II Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Batorego w Warszawie z różnych lat powojennych – z ludźmi wybitnymi, którzy osiągnęli sukces, zdobyli prestiż i uznanie, nierzadko sławę. Książka dokumentuje wkład pedagogów i absolwentów Batorego we współczesne, najnowsze dzieje polskiej nauki, kultury, życia umysłowego, a nawet religijnego, w kształtowanie postaw społecznych.

Od wydawcy

Niniejsza książka jest rodzajem podróży po osobistych przeżyciach i doświadczeniach znanych absolwentów Batorego, którzy z okazji jubileuszu ich szkoły zechcieli podzielić się swymi wspomnieniami z obecnymi uczniami szkoły. Zapisy tych międzypokoleniowych spotkań są również swoistą wędrówką po powojennej historii Polski.

Jerzy S. Majewski

Biblioteka STOLICY

...pytajcie w dobrych księgarniach...

Książki można zamawiać również w redakcji
tel. 22 741 01 30

Wchodzę!

Karty do gry ze zbiorów Andrzeja Rzepkowskiego

10 kwietnia – 27 maja 2018 r.

Zamek Królewski w Warszawie – Muzeum

Partnerzy Zamku Królewskiego w Warszawie – Muzeum

LIDEX Centrum Tłumaczeń i Obsługi Konferencji

TIKA

Patroni medialni:

POLSKIE RADIO

TVP 3 WARSZAWA

STOLICA

o.pl